tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 27 (1330)
30.06-6.07.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

BLISKI WSCHÓD – TE PROBLEMY DO NAS PRZYJDĄ

MY, Z ZIEM ODZYSKANYCH

PROF. PIOTR MONCARZ
SUKCESY POLAKÓW W DOLINIE KRZEMOWEJ

PROF. STEFAN NIESIOŁOWSKI
ROMANTYCZNE OBYCZAJE MUCHÓWEK

CUDA NAD URNAMI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
27 >
9 771509 311508

eprasa.pl 7b6ac083fb

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA

WAKACYJNE **SHOW & DINING** NA SCENIE **FOKSAL 11**

KOLACJA + WIDOWISKOWE SHOW,

KTÓRE ROBI WRAŻENIE!

ZAREZERWUJ WIECZÓR,
KTÓREGO NIE ZAPOMNISZ!

WESELE
5 I 12 LIPCA ORAZ 9 SIERPNIA

ZŁOTE HOLLYWOOD
19 LIPCA I 2 SIERPNIA

SZAMPAN I PIÓRA
26 LIPCA I 23 SIERPNIA

CAFE CANTANTES
30 LIPCA

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl • www.foksal11.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

Foksal 11 by Teatr Capitol ul. Foksal 11, 00 -372 Warszawa, tel.22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Policzmy jeszcze raz

I jak tu nie wierzyć w dość powszechne przekonanie, że nieważne, jak głosujemy, ważniejsze, kto liczy głosy. Znamy to aż za dobrze z różnych systemów politycznych. Po 1989 r., w ustroju demokratycznym, miało być inaczej. A jak jest? Miesiąc po wyborach wiemy tylko, że wynik podany przez Państwową Komisję Wyborczą jest fikcją. Wiemy, że są masowe protesty i kolejne błędne wyniki. Codziennie inne. Burzy to mozolne przekonywanie ludzi do powszechnego udziału w wyborach, „bo każdy głos jest ważny".

Przy tak ogromnym przedsięwzięciu jak wybory ogólnopolskie wpadki mogą się pojawić. Ocenić je i podjąć decyzje co do ważności wyborów powinien Sąd Najwyższy. U nas też tak było. Przez ponad 20 lat. Aż przyszło PiS i rozwaliło system, by zabezpieczyć swoje partyjne interesy. Powołano Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Sami neosędziowie. Powiązani z obozem Kaczyńskiego. Izby tej nie uznają europejskie trybunały. Według nich, i w ocenie najwybitniejszych polskich prawników, izba nie jest sądem, a sędziowie ci nie są sędziami, bo nie spełniają standardów niezależności i bezstronności. W tej sytuacji ich potencjalne orzeczenie będzie tylko polityczną deklaracją wierności partii, która ich tam obsadziła.

Ileż to razy w ostatnich latach politycy PiS grzmieli po wyborach, że były sfałszowane! Latali z tym do mediów. Są nagrania, które potwierdzają fiksację prezesa Kaczyńskiego i jego heroldów. Kłamstwa tak się z nimi zrosły, że uwierzyć w to, co mówią, może tylko szczególna grupa ich wyznawców.

Przed tegorocznymi wyborami też ostrzegali przed masowymi fałszerstwami. Sami zbudowali przekonanie o oszustwach. Spodziewali się porażki swojego kandydata i przymierzali do uruchomienia machiny protestów. Wyszło, jak wyszło. Wszyscy mamy więc problem. Nie da się go rozwiązać bez powtórnego policzenia wszystkich głosów. Tylko w ten sposób możemy wiarygodnie wrócić do hasła, że każdy głos jest ważny. I sprawdzić, co się popsuło w tej machinie wyborczej.

Tych, którzy dopuścili się fałszerstw, a przecież już wiadomo, że tacy byli, trzeba pokazać. I ukarać. Bez tego następne wybory będą wolną amerykanką. Bez zasad i reguł. Kto skuteczniejszy, bezczelniejszy i cwańszy – ten wygrywa. Odrębną sprawą jest funkcjonowanie Państwowej Komisji Wyborczej, która coraz bardziej przypomina atrapę. Z występami przewodniczącego Marciniaka, który budzi umiarkowane zaufanie.

Wiele trzeba będzie zmienić, by wybory w Polsce nie skręciły na mieliznę. Dostaliśmy wielką żółtą kartkę. Przeliczmy więc jeszcze raz to, co jest w urnach. Uczciwi nie muszą się bać. A im bardziej PiS będzie protestowało, tym więcej ludzi będzie przekonanych, że te wybory nie były uczciwe.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 7b6ac083fb

W NUMERZE

KRAJ

8 **Polska w chaosie**
Anatomia upadku wiary w proces wyborczy

16 **Zagadkowe zniknięcia dronów**
Kto zakłóca GPS nad Bałtykiem?

22 **Deweloper roku**
Przypadki Grupy HREIT

25 **Zalew chińskich podróbek**
Poczta Polska go wspiera

ZAGRANICA

12 **Bliski Wschód – te problemy do nas przyjdą**
– rozmowa z Krzysztofem Płomińskim

28 **Austriackie ugory niepamięci**
Poobozowe grunty na sprzedaż

32 **Z czym naprawdę walczy Francja?**
Korespondencja z Francji

36 **Tu handluje się dziećmi**
Portugalia punktem przerzutowym gangów

60 **Skalne miasta**
Piękne i trudno dostępne

NAUKA

20 **Mózgi twórcze i ambitne**
– rozmowa z Piotrem Moncarzem

SPORT

38 **Na mundialu młodość, u nas po staremu**
Lista zachwytów bez Polaków

HISTORIA

40 **My, z Ziem Odzyskanych**
Osiedleńcy a poniemieckość

KULTURA

44 **W pojedynkę, chociaż razem**
Po Toruńskich Spotkaniach Jednego Aktora

46 **Qulturalia**

66 **Kolekcja Wojciecha Fibaka**
Nowe pokolenie

KSIĄŻKI

47 **Fałszywe świadectwo**
Artur Nowak rozmawia ze Stanisławem Obirkiem

ZWIERZĘTA

50 **Prezenty ślubne owadów**
Racz, luba, przyjąć tę mszycę

ZDROWIE

52 **Astma wymaga kontroli**
– rozmowa z prof. Radosławem Gawlikiem

EKOLOGIA

54 **Rowerem ku lepszej przyszłości**
Zastąpi nawet dostawczaka

OBSERWACJE

57 **Luksus w krótkich seriach**
Jak Telimena ubierała Polki

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Policzmy jeszcze raz

19 **Jan Widacki**
O czym rzecznik rządu nie powiedział ani słowa

31 **Roman Kurkiewicz**
ABW, czyli makkartyzm po polsku

35 **Tomasz Jastrun**
Błędne koło

43 **Wojciech Kuczok**
Nieprzemijalna faza buntu

50
ZWIERZĘTA

PREZENTY ŚLUBNE OWADÓW

Racz, luba, przyjąć tę mszycę

57
OBSERWACJE

LUKSUS W KRÓTKICH SERIACH

Jak Telimena ubierała Polki

60
ZAGRANICA

SKALNE MIASTA

Piękne i trudno dostępne

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK, STACH ANTKOWIAK/REPORTER, WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7b6ac083fb

Kościół sklejony z PiS

Dlaczego tak jest? Od polskiej chadecji, nie mówiąc już o lewicy, rzadko słyszy choć jedno dobre słowo. A przecież, niezależnie od stopnia pobożności, nie sposób nie widzieć, że w wielu ośrodkach Kościół jest ostoją patriotyzmu, stróżem lokalnych tradycji i kustoszem pamięci – wszystkiego, dzięki czemu niedziela staje się dniem świątecznym: ludzie ubierają się uroczyście, regionalne zespoły w stroje historyczne, śpiewają miejscowe chóry i grają muzycy, twarze przybierają wyraz skupienia i życzliwości. Tysiące utrzymanych w blasku budowli sakralnych są dobrem ogólnonarodowym, również muzealnym, i nieodłączną częścią polskiego krajobrazu. Zasługują na coś więcej niż na zaciętą twarz pani minister edukacji.

Andrzej Lam

Państwo marginalizuje kolej

Koleś najpierw przyklaskiwał, kiedy PiS przez osiem lat rujnowało spółkę, w której pracuje, i rozdawało pieniądze, aby idioci na nich głosowali, a kiedy firma zbankrutowała, to wielkie zdziwienie, że ludzie tracą robotę. Tracą właśnie przez takich związkowców, którzy wspólnie z zarządem sprzedawali lokomotywy w leasing zwrotny, aby wypłacić ludziom podwyżki. Tak się kończy debilizm ekonomiczny w każdej państwowej spółce, która powinna wypracowywać zysk dla podatników do budżetu państwa, a nie być dotowana przez podatników.

Darek Skiba

•

W niektórych miejscach pracy (nie tylko w PKP Cargo) zostaną zatrudnieni tylko związkowcy. Obecna archaiczna ustawa o związkach zawodowych to umożliwia. Niestety, nikt nie podnosi w Polsce tego tematu. Popatrzmy, jak górniczy lub rolniczy związkowcy walczą o swoje synekury, a nie o restrukturyzację, która zapewni miejsca pracy. Plus brak wysokich wymagań w trakcie konkursów na stanowiska kierownicze, a później brak odpowiedzialności karnej za niewłaściwe decyzje. Dużo rzeczy do zmiany.

Jolanta Holko

Inaczej o ludobójstwie w Gazie

Skoro Izrael jest największym przyjacielem Jankesów, to znaczy, że według dzisiejszej propagandy jest tym dobrym, a jego działania są słuszne. Czyli biedny Izrael walczy z roszczeniowymi i wiecznie niezadowolonymi terrorystami palestyńskimi. Tak samo sytuacja była przedstawiana w jedynie słusznej propagandzie, gdy Jankesi bombardowali Irak, a potem Serbów, ponownie Irak, a na końcu Afganistan. Totalna znieczulica co do ofiar i zniszczeń, a nawet otwarte kibicowanie Jankesom zabijającym „tych złych". Podejrzewam, że gdyby Stany Zjednoczone zaatakowały Ukrainę, polskie media przedstawiałyby herosów amerykańskich walczących ze skorumpowanym rządem banderowców i ich nazistowskimi siepaczami z Prawego Sektora. Tak samo będzie z obecnym konfliktem Izraela z Iranem. Wszystko zależy od tego, w którą stronę jest zwrócona propagandowa tuba, jasno określająca, kto jest dobry, a kto zły. Niezależnie od prawdziwej sytuacji geopolitycznej, ideologicznej czy ekonomicznej uczestniczących w konflikcie stron.

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Drugi Polak w kosmosie. Sławosz Uznański-Wiśniewski z załogą misji Axiom-4 na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, 26 czerwca 2025 r.

FOT. ESA

eprasa.pl 7b6ac083fb

Astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski w ramach misji Axiom-4 w towarzystwie Amerykanki, Hindusa i Węgra przyleciał na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS), gdzie ma przeprowadzić 13 eksperymentów w ciągu dwóch tygodni. Koszt udziału Polski w tej misji to 65 mln euro.

•

Nowa Nadzieja, partia Sławomira Mentzena, która wchodzi w skład Konfederacji, zdaniem Państwowej Komisji Wyborczej mogła pozyskiwać środki z nielegalnych źródeł, w tym z zagranicy. **PKW wystąpiła o delegalizację** tej partii.

•

Gdy we wrześniu 2023 r. PiS w finale kampanii parlamentarnej otwierało **Muzeum Historii Polski,** przemilczano, że pozwolenie na działanie ma charakter warunkowy. Do końca czerwca miały zostać usunięte liczne usterki wskazane przez nadzór budowlany, w tym te dotyczące systemu przeciwpożarowego. Prace trwają. Potrzebne są kolejne miliony złotych. A hucpiarze z PiS szykują się do powrotu.

•

Rekordowa nieufność wobec prezydenta Trumpa jest w **Meksyku (91%), Szwecji (85%), Niemczech (81%),** Hiszpanii i Turcji (po 80%), we Francji (78%) oraz w Kanadzie, Holandii i Australii (po 77%). **Trumpowi ufają** zaś w **Nigerii (79%), Izraelu (69%) i na Węgrzech (53%).**

•

611 mln zł wypłaciło w 2024 r. Stowarzyszenie Autorów ZAiKS twórczyniom i twórcom z tytułu wynagrodzeń autorskich. A ponad 212 tys. osób otrzymało wynagrodzenie od ZAiKS.

•

Adam Szłapka, minister ds. Unii Europejskiej i szef Nowoczesnej, został rzecznikiem rządu.

•

Adwokatka Małgorzata Mączka-Pacholak otrzymała nagrodę Prawnik Pro Bono 2025 przyznawaną przez Fundację Uniwersyteckich Poradni Prawnych i „Rzeczpospolitą".

•

15 mld zł podatków odprowadzili do budżetu w 2024 r. Ukraińcy pracujący w Polsce. A w ramach 800+ wypłacono im 2,8 mld zł.

•

Od 1 stycznia zasiłek pogrzebowy zostanie podniesiony z 4 tys. do 7 tys. zł. Kwota będzie podlegała waloryzacji, gdy inflacja przekroczy 5% w roku poprzednim.

•

Orlen ogłosił wakacyjną promocję na paliwo. Były prezes Obajtek obniżył cenę tuż przed wyborami, a prezes Fąfara na całe wakacje, i to o 40 gr.

•

Od 2009 r., gdy uruchomiono system odbywania kary pozbawienia wolności z elektroniczną bransoletką na nodze zamiast w więzieniu, skorzystało z niego 201 tys. skazanych. System nie jest w pełni wykorzystany, bo jednorazowo może objąć 10 tys. skazanych, a bransoletki nosi 6214.

•

W Puszczy Białowieskiej żyje ponad 250 gatunków ptaków, 59 gatunków ssaków, prawie **1,2 tys.** gatunków bezkręgowców i co najmniej **1998** gatunków makrogrzybów.

•

Polacy zjadają statystycznie 75 kg mięsa. Sporo, ale daleko nam do rekordzistów. Mieszkańcy Hongkongu zjadają co roku 136,3 kg mięsa na osobę, Amerykanie 128,6 kg, a Australijczycy 121,5 kg.

PRZEBŁYSKI

Laur SDP dla o. Rydzyka

„Nauczył nas, jak się robi media bez pieniędzy", powiedziała Jolanta Hajdasz, przewodnicząca Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, wręczając specjalne wyróżnienie – Laur SDP 2025. Któż jest tym cudotwórcą? Nie uwierzycie. Nagrodę odebrał osobiście o. Tadeusz Rydzyk, który dobrotliwie potraktował ten żart. Po części jest to żart prawdziwy. Bo wszystko było za kasę wyszarpaną od państwa, spółek i emerytów. A nagroda SDP? No cóż, kasa ciągnie do kasy, o. Rydzyk zgromadził setki milionów, a SDP wyciągnęło za rządów PiS kilkanaście. Nie tylko wiedzą, gdzie stoją konfitury, ale też potrafią się do nich dobrać. Zasługi ekipy pani Hajdasz i o. Rydzyka dla wolności słowa są zaś takie same. Czyli nieznane.

Legitymacja SDP zaczyna być coraz większym wstydem dla członków.

Niby-kapitan i nadtrener

Robert Lewandowski jest bezspornie piłkarzem wybitnym. I to mu trzeba oddać. Niestety, choć kibice uwielbiają goleadorów, to piłka nożna jest grą zespołową. A w zespole każdy piłkarz jest ważny. Na boisku najważniejszy jest kapitan reprezentacji. Jakim kapitanem był Lewandowski? Po czynach go poznaliśmy. Choć opaska zaspokoiła jego ego, prawdziwym liderem napędzającym drużynę bywał rzadko. Bardziej aktywny był w sporach z trenerami reprezentacji. Na Nawałce wymusił wymianę Błaszczykowskiego na siebie. O Smudze mówił, że „sami ustaliliśmy, jak gramy", „trener niby coś mówił, ale może nie bardzo wiedział, co powiedzieć". Krytykował Nawałkę, Brzęczka i Michniewicza, Santosa i Probierza. Był dla kolejnych trenerów coraz większym problemem. Egoistycznym zadufkiem. Bali się go ruszać, a piłkarze na to patrzyli i grali, jak grali. Warto o tym pamiętać, bo z takim kapitanem nasza dość przeciętna drużyna za daleko nie pojedzie.

Firma od wyłączania prądu

Dla szybko rosnącej grupy klientów narzekających na niemiecki E.ON mamy dość brutalną odpowiedź. Nie trzeba było w 2002 r. sprzedawać Stołecznego Zakładu Energetycznego (STOEN) za marne 1,5 mld zł. Niemcy nie chwalą się, ile na tym zarobili. Nie dlatego, że tacy skromni. Po co mają denerwować klientów, którzy miłość E.ON odczuwają w swoich kieszeniach. I wyłączeniach prądu bez ostrzeżenia. Za miesiąc lub dwa opóźnienia w opłacie rachunków. A żeby powtórnie się podłączyć do Stoen Operator, trzeba zapłacić 140 zł. Interes prosty jak konstrukcja cepa, ale jaki dochodowy! A może by tak zamknąć ten etap? Czy nie stać nas, by na polskich klientach zarabiały nasze firmy bez niemieckich pośredników? Napiszcie o tym do redakcji.

Znamy przypadek upartego wysyłania rachunków i informacji osobie, która od pięciu lat nie żyje. Infolinia nic nie daje. Nie ma adresów mejlowych zarządu ani dyrekcji. Niech państwo prezesi Andrzej Modzelewski, Janusz Moroz, Joanna Kępczyńska i Jörn-Erik Mantz się nie lękają – skoro żyjecie z klientów, to musicie z nimi rozmawiać.

FOT. SHUTTERSTOCK, YOU TUBE

eprasa.pl 7b6ac083fb

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy dzieci są dziś mniej samodzielne niż kiedyś ich rodzice?

DR MAGDALENA ŚNIEGULSKA, *psycholożka*

Jeśli pomyśleć o dzieciach z mniejszych miast czy wiosek, to jest tam jednak bardzo duża samodzielność i odpowiedzialność. Część tych dzieci potrafi także stanowić duże wsparcie w życiu domowym. Ale jest też grupa dzieci, których rodzice przyjęli model wychowawczy, gdzie zadanie dorosłego polega na tym, aby dziecku ułatwiać życie, bo dzieciństwo to taki czas, w którym w ogóle nie powinno się doświadczać trudniejszych stanów emocjonalnych. Paradoksalnie badania pokazują, że właśnie te dzieci mogą wyrosnąć na ludzi niezwykle lękowych, którzy mają obawy wobec świata zewnętrznego, ponieważ rosną w przekonaniu, że nie poradzą sobie bez rodzica. Tymczasem samodzielność jest bardzo ważna. Już dwulatki domagają się, aby różne rzeczy robić samemu. Samodzielność w działaniu daje poczucie, że w różnych sytuacjach sobie poradzę. Dlatego wywiązywanie się z obowiązków jest istotnym elementem życia psychicznego.

WITOLD PIZŁO, *dyrektor Domu Kultury Stokłosy, animator kultury*

Z licznych obserwacji, a szczególnie z aktywności na zajęciach plastycznych, można wywnioskować, że dzieci są dzisiaj mniej samodzielne i sprawne pod względem manualnym niż poprzednie pokolenia. Po pierwsze, nie rysują tak dobrze jak dzieci, które nie wychowywały się w erze smartfonów. Po drugie, nie mają takiego zapału do uczestniczenia w zajęciach i trudno u nich o skupienie, nawet jeśli przedmiot, którym mają się zajmować, leży w kręgu ich zainteresowań. Wraz z kadrą dydaktyczną z zaniepokojeniem obserwujemy ten powiększający się deficyt skupienia. Kiedyś dzieci nie potrzebowały tylu przerw. Nie jest to jednak objaw lenistwa, raczej wynik tego, że dziś w lwiej części codziennych obowiązków są wyręczane przez rodziców.

ARKADIUSZ „JAKSA" JAKSZEWICZ, *stand-uper, animator kultury*

Z perspektywy animatora kultury widzę, że komputeryzacja odciąga ludzi od zajęć manualnych. To nie dotyczy tylko dzieci. Pamiętajmy, że to dorośli projektują oprogramowanie i świat, który ulega coraz większej cyfryzacji. Trudno obwiniać dzieci, że siedzą więcej przed ekranem. Szczególnie że ten cyfrowy świat jest zaprojektowany tak, aby wciągać. Poza tym kiedyś dostęp do cyfrowej rozrywki był trudniejszy, np. aby pograć na automatach, trzeba było pojechać do salonu gier, czekać w kolejce. Tymczasem zabawy wymagające zdolności manualnych nie są dzisiaj opłacalne dla biznesu. Na szczęście ciągłe granie też wreszcie się nudzi. Nie warto również uogólniać, że każdy siedzi dziś przy komputerze. Wszystko jest kwestią dawanego dziecku przykładu. Z aktywności analogowych można czerpać nawet więcej radości niż z grania, tylko najpierw trzeba to dziecku pokazać.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 7b6ac083fb

POLSKA W CHAOSIE

Fałszerstwa, pomyłki w liczeniu głosów, przedstawiciele fikcyjnych komitetów w komisjach wyborczych. Oto, co zafundował nam Jarosław Kaczyński

Andrzej Sikorski

Czegoś takiego jeszcze nie było w historii polskich wyborów: ponad 50 tys. protestów wyborczych, które wpłynęły do Sądu Najwyższego, liczne tzw. cuda nad urną i na dokładkę pisowscy nominaci ulokowani w nielegalnej Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, którzy będą orzekać o ważności wyborów na urząd prezydenta RP.

Zapowiedzi fałszerstw

Już od kilku miesięcy politycy partii Jarosława Kaczyńskiego ostrzegali swoich sympatyków przed masowymi fałszerstwami wyborczymi. Było to niedorzeczne, bo PiS w ciągu ośmiu lat swoich rządów tak bardzo przeorało Kodeks wyborczy (uzasadniając to kłamliwie troską o praworządność), że nic podejrzanego nie powinno się wydarzyć. Matactwa miały oczywiście pogrążyć Karola Nawrockiego. Przedstawiciele związanych z PiS organizacji Ruch Kontroli Wyborów i Ruch Ochrony Wyborów (czuwały one nad prawidłowym przebiegiem głosowania, a koordynatorem tej drugiej był Przemysław Czarnek) wskazywali liczne niedoskonałości procesu wyborczego, m.in. korzystanie z wadliwej aplikacji mObywatel do potwierdzenia swojej tożsamości przez głosującego, możliwe masowe podrabianie zaświadczeń o prawie do głosowania w innym miejscu niż miejsce zamieszkania, „nierzetelne" liczenie głosów, „omyłkowe" przypisywanie głosów, unieważnianie głosów poprzez dopisywanie znaku X lub uszkadzanie kart wyborczych.

Była pisowska kuratorka oświaty Barbara Nowak straszyła „awarią" lub „zdalną modyfikacją algorytmu" (o jaki algorytm chodzi, nie wyjaśniła) pomiędzy komisją lokalną a centralną, a nawet manipulacjami w centralnej bazie gromadzącej głosy z całego kraju. Anita Gragas, tzw. dziennikarka śledcza pisowskich mediów, ostrzegała wyborców przed używaniem długopisów udostępnianych w lokalach wyborczych, gdyż mogą to być znikopisy, po użyciu których tusz się ulatnia po kilku godzinach. Zalecała, aby używać jedynie własnych długopisów, a dla pewności zabrać ze sobą do lokalu wyborczego świeczkę i zatrzeć nią wolne pole z nazwiskiem kontrkandydata Nawrockiego, „bo na wosku nikt nie dopisze krzyżyka".

Poseł PiS Paweł Jabłoński (w rządzie Mateusza Morawieckiego był wiceszefem MSZ) wystosował apel do członków komisji wyborczych w placówkach dyplomatycznych: „Wiem, że większość z Was bardzo chce, żeby te wybory były uczciwe. Jeśli byłyby jakieś próby fałszerstwa, to swoją drogą to też będzie bardzo łatwo wykryć, jeśli się jakieś tam będą proporcje głosów znacząco różniły, więc jeśli ktoś by się zabierał za fałszerstwa, to nie róbcie tego, bo to wykryjemy. Natomiast wielka prośba do wszystkich członków komisji, pracowników naszych konsulatów, ambasad – bądźcie szczególnie uważni. Jeśli ktoś będzie chciał skręcić te wybory za granicą, zostanie to wykryte, ale możemy temu zapobiec".

Do pilnowania wyborów zachęcał też Janusz Kowalski. „Chcą ukraść zwycięstwo Karolowi Nawrockiemu, więc apelujemy (…), aby patrzeć się na ręce, patrzeć się na długopisy, pilnować wyborów, pilnować każdej komisji, każdego, każdej polskiej wsi, miasta, gminy, po to, żeby nie ukradli zwycięstwa wyborczego Karolowi Nawrockiemu, bo co do tego nie mam żadnej wątpliwości, że nasz bonżur Rafał Trzaskowski już wie, że przegrał wybory, dlatego zrobią wszystko, żeby te wybory skręcić. (...) I ta armia patriotów stworzona tutaj przez stronę społeczną będzie taką naszą armią, która będzie pilnować prawidłowości i uczciwości wyborów", grzmiał poseł PiS.

Strażnicy demokracji

Jak wygląda pilnowanie prawidłowości i uczciwości wyborów, zdradził Marek Zagrobelny, były wieloletni działacz PiS, który uczestniczył w Ruchu Ochrony Wyborów.

„To jednym słowem partyjny twór, który z jakąkolwiek »ochroną« nie ma nic wspólnego. To organ stworzony w pierwszej kolejności do nachalnej mobilizacji pisowskich działaczy przed wyborami. A w drugiej? Do fałszowania! »Szkolenia« tego czegoś odbywają się w atmosferze nieustannego nagabywania członków i sympatyków PiS do przejmowania totalnej kontroli nad obwodowymi komisjami wyborczymi. Ruch skupia się później bowiem głównie na członkach komisji. Ci ludzie są zmuszani do tego, aby zostawali przewodniczącymi i wiceprzewodniczącymi komisji obwodowych, a później w dniu wyborów do bycia »pod telefonem« z szefostwem lokalnych struktur PiS i wykonywania poleceń (…). PiS działa tu czysto ideologicznie na bazie popularnych w partii spiskowych teorii. Po prostu zachęca się ludzi do fałszowania głosów. Wyszukuje się w tym celu jak najbardziej chętne do tego osoby i dosłownie instruuje o sposobach i technikach

eprasa.pl 7b6ac083fb

Pikieta przed budynkiem Sądu Najwyższego, gdzie odbywało się jawne posiedzenie w sprawie protestów wyborczych po drugiej turze głosowania. 27 czerwca 2025 r.

fałszowania. Oczywiście odbywa się to w dużej mierze nieoficjalnie, między słowami oraz najczęściej w rozmowach »w cztery oczy« lub gdzieś w przerwach podczas tych rzekomych szkoleń. Same szkolenia mają natomiast część oficjalną, która ma sprawiać wrażenie powagi, merytoryki i informować o procedurze wyborczej. Niemniej jednak dziś, widząc, na jaką skalę sfałszowano obecne wybory, jestem sobie w stanie wyobrazić nawet to, że odpowiednie instruktaże o fałszowaniu podawano i omawiano dość otwarcie – wprost na spotkaniach", napisał Zagrobelny na Facebooku.

Choć w wyborach prezydenckich udział brało 13 kandydatów, to w komisjach wyborczych zasiadali przedstawiciele aż 44 komitetów wyborczych, nawet tych, które nie zebrały wymaganej liczby 100 tys. podpisów albo w ogóle nie prowadziły zbiórek podpisów. Wystarczyło się zarejestrować, by mieć swojego przedstawiciela w komisji wyborczej (każdemu komitetowi przysługiwało jedno miejsce). Przedstawiciele „komitetów widmowych" obsadzili 35 tys. miejsc w komisjach wyborczych, w tym kilka tysięcy miejsc przewodniczących komisji. Rekordzistą był Romuald Starosielec, który miał aż 702 swoich działaczy na czele komisji. Sporo, bo 449 przewodniczących komisji było z nadania komitetu Wiesława Lewickiego, prezesa kanapowej partii Normalny Kraj. 283 przewodniczących komisji reprezentowało komitet wyborczy Daniela Lechowicza, Pawła Tanajny – 442, Aldony Skirgiełło – 190, Stanisława Żółtka – 144. Do tego trzeba doliczyć ponad 3 tys. przewodniczących komisji delegowanych z komitetów Marka Jakubiaka, Grzegorza Brauna, Marka Wocha i Krzysztofa Stanowskiego.

Większość „komitetów widmowych" i tych, których kandydaci nie dostali się do drugiej tury, reprezentowała prawą stronę, bliską ideowo Nawrockiemu. Kandydat PiS miał więc w komisjach wyborczych dodatkowych nieformalnych przedstawicieli. Do absurdalnej sytuacji doszło w obwodowej komisji wyborczej nr 51 w Kaliszu, gdzie jako przedstawiciele „komitetów widmowych" znalazło się dwoje radnych partii Jarosława Kaczyńskiego. Przewodniczący rady miejskiej i szef PiS w Kaliszu Sławomir Lasiecki reprezentował komitet wyborczy kandydata na prezydenta Krzysztofa Andrzeja Sitki. A córka posła PiS Jana Mosińskiego, radna PiS Małgorzata Mosińska-Busz, reprezentowała komitet wyborczy kandydatki na prezydenta Katarzyny Anny Łysik. Ani Sitko, ani Łysik nie zostali nawet zarejestrowani jako kandydaci na urząd prezydenta RP, ale działacze PiS tłumaczyli, że takie matactwo jest zgodne z prawem, a chodziło o to, żeby mieć jak najwięcej swoich ludzi w komisjach, żeby „patrzeć koalicji 13 grudnia na ręce".

Politycy PiS ostrzegali przed masowymi fałszerstwami wyborczymi. Matactwa miały pogrążyć Karola Nawrockiego.

Anomalie w 1482 komisjach

Wszystko wskazuje na to, że arcypatrioci nie zdali egzaminu z uczciwości. Na polecenie IKNiSP SN w 13 obwodowych komisjach

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7b6ac083fb

wyborczych (w całej Polsce było ich ponad 32 tys.) ponownie przeliczono karty wyborcze. W aż 11 komisjach stwierdzono nieprawidłowości, m.in. głosy oddane na Rafała Trzaskowskiego przypisano Karolowi Nawrockiemu i na odwrót. Tyle że we wszystkich tych przypadkach „pomyłki" były na korzyść kandydata PiS, który dostał mniej głosów od Trzaskowskiego, a w oficjalnych protokołach wbrew faktom wpisywano, że dostał więcej. W dwóch komisjach ukradziono Trzaskowskiemu głosy, przypisując je Nawrockiemu. Przypadek? Raczej nie, a według OKO.press na tych machinacjach kandydat obozu demokratycznego stracił 2,6 tys. głosów.

We wszystkich przypadkach „pomyłki" były na korzyść kandydata PiS.

Takich podejrzanych komisji, w których nagle przybyło bardzo dużo głosów Karolowi Nawrockiemu, było w całej Polsce prawie 1,5 tys. Dr Krzysztof Kontek, specjalista od analiz statystycznych, przygotował raport na temat anomalii w wynikach drugiej tury wyborów prezydenckich. Według jego obliczeń do nieprawidłowości mogło dojść w 1482 obwodowych komisjach wyborczych, co mogło się przełożyć na 315-487 tys. głosów dla Nawrockiego, a tym samym zaważyć na wyniku wyborów.

Wskazane przez dr. Kontka komisje to takie, gdzie pomiędzy pierwszą a drugą turą Rafał Trzaskowski stracił znaczącą liczbę głosów (i przegrał tam, gdzie przedtem wygrywał), Karol Nawrocki zyskał zaś przewagę tam, gdzie wcześniej jej nie miał. Naukowiec wyodrębnił cztery typy anomalii, do których doszło pomiędzy pierwszą a drugą turą wyborów. Są to: nadmierne poparcie dla jednego z kandydatów, nienaturalny przyrost liczby głosów między turami, odwrócenie wyniku wbrew lokalnym trendom i niewiarygodny spadek liczby głosów dla kontrkandydata. Oczywiście raport nie przesądza, że we wskazanych komisjach doszło do fałszerstw, ale jest to wiarygodny sygnał, że należałoby bliżej się przyjrzeć sprawie i ponownie przeliczyć głosy. Tym bardziej że komisje, w których ponownie przeliczono głosy na polecenie SN i wykryto nieprawidłowości, pokrywają się z tymi wymienionymi w raporcie.

Sędziowie z nadania PiS

Problem w tym, że przychylni PiS neosędziowie SN nie mają żadnego interesu w zajęciu się na szeroką skalę nieprawidłowościami wyborczymi, więc zignorowali raport dr. Kontka. Jego protest wyborczy pozostawiono na posiedzeniu niejawnym bez dalszego biegu, co w praktyce oznacza, że został odrzucony. „Muszą się strasznie bać, co by wyszło z ponownego przeliczenia głosów w komisjach, w których mój program odnalazł anomalie", mówił naukowiec. W podobny lekceważący sposób potraktowano tysiące innych protestów wyborczych. Przyklepanie zwycięstwa Karola Nawrockiego jest dla tych prawników bezpiecznikiem, że nielegalna IKNiSP będzie funkcjonować, a oni nie stracą urzędów, wysokich pensji i przywilejów.

IKNiSP utworzyło w 2018 r. PiS jako specjalną komórkę do zadań politycznych. Izba zajmuje się kluczowymi dla państwa sprawami, m.in. rozstrzyga o ważności wyborów, referendów i protestów wyborczych. To do IKNiSP trafiają również skargi nadzwyczajne umożliwiające uchylanie lub zmienianie prawomocnych wyroków w każdej sprawie. Izba ta miała też zatwierdzać wyroki pisowskiej komisji ds. rosyjskich wpływów, za pomocą której partia Jarosława Kaczyńskiego chciała wyeliminować z życia publicznego Donalda Tuska i jego najbliższych współpracowników.

Andrzej Duda powołał do IKNiSP wyłącznie osoby wskazane przez upolitycznioną, czyli obsadzoną przez pisowską większość sejmową, Krajową Radę Sądownictwa, mimo że Naczelny Sąd Administracyjny wstrzymał wykonalność rekomendacji neo-KRS do Sądu Najwyższego i zakazał wręczania nominacji przez prezydenta.

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że IKNiSP nie jest „niezawisłym i bezstronnym sądem", a jej sędziowie nie powinni wydawać wyroków. Podobnie stwierdziły Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz połączone legalne izby Sądu Najwyższego.

O tym, że IKNiSP nie jest sądem i nie może decydować o ważności wyborów, przypomniało w wydanym oświadczeniu 28 legalnych sędziów SN. Podobne stanowisko zajęli byli prezesi Trybunału Konstytucyjnego: Andrzej Rzepliński, Marek Safjan, Jerzy Stępień, Andrzej Zoll oraz Bohdan Zdziennicki.

W IKNiSP zasiada 18 neosędziów. Wszyscy zawdzięczają kariery PiS i są uzależnieni od tej partii. W tym gronie znalazł się m.in. Aleksander Stępkowski, fanatyk religijny, radykalny zwolennik zakazu aborcji i przeciwnik „ideologii gender". Stępkowski chciał wsadzać do więzień kobiety, które zdecydowały się na usunięcie ciąży. Zakładał Instytut Ordo Iuris, fundamentalistyczną organizację katolicką, która zwalcza też Unię Europejską, liberalizm i tzw. lewactwo. Stępkowski, zanim został w 2019 r. neosędzią SN, był w rządzie PiS wiceministrem spraw zagranicznych.

Janusz Niczyporuk to kawaler Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie, którego celem jest umacnianie u członków „praktyk życia chrześcijańskiego, w absolutnej wierności Papieżowi i nauczaniu Kościoła". „Postawa moralna i świadomość chrześcijańska" są pierwszymi warunkami przy przyjmowaniu w poczet zakonu, a „praktykowanie wiary powinno być widoczne w obrębie własnej rodziny, w miejscu pracy, w posłuszeństwie Ojcu Świętemu, we współpracy z własną parafią i diecezją, w działalności chrześcijańskiej".

Krzysztof Wiak jest pracownikiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II i kolegą Przemysława Czarnka. Poglądy ma równie skrajne jak Stępkowski i Niczyporuk. Wiak, członek korespondent Papieskiej Akademii Życia, zasiadał w radzie naukowej Ordo Iuris, był także konsultantem rady naukowej Konferencji Episkopatu Polski. Przygotowywał

eprasa.pl 7b6ac083fb

podkładki prawne dla nadzorowanego przez Zbigniewa Ziobrę i Marcina Romanowskiego Funduszu Sprawiedliwości, aby pieniądze zamiast do ofiar przestępstw trafiały do parafii na zakup wyposażenia antywłamaniowego i pożarowego.

Pracownikiem KUL i kolegą Czarnka jest również neosędzia Marek Dobrowolski, który wspierał PiS jako członek Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów i członek zespołu ds. referendum konsultacyjnego w sprawie zmiany konstytucji, działającego przy Kancelarii Prezydenta.

Joanna Lemańska to wieloletnia przyjaciółka Andrzeja Dudy, a jej kariera jest ściśle związana z prezydentem, dzięki któremu zajmowała wiele stanowisk państwowych. W 2018 r. Duda powołał ją do Sądu Najwyższego i wybrał na prezesa IKNiSP. „Dziennik Polski" tak opisywał przyjaźń Lemańskiej i Dudy: „Okazuje się jednak, że ich zażyłość wykracza poza standardy takiej służbowej sympatii. Jak jest silna, najlepiej świadczy fakt, że Joanna Lemańska wraz ze swoim konkubentem spędzała sylwestrowe wieczory w rezydencji prezydenckiej w Wiśle, a latem 2017 r. urlop w rezydencji na Helu. Akurat w tym samym czasie, kiedy przed bramą tej ostatniej odbywały się demonstracje przeciwko zmianom w Sądzie Najwyższym".

PiS ulokowało w IKNiSP nawet żonę byłego europosła Karola Karskiego, który usłyszał zarzuty korupcyjne w aferze Collegium Humanum. Elżbieta Karska uchodzi za kolekcjonerkę posad niewymagających pracy w pełnym wymiarze godzin. Rząd PiS kilkakrotnie zgłaszał Karską na sędzię trybunału w Strasburgu, ale za każdym razem lista kandydatów była odrzucana. MSZ próbowało zainstalować Karską na stanowisku komisarza Rady Europy ds. praw człowieka, ale i tu jej kandydatura przepadła. W 2017 r. rząd PiS wskazał obrotną prawniczkę do zarządu Agencji Praw Podstawowych UE, została ona też członkinią Europejskiej Komisji przeciwko Rasizmowi i Nietolerancji z ramienia Polski.

I tacy ludzie powołani nielegalnie przez PiS na urząd sędziego SN, do nielegalnej politycznej komórki stojącej na straży interesów PiS, mają teraz w sposób uczciwy rozpatrzyć protesty wyborcze. To przecież jawna kpina! A tym wszystkim steruje pierwsza prezes SN, neosędzia Małgorzata Manowska, była zastępczyni Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości i koleżanka Andrzeja Dudy. W państwie PiS wszystkie najważniejsze stanowiska – także te w wymiarze sprawiedliwości – obejmowano nie według kompetencji, ale po linii partyjno-ideologicznej i dzięki znajomościom.

Opcja atomowa

„Nie podważam wyników wyborów, domagam się tylko ponownego przeliczenia głosów. Mamy do tego prawo jako obywatele. Jeśli w wyniku przeliczenia głosów okaże się, że zwycięzcą jest Karol Nawrocki, na pewno to uszanuję", powiedział Roman Giertych. Ale na to związani z PiS neosędziowie nigdy się nie zgodzą, bo mogłoby się okazać, że masowe fałszerstwa dały zwycięstwo Nawrockiemu.

W styczniu br. Sejm uchwalił tzw. ustawę incydentalną, wedle której o ważności wyborów prezydenckich miałoby orzekać 15 legalnych sędziów najstarszych stażem w SN. Jednak ustawę odrzucił Andrzej Duda. Giertych zaproponował więc tzw. opcję atomową. Chce, by 6 sierpnia, po odejściu z urzędu prezydenta Dudy, a przed zaprzysiężeniem Karola Nawrockiego, Zgromadzenie Narodowe ogłosiło miesięczną przerwę. W tym czasie obowiązki prezydenta przejąłby marszałek Szymon Hołownia. Wtedy Sejm i Senat mogłyby ponownie przyjąć ustawę o tym, że wybory zatwierdza skład 15 najstarszych sędziów, a ci wydaliby orzeczenie, czy uznają wynik, czy głosy należy ponownie przeliczyć. Taki scenariusz nie ma jednak poparcia w koalicji, a na dodatek wywołał histeryczną reakcję PiS, które krzyczy o „warcholstwie", „bandyterce" „zamachu stanu" i wezwało ludzi do wyjścia na ulice. Są już nawet pierwsi chętni.

„Myślę, że już czas najwyższy powiedzieć i napisać wprost, jeśli potrzeba, będziemy bronić demokracji i wolnej woli Polaków… jestem gotowy w każdej chwili stanąć razem z tymi, którzy mi ufają, na straży wyniku wyborów prezydenckich. Niech żyje Polska i Polacy", oświadczył były pisowski komendant główny PSP Andrzej Bartkowiak.

Ten politruk w mundurze strażackim (pisaliśmy o nim w artykule „Strażak PiS", „Przegląd" nr 41/2024) walczy również o to, by nie trafić do więzienia. W marcu br. został zatrzymany przez funkcjonariuszy CBA, a w prokuraturze usłyszał zarzuty korupcyjne w związku z aferą Collegium Humanum. Gdy Karol Nawrocki zostanie zaprzysiężony na prezydenta, Bartkowiak w razie skazania może liczyć na ułaskawienie. Podobnie jak wielu innych polityków, działaczy i ludzi związanych z PiS, którzy dopuścili się przestępstw i mają na karku zarzuty prokuratorskie.

W komisjach wyborczych zasiadali przedstawiciele aż 44 komitetów wyborczych.

Małgorzata Manowska poinformowała, że 1 lipca podjęta zostanie uchwała w sprawie stwierdzenia ważności wyborów na urząd prezydenta RP, co będzie tylko formalnością. Wprawdzie Adam Bodnar zapowiedział, że nie pozwoli, aby ewentualne fałszerstwa wyborcze zostały zamiecione pod dywan – wszczęto już pierwsze śledztwa obejmujące komisje wyborcze, gdzie doszło do machinacji – jednak bez ponownego przeliczenia głosów przynajmniej w tych komisjach, gdzie wystąpiły anomalie, nigdy się nie dowiemy, jaki był naprawdę wynik głosowania. Prokurator generalny zwrócił się do neosędziów SN o przeprowadzenie oględzin kart do głosowania w 1472 obwodowych komisjach wyborczych. Pisowscy strażnicy praworządności nie wykazali zainteresowania.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 7b6ac083fb

BLISKI WSCHÓD – te problemy do nas przyjdą

Wojny bliskowschodnie kosztowały USA już 8 tysięcy miliardów dolarów

Rozmawia Robert Walenciak

KRZYSZTOF PŁOMIŃSKI
– dyplomata, specjalista od krajów arabskich. W MSZ przepracował kilkadziesiąt lat (1971-2006), był m.in. ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Iraku (1990-1996) i Arabii Saudyjskiej (1999-2003), a w latach 2004-2006 dyrektorem Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu. W 2019 r. opublikował wspomnienia „Arabia incognita. Raport polskiego ambasadora".

Panie ambasadorze, jak w tej chwili wygląda sytuacja na Bliskim Wschodzie? Czy Iran się obronił, czy został rzucony na kolana?

– Poczekajmy. Nie wiemy jeszcze, jak sytuacja się rozwinie. Czy to jest rzeczywiste zawieszenie broni, po którym nastąpi formalny rozejm i być może zostanie uruchomiony proces pokojowy, czy też będzie okres niestabilności, wzajemnego nękania. Generalnie na pewno Iran nie został rzucony na kolana do tego stopnia, żeby przyjąć warunki czy bezwarunkową kapitulację. Ale czy jest gotów wejść w dialog ze Stanami Zjednoczonymi, szukać jakiegoś rozwiązania? Myślę, że na to pytanie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Tym bardziej że w całej tej wojnie nie chodziło jedynie o program atomowy.

To mógł być pretekst?

– Zgadzam się z opiniami szefowej amerykańskich służb specjalnych Tulsi Gabbard i większości przedstawicieli Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, że tu nie było bezpośredniego zagrożenia. Nie było tak, że lada moment ajatollahowie wyjdą z walizkami pełnymi bomb. To jeszcze nie ten etap. Ale Iran, poza programem atomowym, od dawna budzi emocje i kontrowersje. Jedna to jego wpływy w regionie. Owszem, od czasu terrorystycznego ataku Hamasu na Izrael zostały one bardzo ograniczone i zmniejszone – i w Libanie, i w Syrii, aż do Jemenu. Natomiast nigdy nie zostały całkowicie wykorzenione. I w dalszym ciągu mają potencjał odbudowy.

Dlaczego?

– Bo z jednej strony jest element religijny, z drugiej bardzo nośny czynnik palestyński. A także powszechna obawa przed polityką Izraela. Izrael prowadzi w tej chwili politykę supermocarstwa regionalnego i takim mocarstwem z pewnością stał się jeszcze przed atakiem na Iran. W nieodległej perspektywie będzie to zmuszało wszystkie kraje regionu do przewartościowania dotychczasowej polityki i zmiany układu sił.

Druga sprawa, jeśli chodzi o Iran, to jego program rakiet balistycznych. W tym konflikcie to nie broń atomowa, tylko te rakiety okazały się bronią, która rzeczywiście zagroziła Izraelowi. Bo zaczęły się przedzierać przez żelazną kopułę, przez system obrony powietrznej Izraela.

Kolejny element, z którym należy się liczyć, to pytanie, czy Iran, który dotychczas prowadził konsekwentną politykę niewchodzenia w formalne sojusze z innymi mocarstwami, tej

eprasa.pl 7b6ac083fb

polityki nie zmieni. Nie sądzę, żeby szukał takiego sojuszu z Rosją, ale z Chinami jak najbardziej.

Oto więc bliskowschodni kocioł – polityka Iranu, polityka Izraela, problem Palestyny oraz czynnik religijny. Do tego mieszające w tym kotle supermocarstwa.

– Na Bliskim Wschodzie mamy do czynienia z całym splotem konfliktów, które w większości są niestety konsekwencją polityki naszych amerykańskich sojuszników. Przekonania, że tamte ludy rozumieją tylko siłę. W związku z tym w ciągu dekad żaden konflikt nie został rozwiązany.

Bo jedną wojnę gaszono następną.

– Tworzył się łańcuszek, nie było widać końca. Choć w pewnym momencie w Stanach Zjednoczonych w różnych środowiskach zaczęto myśleć refleksyjnie. Najwyraźniejszym przejawem tej zmiany myślenia i refleksji na temat polityki bliskowschodniej była wizyta prezydenta Joego Bidena, który przyjechał do Izraela bezpośrednio po zamachach terrorystycznych Hamasu. Mówił wtedy: nasi izraelscy przyjaciele, nie powtarzajcie tych samych błędów, które my popełniliśmy po 11 września! Nie działajcie w zapamiętaniu i z nienawiścią, myśląc jedynie, jak się rozprawić z wrogami siłą, a nie biorąc pod uwagę innych elementów.

Czy to myślenie zachowało się w polityce USA?

– Ono istnieje. Także w bezpośrednim środowisku popierającym Donalda Trumpa. Wynikiem tego były bardzo silne naciski, żeby Stany Zjednoczone nie angażowały się wojskowo w Iranie. Ale zwyciężyła przeciwna grupa. Natomiast przeciwnicy zaangażowania Ameryki na Bliskim Wschodzie na taką skalę, jaka jest w tej chwili, mają coraz więcej do powiedzenia w Waszyngtonie.

Jakie mają argumenty?

– Przede wszystkim finansowe. Wojny bliskowschodnie kosztowały Stany Zjednoczone dotychczas, uwaga, 8 tysięcy miliardów dolarów! Nawet dla takiego bogatego kraju to potężna suma.

Druga sprawa – okazuje się, że te wojny, gniew, zapamiętanie, które towarzyszyły polityce bliskowschodniej, niechęć do używania środków politycznych, zachwiały globalną pozycją Stanów Zjednoczonych. Pisałem o tym wielokrotnie – amerykańskie zapatrzenie w wojnę z terroryzmem islamskim powodowało, że więcej terrorystów się rodziło, niż umierało. To musi budzić refleksję. Również w Europie, która dość nieporadnie i beztrosko przygląda się temu, co się dzieje wokół jej południowych granic. I znalazła się w sytuacji, że z jednej strony ma zagrożenie ze Wschodu polityką rosyjską, a z drugiej cały zespół pełzających zagrożeń ze strony Bliskiego Wschodu, które są w ogromnym stopniu związane z polityką Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Na czym polega bliskowschodnie zagrożenie dla interesów europejskich?

– Po pierwsze, mamy w bezpośrednim sąsiedztwie chaos i obszar niestabilności. To oznacza, że nie możemy korzystać gospodarczo ze współpracy i na tym tracimy. Po drugie, istnieje zagrożenie terroryzmem, który stamtąd płynie. Terroryzm nie rodzi się ot tak, na pustyni, bo komuś coś przyszło do głowy. Jest konsekwencją warunków, w których przyszli terroryści żyją. I narzędziem w polityce globalnych oraz regionalnych graczy. Po trzecie, zagrożenia migracyjne. Bieda, chaos, nierozwiązywane problemy przekładają się na miliony uchodźców, którzy mogą kierować się tylko do Europy. Bo gdzie? I wcale się nie zdziwię, jeśli w kolejnych wyborach w Niemczech, przy takiej polityce, jaką Niemcy prowadzą, zwycięży AfD. Albo wejdzie do rządu.

Po czwarte, my, Europa, mamy swoje wartości. Te, które w Gazie Izrael łamie, i to w sposób brutalny, bezwzględny. A Europa się przygląda i w zasadzie milczy.

Trudno nam w Europie atakować Izrael.

– Część Europy wciąż żyje w syndromie Holokaustu, odpowiedzialności za tamten czas. Tylko że tragedia Gazy ma katastrofalny wymiar. A jeżeli popatrzymy na politykę i oświadczenia najbardziej skrajnych sił w rządzie izraelskim, nie ma wątpliwości, że oni wierzą, że z boskiego nadania cała Palestyna należy się Izraelowi.

I zaczynają to realizować.

– Przygotowują się po prostu do tego, żeby i w przypadku Gazy, i w przypadku Zachodniego Brzegu podjąć drastyczne działania, wypędzić ich mieszkańców. Jeżeli popatrzymy na skład rządu izraelskiego i na te najbardziej skrajne partie religijne, to gdyby Izrael był członkiem Unii Europejskiej, zostałby albo obłożony sankcjami, albo usunięty z tego grona. Bo artykułowane są tam często faszystowskie poglądy, co przez społeczność międzynarodową jest w coraz większym stopniu podnoszone. Polityka rządu izraelskiego spotyka się z bardzo ostrymi protestami ze strony i wpływowych środowisk żydowskich w diasporze, i czołowych osobistości świata żydowskiego.

> Najbardziej skrajne siły w rządzie izraelskim wierzą, że z boskiego nadania cała Palestyna należy się Izraelowi.

A historia Bliskiego Wschodu, wszystkie wojny pokazują, że bez rozwiązania problemu palestyńskiego, bez elementu dwupaństwowości nie będzie tam stabilizacji i trwałego pokoju. Ale to nie pasuje, zdaje się, obecnej administracji prezydenta Trumpa, a już na pewno nie pasuje Izraelowi.

Jeśli pan mówi o programie wypędzenia Palestyńczyków, to dokąd oni pójdą? Egipt ich przecież nie przyjmie.

– Dokądkolwiek by poszli, ich ostatecznym kierunkiem będzie Europa. Za sprawą europejskiego sojusznika, jakim jest Beniamin Netanjahu. Już to pisałem – jeśli Europa jest konsekwentna w poszanowaniu interesów Izraela i solidarności z Izraelem, to takie podejście musi zakładać wzajemność. Żeby również Izrael rozumiał europejskie interesy, które nie muszą być identyczne z jego interesami.

Dodam, że to solidarność zachodnia z Izraelem przyczyniła się do jego wejścia w posiadanie broni

eprasa.pl 7b6ac083fb

atomowej, co pozycjonuje ten kraj wobec wszystkich sąsiadów i od razu stawia go na dominującej pozycji.

Jak duży jest arsenał jądrowy Izraela?

– Powtarzam spekulacje: co najmniej 90 bomb.

A Izrael jest malutki. Ma trochę ponad 9 mln mieszkańców.

– Przy 20% ludności arabskiej.

Wydawało się w pewnym okresie, że Izrael poczuje wartość pokoju z Arabami, wrośnięcia w środowisko Bliskiego Wschodu.

– Mogła w tym pomóc normalizacja stosunków między Arabią Saudyjską i Izraelem w ramach porozumień abrahamowych. Przecież kraje arabskie Zatoki nawet nie mają stosunków dyplomatycznych z Izraelem, a w różnych dziedzinach współpracują. Saudyjczycy czy Emiratczycy mieli Pegasusa dużo wcześniej, niż zawitał do Polski. Wywiady arabskie i izraelskie od lat współpracują. Interesy i chęć utrzymania władzy są często silniejsze niż religia czy inne sprawy.

Działa to w obie strony.

– Wiele osób mnie pyta: byłeś pierwszym ambasadorem w Arabii Saudyjskiej, wciąż tam jeździsz, pozostajesz w kontaktach, powiedz, dlaczego oni nie zdecydowali się na doprowadzenie do normalizacji stosunków z Izraelem? Odpowiadam, że dla księcia Mohammeda bin Salmana ważniejsza jest jego własna skóra w społeczeństwie, które ma określony w 96% stosunek do tego, co się dzieje w Gazie, i wobec polityki Izraela. Dlatego nie pójdzie na działania samobójcze.

Czy więc normalizacja relacji między Izraelem a grupą państw arabskich jest możliwa?

– Porozumienia Abrahama nie zostały zerwane. Niektóre planowane przedsięwzięcia zostały tylko zamrożone albo odłożone. Takie kraje jak Maroko, Zjednoczone Emiraty czy Bahrajn kupują w Izraelu broń, współpracują w sprawach bezpieczeństwa, jest całkiem przyzwoita wymiana handlowa. Realizowane są arabskie inwestycje w Izraelu, ale również w diasporze. Przygotowując się ładnych parę lat temu do tego, że Donald Trump wróci do Białego Domu, Saudyjczycy przekazali na fundusz inwestycyjny jego zięcia Jareda Kushnera 2 mld dol. Na co? Na finansowanie start-upów w Izraelu. Prezydent Trump nieprzypadkowo pierwsze kroki skierował do Arabii Saudyjskiej, Emiratów i Kataru.

I rozmawiał o kontraktach wartych miliardy.

– Jakimś ucieleśnieniem tego tworzonego klimatu jest dar emira Kataru w postaci najbardziej luksusowego samolotu na świecie. A biznes wpływa na politykę. Musimy to dostrzegać! Zawsze powtarzam przykład: gdyby nie decyzja Arabii Saudyjskiej z października 1985 r. o odejściu od limitów produkcyjnych OPEC, co spowodowało spadek cen ropy i gazu o 50%, Związek Radziecki by nie upadł w 1990 r. A my w 1989 r. na pewno nie odzyskalibyśmy suwerenności. Bo gdyby Związek Radziecki miał pełną kasę, zachowywałby się zupełnie inaczej.

Nie było tak, że lada moment ajatollahowie wyjdą z walizkami pełnymi bomb. To jeszcze nie ten etap.

Jakby na region Bliskiego Wschodu oddziaływały dwie siły – destrukcji i budowy.

– Niedawno pytany o perspektywy destabilizacji wewnętrznej w Iranie cytowałem średniowiecznego filozofa perskiego, który powiedział, że dla narodu 100 lat tyranii jest lepsze niż rok chaosu. I jeśli spojrzymy na to, co się dzieje np. w Iraku, zaczynamy dostrzegać w tym powiedzeniu wiele racjonalności. A dodam, że w tej chwili Irańczykom mówi się dokładnie to samo, co mówiło się przed obaleniem Saddama Husajna Irakijczykom: obalcie dyktaturę, będzie dobrze, będziecie zadowoleni. Uczciwość wymaga przypomnienia, że przed pierwszą wojną w Zatoce premierem Izraela był…

…Beniamin Netanjahu.

– Wtedy występował w Kongresie USA i namawiał do obalenia Saddama Husajna. Mówił: ja wam to gwarantuję, amerykańscy przyjaciele, kongresmeni, obalenie Saddama Husajna będzie błogosławieństwem dla regionu i świata.

Czyli w Izraelu są z jednej strony siły, które chcą rozwalać kolejne państwa po to, żeby nie zagrażały Izraelowi, z drugiej – próby budowy bliskowschodniego ładu. A każde rozwalenie wywołuje chaos, jak w Libii.

– Problemy bliskowschodnie – od Libii, Egiptu, Sudanu, przez Jemen, po Syrię, Irak, Liban – są tak rozległe, a ich przezwyciężenie tak trudne, wręcz niemożliwe, dlatego że stoi za nimi słabość państw.

Niektóre są wręcz państwami upadłymi.

– A to jest też konsekwencją polityki Zachodu i Izraela, który uznał od samego początku, że najlepiej, jeśli będzie otoczony małymi, słabymi państwami, które mu nie zagrażają i które można rozgrywać. W jakimś stopniu ta polityka jest prowadzona. Alternatywą dla niej może być regionalny pakt bezpieczeństwa, w którym poszczególne państwa dogadają się być może przy pomocy USA. Ale tu musimy wrócić do kwestii palestyńskiej, która w tym kręgu spraw nierozwiązywalnych jest gdzieś w samym jądrze. Cokolwiek byłoby robione, to względy narodowe, jak i religijne będą powodowały, że ta ropiejąca rana będzie rozdrapywana. Ale jednocześnie, jeśli świadomość realiów, również w Izraelu, znajdzie większe uznanie, to na Bliskim Wschodzie wcale nie musi tak być.

Bo jest strefa stabilizacji i pieniądza?

– Arabia Saudyjska i sąsiednie monarchie Zatoki są strefą stabilizacji, obszarem z potężnymi ambicjami, z wizją przyszłości, która powoduje, że Trump mówi: o, tam, na Bliskim Wschodzie, to jest dynamika, to jest region ważniejszy od Europy.

Z pańskich słów wynika, że główną siłą w tej chwili, jeśli mówimy o normalizacji na Bliskim Wschodzie, jest Arabia Saudyjska.

– Bez jej woli, bez jej milczącej zgody nic dobrego tam się nie zdarzy. Arabia Saudyjska prowadzi konstruktywną politykę. W ostatnich kilku

eprasa.pl 7b6ac083fb

Irańczycy na ulicach Teheranu świętują zawieszenie broni, 24 czerwca 2025 r.

latach, już za rządów księcia Mohammeda bin Salmana, trochę w tej polityce się zmieniło. Dotychczas była ona w zasadzie kopią oczekiwań amerykańskich. Teraz zaczęto sprawdzać, jak daleko można się posunąć, akcentując swoje interesy. Podam przykład, w jakimś stopniu łączący się z Iranem. Otóż Saudyjczycy mają sporo własnego uranu. I są zdecydowani realizować program pokojowego wykorzystania energii nuklearnej. Tę sprawę postawili wręcz na ostrzu noża wobec Stanów Zjednoczonych. Zakomunikowali: chcemy z wami współpracować, ale wzbogacać uran chcemy u nas. Nie chcemy wywozić rudy do Ameryki, żebyście ją przetwarzali i sprzedawali nam dziesięciokrotnie drożej. My to sami sobie zrobimy, jak wyprodukujemy trochę więcej, to będziemy eksportować itd.

To nie zostało rozstrzygnięte.

– Sprawa leży na stole. Na stole też leży oferta chińska: my wam ten program zrealizujemy i nie mamy żadnych warunków.

Chiny wchodzą mocno na Bliski Wschód?

– Chiny konsekwentnie budują swoją obecność na Bliskim Wschodzie. Dużo inwestują i starają się wykorzystać swoją soft power, pokazać się od przyjaznej strony. Ten program jest rozłożony na wiele lat. Chiny zdają sobie sprawę, że w tej chwili Stany Zjednoczone dominują na Bliskim Wschodzie, i nie zamierzają nadeptywać Amerykanom na odcisk. Ale poszerzają swoją obecność na zasadzie: staramy się tak funkcjonować, żeby wasza pozycja w sferze bezpieczeństwa pozostała dominująca, natomiast w sprawach gospodarczych i w sprawach technologii wierzymy w wolny rynek.

Wiemy zatem, że Chiny wchodzą na Bliski Wschód. Wiemy, że Ameryka wciąż tam dominuje, Izrael również. Europa jest coraz słabsza. A Rosja?

– Rosja też jest coraz słabsza. Straciła bardzo wiele wpływów, przede wszystkim w Syrii. Ale w dalszym ciągu ma pewną siłę przyciągania, która wynika ze starych doświadczeń. No i Rosja żywi się na błędach Zachodu, jest elementem odskoczni dla wielu państw, żeby nie dominowały tam wyłącznie wpływy amerykańskie. Choć miejmy świadomość, że dla takich krajów jak Arabia Saudyjska świat już nie jest jednobiegunowy. Te kraje uważają, że w zmieniających się stosunkach międzynarodowych będą mogły wejść do wyższej ligi. Chcą się wybić na własną pozycję, której wcześniej nie miały. Na Bliskim Wschodzie mówimy tu o Arabii Saudyjskiej, ale także o Turcji i o Iranie. Byłby jeszcze Egipt, tylko że jest krajem trapionym w takim stopniu problemami gospodarczo-społecznymi, że tam w każdej chwili może być wybuch. To zresztą jest na Bliskim Wschodzie niedoceniane – problemy gospodarcze i środowiskowe. Woda! Podam jeden przykład: Jordania. Gdyby dzisiaj Izrael zakręcił kurek z wodą, to Jordania umiera. Praktycznie rzecz biorąc, ten kraj nie ma własnych zasobów wody.

Jaka jest więc jego perspektywa?

– Mniej więcej taka jak dla Bahrajnu, Kataru czy Arabii Saudyjskiej, które większość swoich potrzeb pokrywają z odsalania wody morskiej. Tylko że to jest drogie. Mówiliśmy o porozumieniach abrahamowych – m.in. w ich ramach była przewidziana realizacja projektu emiracko-izraelskiego, połączona z budową ogromnego kompleksu solarnego w Jordanii, z którego większość energii miała być eksportowana do Izraela, w zamian za wodę. To byłoby coś, co pokazywałoby możliwości współpracy i konkretne korzyści.

Czyli można zbudować na Bliskim Wschodzie model pokojowego współistnienia?

– Myślę, że na Bliskim Wschodzie nie mieszkają inni ludzie niż gdziekolwiek indziej na świecie. Jeżeli my potrafiliśmy pogodzić się z Niemcami… Oby tak samo było w Palestynie i Izraelu. Patrząc na Bliski Wschód, daliśmy sobie założyć końskie okulary, jak w Izraelu. Bo co nastąpiło w Izraelu? Tam społeczeństwo jest bardzo zmilitaryzowane, przestraszone, że terroryści są wszędzie. Że nie ma innego sposobu na Palestyńczyków, że rozumieją tylko siłę. No, nie ma bzdurniejszych określeń. Proszę bardzo, niech ktoś pokaże przykłady, gdzie tylko siła zadziałała! Nawet w Niemczech czy w Japonii po II wojnie światowej – to nie była jedynie siła, tylko wizja budowy demokratycznego państwa oraz powrotu do jakiejś normalności i dobrobytu. W Izraelu w tej chwili jest najniższy poziom akceptacji dla państwowości palestyńskiej czy w ogóle dogadania się z Palestyńczykami. I znowu pewnie można by machnąć ręką – niech sobie łby urywają – gdyby nie to, że są to problemy, które do nas w ten czy inny sposób przyjdą.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ABACA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 7b6ac083fb

ZAGADKOWE ZNIKNIĘCIA DRONÓW

W okolicach Helu i Trójmiasta znikają bezzałogowce. Czy to działanie Rosjan?

Kornel Wawrzyniak

W ostatnim czasie entuzjaści latania dronami, którzy działają w okolicach Trójmiasta i Półwyspu Helskiego, skarżą się na zagadkową utratę łączności ze swoim sprzętem, który uderza w przeszkody lub spada bez możliwości jakiejkolwiek kontroli. W połowie czerwca takie zakłócenia przytrafiły się kilkudziesięciu osobom i spowodowały utratę bezzałogowców.

Z kolei mieszkańcy wymienionych obszarów alarmują, że doświadczają przedziwnych anomalii związanych z używaniem sprzętu opartego na technologiach GPS (wariuje m.in. nawigacja w samochodach i telefonach komórkowych). Mnożą się teorie dotyczące tego zjawiska. Niektórzy uważają, że to Rosjanie. Inni, że może chodzić o ćwiczenia sił NATO.

Zniknięcia dronów

W połowie czerwca właściciele niewielkich bezzałogowych statków powietrznych zaczęli masowo alarmować, że tracą łączność ze swoimi urządzeniami. Pewien operator drona opisywał, że jego maszyna wzbiła się na wysokość ok. 120 m, po czym z niewyjaśnionych przyczyn wpadła do wody. Problemy występowały jednak już wcześniej. Na początku czerwca o stracie swojej maszyny poinformowali zawodowi fotografowie prowadzący na Instagramie profil @b_a_l_t_y_k. Sytuacja była podobna. Dron nagle odleciał, a następnie spadł. Prowadząca profil para przeanalizowała dane z rozbitego drona. Okazało się, że przemieszczał się z prędkością poziomą 120 km/godz. To dużo więcej, niż ten model potrafi.

Na czym polega problem? Specjaliści sugerują, że może chodzić o tzw. spoofing GPS. „Nie do końca wiemy, jak to po polsku przetłumaczyć. Studentom tłumaczę to jako oszustwo, jako podszywanie się. Ktoś nadaje sygnały radiowe, które dla mojego odbiornika wyglądają jak idealne, najlepsze jakościowo sygnały z satelitów. Tyle tylko, że zawierają nieprawdziwe informacje”, tłumaczył zjawisko na antenie TVN 24 prof. dr hab. Andrzej Felski z Akademii Marynarki Wojennej. Innego zdania są jednak specjaliści z portalu Niebezpiecznik, którzy uważają, że nie może chodzić jedynie o spoofing. „Sam spoofing GPS, co do zasady, nie powinien powodować »rozbicia się« dronów. Bo nawet jeśli dron nagle mylnie odczyta swoją lokalizację na podstawie fałszywego (zespoofowanego) sygnału GPS i będzie próbował na tej podstawie »dostosować« swoją pozycję, to pilot wciąż może go kontrolować »ręcznie«. Pozwala na to np. tryb ATTI (to tryb lotu drona, w którym stabilizacja oparta jest na czujnikach barometrycznych i bezwładnościowych,

> Używanie jammerów czy urządzeń do spoofingu może być działaniem o charakterze kontrwywiadowczym.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

a nie na danych GPS – przyp. red.). I tu dochodzimy do sedna. Piloci, którzy w ostatnich dniach stracili drony w okolicy Helu, informują, że kiedy dron »zwariował«, w ogóle nie byli w stanie go kontrolować", pisze redakcja Niebezpiecznika.

Specjaliści z portalu uważają, że musi chodzić również o tzw. jamming, czyli blokowanie sygnału. Coś nad polskim wybrzeżem musi zakłócać częstotliwości 2,4 GHz lub 5,8 GHz, na której drony komunikują się z kontrolerami. To jednak nie koniec – nawet wtedy drony nie powinny spadać jak kamień w wodę. Bezzałogowce mają bowiem specjalny protokół „failsafe", dzięki któremu albo próbują wrócić do miejsca startu, albo przechodzą w stan „zawiśnięcia" w oczekiwaniu na odzyskanie łączności. Według specjalistów musi więc chodzić o połączenie spoofingu i jammingu. Gdy połączenie z dronami zrywało się i przechodziły one w tryb powrotu do domu, dostawały fałszywy sygnał GPS i leciały w złym kierunku, rozbijając się lub spadając np. ze względu na wyczerpującą się baterię.

Na przygody z elektroniką skarżą się też mieszkańcy Trójmiasta i okolic Półwyspu Helskiego: nawigacje samochodowe prowadzą w dziwne miejsca, pojawiły się również duże problemy z systemami wypożyczanych samochodów i hulajnóg elektrycznych. Jak wiadomo, wypożyczony pojazd trzeba zwrócić do odpowiedniej strefy, którą wskazuje GPS w aplikacji. Problem w tym, że przez zakłócenia sygnału GPS strefy z hulajnogami czy autami potrafią pokazywać się na środku Bałtyku albo pod Kaliningradem, zamiast w centrum Gdyni czy Gdańska. Dużo osób uważa, że to robota Rosjan.

– Podejrzenia, że to działania Rosjan, są bardzo prawdopodobne i uzasadnione. Ostatnimi czasy Rosjanie potrafią być w pewnym sensie ostentacyjnie agresywni: wiemy, że nam nie wolno, ale co nam zrobicie, prawda? Można więc brać te sytuacje za pewien rodzaj prowokacji, do którego używa się jammerów czy urządzeń do spoofingu, jeżeli utrata kontroli nad dronem jest całkowita. Nie można jednak wykluczyć, że chodzi o bardziej konkretne działania o charakterze kontrwywiadowczym. Takie zachowania miałyby utrudniać działalność służb innych państw europejskich, jeżeli chodzi o basen Morza Bałtyckiego – mówi Piotr Niemczyk, ekspert z zakresu bezpieczeństwa i były oficer służb specjalnych.

Na razie mamy trochę rozbitych dronów i problem z carsharingiem, jednak kłopot będzie większy, ponieważ właśnie zaczęliśmy wakacje. Dane statystyczne dowodzą, że Bałtyk przyciąga turystów jak magnes. Z raportu Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że tylko w 2023 r. na wakacje w pasie nadmorskim przyjechało ponad 1,7 mln turystów. Na koniec lipca 2023 r. na obszarach nadmorskich działalność prowadziło 2286 turystycznych obiektów noclegowych. To prawie jedna czwarta wszystkich takich obiektów w Polsce. Około 12% turystów stanowią zaś przybysze z zagranicy. Być może zatem dobrym pomysłem dla planujących wakacje nad polskim morzem będzie zaopatrzenie się w analogową, czyli papierową, mapę drogową, której koszt wynosi ok. 20 zł. Atlas samochodowy można zaś kupić już za 50 zł. Przy okazji warto zauważyć, że wielu rodziców korzysta dziś z aplikacji do śledzenia telefonu lub nadajnika lokalizującego ich dzieci…

Rosjanie? A może NATO albo SOP?

„Obserwujemy te zakłócenia. One są obserwowane nad obszarem Morza Bałtyckiego również u naszych sojuszników w państwach natowskich – zarówno w państwach bałtyckich, jak i państwach nordyckich, więc reagujemy. Te działania są związane, według naszych źródeł, z działaniami Federacji Rosyjskiej, z akcjami sabotażu również", powiedział we wtorek 17 czerwca wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz.

Inna teoria mówi, że w okolicy Morza Bałtyckiego NATO prowadzi jakieś działania i po prostu o tym nie informuje. A najbardziej ekstremalną koncepcją jest to, że przyczyną kłopotów są jacyś żartownisie. Tylko kto miałby środki na taki sprzęt?

– W ostatnim czasie Bałtyk wywołuje zwiększone zainteresowanie różnych służb. Są tego co najmniej dwa powody. Po pierwsze, należy pamiętać o statkach floty cieni, które wywożą rosyjską ropę czy surowce z portów w Petersburgu i Primorsku. Po drugie, odnotowano kilka sytuacji z uszkadzaniem podmorskich kabli oraz wybuchy na rurociągu Nord Stream. Dziś jednym z najprostszych i najtańszych sposobów monitorowania akwenu bałtyckiego są oczywiście drony. Taki monitoring pozwala Polakom, Szwedom, Niemcom, Finom albo Duńczykom sprawdzać, czy np. statki podejrzewane o przynależność do floty cieni nie przeładowują gdzieś po drodze na morzu towaru. Albo po prostu sprawdzać podejrzane statki. Jeśli Rosjanie nie chcą, aby patrzono im na ręce, to będą zakłócali pracę tych narzędzi – komentuje Piotr Niemczyk.

„Zakłócenia są powiązane z działaniami Federacji Rosyjskiej", powiedział Władysław Kosiniak-Kamysz.

Działania Rosjan wydają się najbardziej prawdopodobnym scenariuszem również dlatego, że pod koniec maja premier Donald Tusk poinformował o decyzji natychmiastowego uruchomienia zamówienia na drony dla naszej Marynarki Wojennej, aby „skutecznie kontrolować to, co się dzieje pod wodą, na wodzie i nad wodą". To pokłosie kolejnych działań wspomnianej przez Piotra Niemczyka floty cieni. Jeden z tych statków wykonywał podejrzane manewry w pobliżu kabla energetycznego łączącego Polskę ze Szwecją. Doszło do interwencji polskiego wojska, po której statek odpłynął do jednego z rosyjskich portów. Wzmożone zakłócenia GPS mogą być więc działaniem kontrwywiadowczym Rosji, usiłującej zapewnić sobie większą swobodę na Morzu Bałtyckim.

eprasa.pl 7b6ac083fb

Niezależnie od snutych teorii jedno jest pewne. Wchodzimy w nową fazę technologiczną, jeśli chodzi o prowadzenie działań militarnych i wojennych. – Moim zdaniem wkroczyliśmy już w pewną początkową fazę wojny z użyciem zaawansowanych technologii. Widać to chociażby po analizach dotyczących wojny w Ukrainie. Według amerykańskiego ośrodka, który bada straty wojenne, 80% strat, zarówno po stronie rosyjskiej, jak i ukraińskiej, spowodowanych było atakami z powietrza. Z tego większość z użyciem bezzałogowców. Nie mówimy więc jedynie o linii frontu, ale o uderzeniach w infrastrukturę krytyczną. Przy takim zaangażowaniu możemy więc śmiało powiedzieć, że w głównej mierze mamy do czynienia z wojną dronów. Mało tego, wiemy, że pewne ataki na flotę rosyjską przez siły ukraińskie były robione za pomocą dronów nawodnych i podwodnych, a nie tylko powietrznych. Od niedawna Duńczycy używają zaś podobnych narzędzi, aby monitorować wody Morza Bałtyckiego i Morza Północnego w celu identyfikacji potencjalnych zagrożeń – zwraca uwagę Piotr Niemczyk.

Dodajmy do tego roboty firmy Boston Dynamics, które są wykorzystywane na froncie. Opisywaliśmy na łamach „Przeglądu" najpopularniejszy model od inżynierów z Bostonu, czyli sympatycznego robopsa Spota, który potrafi nie tylko zabawiać użytkowników rozmową czy wykonywać skomplikowane układy taneczne w rytm dowolnej muzyki. Spot to również potencjalna maszyna wojenna. Francuska armia już w 2021 r. prowadziła ćwiczenia bojowe z użyciem Spota, w których robopies był wykorzystywany do działań zwiadowczych. Inspirowany Spotem chiński pies robot był zaś już wykorzystywany przez Ukraińców w walce z Rosjanami w Donbasie.

Mamy do czynienia z wojną dronów. Ataki na flotę rosyjską przez siły ukraińskie były robione za pomocą nawodnych i podwodnych dronów.

Jak podaje „Rzeczpospolita", „wyprodukowany w Chinach komercyjny model Unitree Go2 Pro nawiązuje do słynnych urządzeń amerykańskiej firmy Boston Dynamics (Spot), ale jest znacznie tańszy i kosztuje w przeliczeniu kilkanaście tysięcy złotych. Urządzenie waży 15 kg. Zaopatrzone jest w kamery i technologię LiDAR 4D do lepszej orientacji w terenie". Według dziennika Amerykanie i Chińczycy dysponują już nawet wersjami uzbrojonymi w karabiny maszynowe o ogromnej celności, które na dodatek mogą działać w nocy.

Wojna bez udziału człowieka

– Widać znaczący postęp techniki, która bez udziału człowieka jest częścią działań wojennych. Świat się robotyzuje i w przypadku każdego następnego konfliktu należy zakładać, że będzie on w coraz większym stopniu zaawansowany technologicznie. Zauważmy, jak był przygotowany atak Izraela na instalacje irańskie. Był poprzedzony m.in. atakiem dronów na stanowiska obrony przeciwlotniczej czy działaniami przy stacjach radarowych mających utrudnić atak Izraela na te ośrodki nuklearne w Iranie. Widzimy więc, że rola tych urządzeń wykładniczo rośnie – podkreśla Piotr Niemczyk.

Jak widać, przyszłość dzieje się na naszych oczach. Galopujący rozwój technologiczny objął także sektor wojskowy. Według „Financial Timesa" państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego muszą dziś nadganiać zaległości technologiczne w stosunku do Chin. Chodzi m.in. o zwracanie się o pomoc do start-upów, w których można znaleźć prawdziwe technologiczne perełki.

Jak wskazują jednak specjaliści od obronności, część firm technologicznych odmawia współpracy z wojskiem. Głośnym przypadkiem takiej odmowy była sytuacja inżynierów z Google'a, którzy w 2018 r. nie zgodzili się na pracę przy projekcie sztucznej inteligencji dla Pentagonu. Uzasadniali to obawą przed zaangażowaniem się w śmiercionośną działalność wojsk USA.

Z drugiej strony powiązanie działań zbrojnych z prywatnymi firmami technologicznymi wiąże się z wieloma niebezpieczeństwami. Przypomnijmy tylko, że Elon Musk groził na swojej platformie X w marcu br., że odetnie system Starlink, którego używa ukraińska armia. Wszystko przez populistyczne zagrywki Donalda Trumpa. Być może warto przy okazji rozważań o współczesnych technologiach i ich wykorzystywaniu na wojnie wrócić do słów Henriego Barbusse'a, autora książki „Ogień. Dziennik pewnego oddziału", w której opisał swoje doświadczenia z I wojny światowej: „Wojna przyjmuje sto różnych kształtów, ale zawsze prowadzi do zniszczenia. Wszystko, co stworzył człowiek z miłością, cierpliwością i pracą, zostaje zniszczone przez nią bez myślenia".

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

Z Galicji

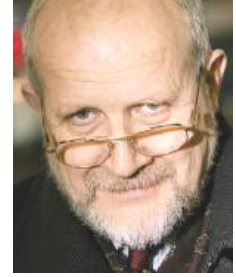

Jan Widacki

O czym rzecznik rządu nie powiedział ani słowa

Rząd wreszcie ma rzecznika. Aby władza doszła do tej, jak mogłoby się wydawać, oczywistej prawdy, że rzecznik jest jej potrzebny – ktoś musi na bieżąco tłumaczyć społeczeństwu poczynania rządu, jego cele i rozmaite uwarunkowania, w jakich te cele są realizowane – musiało jednak upłynąć aż półtora roku. Konieczne też były przegrane wybory prezydenckie, aby rząd te oczywistości sobie uświadomił. Do czasu powołania Adama Szłapki na to stanowisko rząd obchodził się bez rzecznika, a poszczególni ministrowie czekali, co zatweetuje im premier. Sami, no, może poza Radosławem Sikorskim, wypowiadali się z rzadka. Przeciętny Polak nie wie nawet, kto jest szefem którego resortu ani tym bardziej, co konkretnie zrobił bądź robi dla dobra wspólnego.

Rzecznik rządu musi to pilnie nadrobić. Ale ma on nie tylko komentować bieżące wydarzenia polityczne, powinien też przy okazji swoich wystąpień, powołując się na fakty i dane statystyczne, prostować mity i stereotypy. Wiara w nie pozwoliła wygrać wybory prezydenckie Karolowi Nawrockiemu, a na co dzień buduje poparcie dla prawicowej opozycji. Daje paliwo przeciwnikom Unii Europejskiej, wskrzesza ksenofobię i nacjonalizm.

Niektóre samorządy i lokalni politycy ugrupowań prawicowych sprzeciwiają się np. otwieraniu ośrodków integracji dla cudzoziemców. Widząc w nich akceptację nielegalnej imigracji, straszą ludzi, że w ślad za tymi ośrodkami do ich spokojnych lokalnych społeczności wtargnie przestępczość. Ludzie boją się przestępczości, zwłaszcza pospolitej, agresywnej. Chcą żyć w spokoju, toteż w efekcie jątrzącej narracji sprzeciwiają się tworzeniu takich ośrodków. Umacnia to i upowszechnia w społeczeństwie postawy ksenofobiczne, rasistowskie i nacjonalistyczne. Tym samym politycy, którzy protestują przeciw wpuszczaniu do Polski uchodźców i sprzeciwiają się tworzeniu dla nich ośrodków adaptacyjnych, zdobywają poparcie społeczne, co w wyborach przekłada się na oddane głosy.

Czekam, kiedy rzecznik w imieniu rządu sprostuje dwa podstawowe kłamstwa tej narracji. Kłamstwa z lubością podawane przez polityków i publicystów prawicy, a nieprostowane lub prostowane nieśmiało i niemrawo przez polityków koalicji jeszcze rządzącej, kształtują poglądy i postawy ludzi, którzy właśnie wybrali prezydenta, za dwa lata zaś wybierać będą Sejm i Senat. Wychodzi na to, że Koalicja Obywatelska, jej akolici i sprzyjające im media upowszechniają w dobrej wierze te poglądy i te argumenty, za pomocą których konkurencja polityczna wygrała wybory prezydenckie i szykuje się do wygrania kolejnych. W dodatku argumenty demagogiczne, które łatwo obalić, wykazując ich kłamliwość.

Dlaczego również rzecznik praw obywatelskich nie udostępni i nie skomentuje sam lub nie zaprosi do audycji ekspertów dzisiejszej koalicji, aby pokazali i skomentowali uczciwie fakty i dane za ubiegłe lata, pokazujące, że sprzeciwy wobec ośrodków integracji cudzoziemców oparte są na owych dwóch kłamstwach?

Kłamstwo pierwsze: cudzoziemcy popełniają w Polsce więcej przestępstw niż rdzenni Polacy. Obecnie w Polsce 7% mieszkańców stanowią cudzoziemcy. Popełniają oni mniej niż 5% przestępstw. W większości uczciwie pracują i płacą podatki. Mają swój wymierny, w miliardach złotych, wkład w dochód narodowy. Polska gospodarka potrzebuje imigrantów, w dodatku będzie ich potrzebowała coraz więcej z uwagi na ujemny przyrost naturalny, którego nie poprawiło ani 500+, ani 800+. Jeśli chcemy włączyć imigrantów do gospodarki, trzeba ich równocześnie włączyć do społeczeństwa. Nie można już na wstępie czynić z nich ludzi wykluczonych, zamykać w gettach etnicznych. Bogate państwa Zachodu, które zrobiły ten błąd przed kilkudziesięciu laty, np. Francja, teraz rzeczywiście mają kłopot, tyle że nie z imigrantami, lecz z ich dziećmi czy wnukami, które urodziły się już na miejscu i niestety wychowywały się w gettach, na marginesie społeczeństwa. Na marginesie społeczeństwa rodzi się większość przestępczości pospolitej. Ośrodki integracyjne dla cudzoziemców mają pomagać im w dołączaniu do społeczeństwa właśnie dlatego, by nie zostali zepchnięci na margines.

Polska gospodarka potrzebuje imigrantów, w dodatku będzie ich potrzebowała coraz więcej.

No i jeszcze jedna ważna uwaga: ośrodki te są przeznaczone nie dla „nielegalnych imigrantów" – to drugie kłamstwo ich przeciwników – ale dla cudzoziemców, którzy legalnie już przebywają w Polsce. Panie rzeczniku, niech pan nie tylko informuje, ale też wyjaśnia!

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

Mózgi twórcze i ambitne

Na górnym piętrze, gdzie zasiadają prezesi wielkich firm z Doliny Krzemowej, zawsze jest jakiś Polak

3. KONGRES NAUKA DLA SPOŁECZEŃSTWA
25–26 maja 2025

Rozmawia Robert Walenciak

Piotr Moncarz rozmawia z Maciejem Kaweckim na Kongresie Nauka dla Społeczeństwa, 25 maja 2025 r.

PIOTR MONCARZ
– polsko-amerykański inżynier, consulting professor na Uniwersytecie Stanforda. Specjalizuje się w inżynierii materiałowej i lądowej oraz wdrożeniach nowych technologii. Współzałożyciel i przewodniczący US-Polish Trade Council. Organizator Poland Day na Uniwersytecie Stanforda. Kieruje hubem Poland in Silicon Valley Center. W 2017 r. został członkiem amerykańskiej National Academy of Engineering (NAE).

Czy to prawda, że Polacy mają talent do informatyki i w Silicon Valley jest ich nadreprezentacja? To mit czy rzeczywistość?

– Trudno powiedzieć, czy to jest mit, czy nie. Trudno mi też stwierdzić, czy w innych narodach jest taki sam procent osób z talentem do informatyki, natomiast jedno jest pewne: pokolenie polskich 20-, 30-, 40-latków wpadło w informatykę jak w gorączkę złota. Faktem jest – bez względu na to, z jakiego powodu – że w Ameryce jest ich bardzo dużo. A od kiedy zaczęto o tym mówić, zaczęli się pokazywać jako grupa. Mieszkam w Dolinie Krzemowej od ponad 50 lat i oczy mi się szeroko otwierają, jak ogromną liczbę młodych, utalentowanych, odnoszących sukcesy informatyków z Polski tu mamy. Nie wiem, czy to odpowiada na pana pytanie – ale jest tu ich koncentracja! Może jest jakiś magnes, wokół którego wszystkie te genialne opiłki się skupiły? Człowiekowi może się zdawać, że świat jest pełen opiłków, a one się skupiły wokół jednego magnesu – Doliny Krzemowej... Nie wiem! Nie potrafię powiedzieć. Ale to jest bardzo obiecujące. I teraz pytanie, jak to wykorzystać.

Na początkowym etapie w liczącym 50 ludzi zespole OpenAI Sama Altmana było aż dziesięciu Polaków. Potem w dziesiątce najważniejszych osób było ich czterech.

Jakub Pachocki ma stanowisko głównego naukowca OpenAI. „Nie wiem, co Polska robi, by osiągnąć taki poziom, ale ich wpływ jest naprawdę niesamowity", mówił Altman podczas dyskusji na Uniwersytecie Warszawskim. Jak wytłumaczyć ten sukces? Czy polscy informatycy są bardziej kreatywni? Czy może tak wyszło?

– Żeby „tak wyszło", potrzebne były pewne dodatkowe czynniki: wiedza, talent. Oni się tam nie znaleźli przez przypadek, nikt ich na ulicy nie złapał, mówiąc: jest fucha, przyjdźcie popracować. Oni znaleźli się tam dlatego, że są wybitni. I możemy puchnąć z dumy, że taki przypadek się zdarzył, że tych czterech znalazło się w takiej wiodącej grupie.

Myślę o tym, co Polska im dała. Znakomita szkoła średnia, która potrafi młodych zdolnych wyselekcjonować i rozwinąć. Olimpiady matematyczne, informatyczne, świetni nauczyciele – ten system działa znakomicie. Ale co dalej? Dlaczego wyjeżdżają, a nie są tu, w Polsce?

– To jest trochę tak jak z Kopernikiem: gdyby nie wyjechał na studia do Bolonii, nie pospotykał się z różnymi wybitnymi uczonymi tamtych czasów, nie brał udziału w debatach filozoficznych, to pewnie by był profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim – z całym szacunkiem dla profesorów UJ – i nic byśmy dzisiaj o nim nie wiedzieli. Wyjście w świat i znalezienie się w gremium twórczym ma wielkie znaczenie. Dlatego

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7b6ac083fb

ci zdolni Polacy wyjeżdżają. Kolejna rzecz – to są niespokojne dusze. A niespokojne dusze w dzisiejszym świecie jeżdżą. W dzisiejszym świecie są też centra, w których bardzo dużo się dzieje. A oni chcą być blisko takiego centrum. Nie wyjeżdżają z Polski dlatego, że nie są patriotami, albo dlatego, że tam można zarobić. Nie! Oni chcą być tam, gdzie jest akcja. W centrum doskonałości.

Rozwijać się...

– Tak, pchają się do tego centrum doskonałości. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób nie stracić tej inwestycji, której Polska dokonała. To jest już temat rzeka.

Oni do Polski nie wrócą.

– Niekoniecznie. Tych, którzy pozakładali rodziny, których dzieci chodzą do szkół, nasiąkają kulturą amerykańską, będzie trudniej ściągnąć. Natomiast tych, którzy jeszcze nie zbudowali sobie w Ameryce życia na 20 lat do przodu, można do powrotu zachęcić. Trzeba trzymać rękę na pulsie. I jeżeli te osoby rozglądają się, warto stworzyć im w kraju warunki do tego, żeby wróciły. Wiem, że to będzie bardzo trudne – ściągnąć kogoś z USA i dać mu warunki, które będą ekwiwalentne do tego, co ma tam. I z tej zawsze niedostatecznej puli pieniędzy wypłacać mu pobory… Domyślam się, jak mogą reagować ci, którzy są na miejscu i pracują za dużo mniej – będą się buntować! Nie mówiąc o tym, że naszą narodową naturą jest ściąganie w dół, a nie pompowanie w górę. Kiedy więc przyjedzie jeden, drugi, trzeci i będzie żądał apanaży i warunków, których nie daje się miejscowemu, niełatwo będzie przekonać społeczeństwo, że to jest dobra inwestycja. Ale to jest inwestycja!

W mózgi.

– W mózgi. W kontakty. W przyszłość. Musimy to wykorzystać. Widzę to jako bardzo trudne zadanie: dla rządu, dla mądrze myślących profesorów.

W Ameryce traktuje się tych ludzi jako inwestycję – zarabiają, przynoszą zyski firmom.

– Oczywiście! Przecież emigracja ludzi wykształconych po II wojnie światowej, która wyniosła Amerykę do roli światowego lidera, w znacznej mierze była emigracją ludzi, którzy uciekali z Europy. Przyjechali, weszli na uczelnie, zaczynali, mówiąc łamaną angielszczyzną, a potem stali się wiodącymi postaciami w społeczeństwie amerykańskim. Musimy z tego wyciągnąć wnioski. Pojawił się basen pełen złotych rybek. Musimy je wyłowić, zanim zrobi to ktoś inny.

Ale jak? Z USA do Polski? Przecież nie ma u nas bogatych firm, a to biznes takich ludzi ściąga i zarabia na nich. Co może im zaproponować państwo?

– Przede wszystkim musi im zaproponować możliwość dalszego rozwoju. Bo nawet gdybyśmy im dali górę pieniędzy, a oni by sobie tę górę pieniędzy konsumowali, ale bez możliwości tworzenia, budowania, to w końcu by zrezygnowali, wyjechali. Bo to są mózgi twórcze, to są ludzie ambitni. Niektórzy mają z tyłu głowy taki cel: że będą w jakiejś spółce, która wejdzie na giełdę i będzie miała wartość giełdową 5 mld dol. I wtedy oni będą nie tylko ważni naukowo, ale również finansowo. Są też tacy, którzy mówią: chcę stworzyć zespół, który będzie ze mną budował to, o czym cały świat będzie mówił. Ale żeby stworzyć taki zespół, muszę mieć warunki, muszę mieć pieniądze. Bo do tego zespołu nie zbiorę chłopaków i dziewczyn prosto z ulicy, tylko muszę znaleźć ludzi tak samo ambitnych i zdolnych jak ja lub jeszcze bardziej! I lepiej wykształconych. Do tego muszą być pieniądze.

Skąd?

– Nie wiem, czy te pieniądze pójdą z Orlenu, z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, z Ministerstwa Rozwoju i Technologii, z NCBR albo z venture capital – ale one muszą się znaleźć. Na polskim rynku zupełnie nie ma pieniędzy wysokiego ryzyka. A musimy nauczyć się ryzykować, jako rząd, jako przedsiębiorcy i jako społeczeństwo. Ryzyko jest podstawą sukcesu. Wszyscy oglądaliśmy westerny – były takie kolorowe. Ale czy zdajemy sobie sprawę, jakie to było piekło? Załadować całe swoje życie na wóz i przejechać przez kontynent, kiedy po drodze strzelali albo bandyci, albo tubylcy… To stworzyło kulturę wysokiego ryzyka. Nie ma w świecie miejsca, gdzie kultura ryzyka byłaby tak rozwinięta jak w Stanach Zjednoczonych. A Dolina Krzemowa to jest w ogóle szczyt!

Jak więc teraz Polacy prezentują się w Dolinie Krzemowej? Są widoczni? Pański hub do tego chyba zmierza?

– Polacy prezentują się, ale bardzo indywidualnie. Na górnym piętrze, gdzie zasiadają prezesi wielkich firm Doliny Krzemowej, zawsze jest jakiś Polak. Ale jest tam jako Kowalski, nie jako Polak. A chciałoby się, żeby ci ludzie w jakiś sposób mogli komunikować to, że są Polakami, nie tracąc jednocześnie tej amerykańskości, która jest gwarantem, że są zaangażowani całym sercem w sukces tej firmy.

Czyli na mapie naukowej Silicon Valley nie ma Polski, są natomiast Polacy.

– Tak właśnie jest i po to założyliśmy Poland Center, żeby świat zobaczył, co Polacy potrafią. A z drugiej strony żeby byli gotowi pomagać przedsięwzięciom wychodzącym z Polski. Naszym celem jest stworzenie szans dla polskich naukowców, przedsiębiorców, by mogli zaistnieć na scenie światowej bez opuszczania Polski. Bo jeżeli zbudują w kraju jakieś przedsiębiorstwo – to niech ono ma też możliwość wykorzystania naukowców na Stanfordzie. Dziwi się pan? A Google nie wykorzystuje naukowców na AGH? Czy na Uniwersytecie Warszawskim? Prowadzi w Polsce przedsięwzięcia po to, żeby korzystać z umiejętności Polaków.

I na tym zarabiać.

– Oczywiście! Ich praca i tak idzie na konto firm amerykańskich. A ja bym chciał, żeby były takie firmy w Polsce, które będą korzystać z usług partnerów w Dolinie Krzemowej i dzięki temu rozwijać się. Świat tak działa! Niedawno byłem na organizowanej przez przedstawicielstwo Unii Europejskiej imprezie w San Francisco, ambasador UE mówił, że Dolina Krzemowa to dynamika, że na 27 krajów UE 23 mają tu swoje konsulaty…

Polska nie ma.

– Polski jest przy Hollywood. Zabrakło nam wyobraźni, kiedy podejmowano decyzję, gdzie ma być nasz konsulat.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

DEWELOPER ROKU

Straty? Prokuratura sądzi, że 3 mld zł. Liczba poszkodowanych – 10 tys. osób. Jaki będzie finał działalności Grupy HREIT?

Grzegorz Rudnik

Założona w roku 2018 spółka akcyjna HREIT przedstawiała się jako poważny deweloper prowadzący inwestycje w 10 miastach na terenie Polski (choć pojawiają się także informacje, że buduje 4,5 tys. mieszkań w 22 miastach).

Na stronie internetowej przekonuje: „Wysoko stawiamy poprzeczkę – interesuje nas wyłącznie perfekcja". Ci, którzy uwierzyli talentom jej założycieli, panom Michałowi Sapocie i Michałowi Cebuli, mogą się czuć zawiedzeni. Spółka ma poważne kłopoty, bo nie wywiązuje się z terminów oddania mieszkań do użytku. Wściekli są też prywatni inwestorzy, którzy powierzyli firmom kontrolowanym przez obu panów znaczne kwoty. O nadużyciach Grupy HREIT mówi się jako o aferze większej niż Amber Gold.

Już w maju 2023 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła śledztwo w sprawie doprowadzenia inwestorów do niekorzystnego rozporządzenia mieniem poprzez wprowadzenie w błąd podczas zawierania umów inwestycyjnych. W tym miejscu należy się wyjaśnienie – w skład Grupy HREIT wchodzą spółki celowe zajmujące się inwestowaniem oraz takie, które zajmują się deweloperką.

W roku 2023 sprawy szły na tyle źle, że klienci zaczęli informować o nieprawidłowościach Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. 4 stycznia 2024 r. prezes UOKiK Tomasz Chróstny wydał decyzję dotyczącą grupy kapitałowej HRE Investments. W jej skład wchodziły m.in. spółki: HRE Investments Sp. z o.o. Sp. K., HREIT SA oraz Heritage Real Estate SA. Decyzje prezesa UOKiK odnoszą się do tych trzech spółek oraz dwóch osób zarządzających, na które zostały nałożone kary, łącznie 11 803 666 zł. Ukarani zostali też odpowiedzialni za zarządzanie: Michał Sapota miał zapłacić 950 tys. zł, a Michał Cebula – 450 tys. zł.

W uzasadnieniu decyzji prezes Chróstny napisał: „Osoby te umyślnie doprowadziły do naruszenia zbiorowych interesów konsumentów, m.in. były odpowiedzialne nie tylko za przygotowanie i wdrożenie przekazu ofertowego i marketingowego, który eksponował korzyści, a minimalizował ryzyka, ale również aktywnie promowały ten sposób inwestowania".

Decyzja nie była prawomocna i spółki oraz panowie Sapota i Cebula odwołali się od niej do sądu.

Sytuację właścicieli Grupy HREIT pogarszał fakt, że rumieńców nabrało postępowanie prokuratury. Ostatecznie zostało ono przeniesione do Prokuratury Okręgowej w Łodzi i to stamtąd pochodzą informacje, że łączne straty w tej sprawie mogą przekroczyć 3 mld zł, a liczba poszkodowanych może wynosić 10 tys. osób. Osobną grupę stanowią podwykonawcy, którzy nie otrzymali zapłaty za wykonane prace i zeszli z części budów. Rodzi się pytanie, jak do tego doszło.

O nadużyciach Grupy HREIT mówi się jako o aferze większej niż Amber Gold.

Były pieniądze, ale nie było zaufania

Modus operandi Grupy HREIT polegał na tym, że środki pozyskiwane od indywidualnych inwestorów finansowały budowę nieruchomości, które sprzedawano na etapie wykonanych wykopów pod budynki, a nawet jeszcze przed startem inwestycji. Kredyty na zakup nieruchomości brali przyszli właściciele mieszkań. W latach 2019-2023 nie trzeba ich było zbytnio namawiać. Ceny budowanych i oddawanych do użytku nieruchomości ostro szły w górę, w mediach wszelkiej maści niezależni eksperci zapewniali, że w przyszłości lokale będą jeszcze droższe i jeśli chcemy zaoszczędzić, należy natychmiast podpisywać umowy z deweloperami.

Wzrost cen był też stymulowany uruchomionym 1 lipca 2023 r. rządowym programem dopłat do kredytów mieszkaniowych pod nazwą „Bezpieczny kredyt 2%". Zapewniał on dopłaty do rat kredytu hipotecznego przez 10 lat, obniżając oprocentowanie do 2% dla osób kupujących pierwsze mieszkanie lub dom jednorodzinny, przy czym nie przewidywał limitu ceny za metr kwadratowy i był dostępny zarówno na rynku pierwotnym, jak i wtórnym. Deweloperzy nie potrzebowali lepszej zachęty do windowania cen. Marże na sprzedawanych mieszkaniach w takich miastach jak Warszawa, Kraków czy Gdańsk sięgały 30-50%!

eprasa.pl 7b6ac083fb

Michał Sapota w 2018 r. założył grupę deweloperską Heritage Real Estate Investments i został jej prezesem.

Michał Cebula, prezes zarządu Heritage Real Estate SA.

Dla przedsiębiorczych i znających kulisy rynku kapitałowego oraz mieszkaniowego menedżerów była to żyła złota, po którą grzechem byłoby nie sięgnąć. A Michał Sapota bez wątpienia był jednym z nich. Zaczynał w 1996 r. jako księgowy w PPHU Gres-Bud Waldemar Sobolewski w Częstochowie, następnie przeniósł się do spółki MET-PRIM, a w latach 2004-2006 pracował w katowickim oddziale międzynarodowego koncernu Ernst & Young świadczącego usługi doradcze i audytorskie. Potem były kierownicze stanowiska w spółkach Sanwil i International Polymer Center. W latach 2009-2018 Michał Sapota związał się z Grupą Murapol, w której pełnił nawet funkcję prezesa.

W roku 2018, po odejściu z firmy, wraz z kilkoma menedżerami pracującymi wcześniej w podmiotach z grupy Leszka Czarneckiego założył grupę deweloperską Heritage Real Estate Investments (HREIT) i został jej prezesem. Trudno o lepsze rekomendacje.

Do roku 2023 grupa rozrosła się do ok. 80 spółek celowych realizujących kilkadziesiąt projektów. Udało się jej pozyskać niemal 4,5 tys. inwestorów. W wywiadach przedstawiciele HREIT zapowiadali realizację nawet 10 tys. mieszkań rocznie. W mediach, zwłaszcza w bardzo popularnej stacji telewizyjnej należącej do amerykańskiego kapitału, chętnie goszczono ekspertów grupy, kwieciście wypowiadających się na temat budownictwa mieszkaniowego w Polsce.

Nic dziwnego, że inwestorów i chętnych, by kupić własne lokum, nie brakowało. Nie bez znaczenia były też nieposzlakowana reputacja i doświadczenie prezesa Sapoty. Także raporty finansowe grupy nie budziły wątpliwości. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Problemów z brakiem zaufania nie było. Jednak w połowie ubiegłego roku trudno już było ukryć, że kłopoty Grupy HREIT są bardzo poważne. W sieci można było znaleźć informacje, że utraciła płynność, a jej zobowiązania wobec inwestorów sięgnęły 1 mld zł.

Niektórzy dowodzą, że przedsięwzięcie panów Sapoty i Cebuli było i pewnie nadal jest piramidą finansową.

Nikogo więc nie zdziwiło, że w lipcu 2024 r. zapadła decyzja sądowa o rozpoczęciu przyśpieszonego postępowania układowego dla kluczowej spółki w grupie, czyli HREIT SA, co umożliwiło rozpoczęcie jej formalnej restrukturyzacji.

Szybko pojawiły się wątpliwości co do skuteczności tego planu, a na początku marca 2025 r. sąd umorzył przyśpieszone postępowanie układowe, co oznaczało, że spółce grozi upadłość lub sanacja, a prezesowi Sapocie utrata stanowiska.

Dziś wielu czekających na klucze do własnego M przeklina swoją naiwność i ma pretensje do rządzących, że nie ustrzegli ich przed wątpliwymi biznesmenami. Szczególną niechęć budzą prokuratorzy zajmujący się sprawą. Ofiary zastanawiają się, dlaczego panowie Sapota i Cebula jeszcze nie siedzą za kratami.

Co prawda, w listopadzie 2024 r. policjanci na polecenie Prokuratury Okręgowej w Łodzi zatrzymali prezesa Grupy HREIT w związku ze śledztwem dotyczącym nieprawidłowości w sprawozdawczości finansowej, lecz po postawieniu mu zarzutów szybko został on zwolniony. Wywołało to wzburzenie tych, którzy wcześniej Michałowi Sapocie ufali.

Jak łatwo się domyślić, kontynuuje on karierę prezesa – tak przynajmniej wynika z wpisu w KRS. I to mimo szacowanych na 1,5 mln zł (stan na początek 2025 r.) zaległości jego spółki wobec urzędów skarbowych.

2 czerwca br. Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy podjął decyzję o zabezpieczeniu majątku dłużnika (czyli spółki HREIT) poprzez ustanowienie tymczasowego nadzorcy sądowego w osobie Mirosława Kubiczka.

Nie wydaje się, by sprawa ta szybko znalazła finał. Dotychczasowe doświadczenia z nadzorcami sądowymi i syndykami prowadzą do wniosku, że ich postępowania mogą się ciągnąć przez dekady. Dla-

FOT. PIOTR GUZIK/FORUM (2)

eprasa.pl 7b6ac083fb

czego? Ponieważ nadzorcy sądowi i syndycy, uprawiając swój proceder, zarabiają niezłe pieniądze.

Męczeństwo

Powiedzieć, że inwestorzy, którzy powierzyli swoje pieniądze czarodziejom biznesu, oraz ci, którzy wpłacili na mieszkania, są wściekli, to nie powiedzieć nic. Niektórzy twierdzą, że majątek został już dawno wyprowadzony ze spółek wchodzących w skład Grupy HREIT. A ponieważ jeden z właścicieli przechytrzył drugiego i przytulił więcej, panowie nie szczędzą dziś sobie „uprzejmości", oskarżając się nawzajem.

Inni dowodzą, że przedsięwzięcie panów Sapoty i Cebuli było i pewnie nadal jest piramidą finansową, i dziwią się, że kompetentne organy, takie jak prokuratura, nic nie robią w tej sprawie (co oczywiście nie jest prawdą), a prezesi jeszcze nie siedzą.

Kolejni żalą się, że ich życie zostało zrujnowane, bo zaufali oszustom i powierzyli im swoje oszczędności bądź – co gorsza – zaciągnęli kredyty, które muszą spłacać, nie mając nadziei na to, że w przyszłości będzie ich stać na własne cztery kąty.

Z rozmów przeprowadzonych przeze mnie z kilkoma osobami, które chciały kupić mieszkania wybudowane przez „dewelopera roku", a może i dekady, wynika, że część ledwo sobie radzi ze stresem. Przypominają poprzednie głośne skandale: Warszawskiej Grupy Inwestycyjnej (WGI) – 1156 poszkodowanych, strata prawie 248 mln zł, Amber Gold – 18-19 tys. pokrzywdzonych, strata 851 mln zł, upadłość Gant Development – strata 772,5 mln zł, aferę Konsorcjum Finansowo-Inwestycyjnego Colloseum – strata ok. 430 mln zł. I ma się rozumieć GetBack – 9 tys. oszukanych, strata 2,5-3 mld zł. Moi rozmówcy wyciągają z tych historii wniosek, że Polska to państwo upadłe, które nie jest w stanie ochronić obywateli przed oszustami. A im większa skala przekrętu, tym trudniej o sprawiedliwość. Nie wspominając o zwrocie pieniędzy.

Należy też odnotować aktywność prezesa Sapoty i jego prawników, którzy dowodzą, że w najlepszym interesie wierzycieli będzie kontynuowanie procesu restrukturyzacji (cokolwiek by to znaczyło), gdyż zgodnie z najlepszą wiedzą zarządów spółek, popartą analizami renomowanych doradców prawnych i finansowych (o ile zostaną spełnione założenia owego procesu, takie jak umożliwienie przez sąd/radę wierzycieli sprzedaży części aktywów grupy kapitałowej), oznacza to możliwość odzyskania zainwestowanych środków w krótszym czasie oraz w zdecydowanie wyższym stopniu aniżeli w przypadku upadłości. Mówiąc po ludzku: dostaniecie ochłapy, tylko trochę większe.

Budownictwo mieszkaniowe powinno być pod szczególnym nadzorem władz, gdyż obywatele ryzykują nie tylko pieniędzmi, ale i całym życiem.

Nie sposób z tym się nie zgodzić. Ogłoszenie upadłości Grupy HREIT oznacza także potężny wstrząs na rynku deweloperskim. Jeśli wierzyć wcześniejszym oświadczeniom jej właścicieli, zarządzali oni projektami wartymi miliardy złotych. Będzie to też otwarcie sezamu dla syndyka, który latami będzie prowadził upadłość pod nadzorem sądu, pobierając za to królewskie apanaże.

Na władze nie ma co liczyć

Prawda jest taka, że działając zgodnie z literą prawa, organy ścigania i nadzoru często są nieskuteczne wobec świetnie znających prawo biznesmenów. W działalność gospodarczą wpisane jest ryzyko. Każda spółka (nawet bank) może upaść i byłoby dobrze, gdyby inwestorzy oraz chcący kupić mieszkanie o tym pamiętali. Niestety, zbyt często ulegają oni aktualnym modom i trendom. Na przykład opiniom, że ponieważ mieszkania drożeją, trzeba je natychmiast kupować, nie bacząc na nic.

Dobrze jest też być świadomym, że jeśli ktoś proponuje inwestycję w spółkę, obiecując nadzwyczajny zysk, rzędu kilkudziesięciu procent, to najprawdopodobniej mamy do czynienia z przekrętem.

Budownictwo mieszkaniowe powinno pozostawać pod szczególnym nadzorem władz państwowych, gdyż obywatele ryzykują nie tylko pieniędzmi, ale i całym życiem. Kredyt, który będziemy spłacali przez 30 lat, to de facto współczesne niewolnictwo.

Pieniądze przecież nie giną, tylko zmieniają właściciela, a prokuratura oraz inne służby powinny w miarę szybko ustalić, gdzie się znajdują. Także organy nadzoru powinny szybciej reagować na sygnały o nieprawidłowościach. Przestępców powstrzymuje nie wysokość kary, lecz świadomość, że jest ona nieuchronna.

Co dzisiaj dzieje się w Grupie HREIT? Wystarczy odwiedzić jej stronę internetową. 6 września 2024 r. powiatowy inspektor nadzoru budowlanego z Wrocławia wydał pozwolenie na użytkowanie trzech budynków na osiedlu Green City w Bieńkowicach. 27 lutego br. powiatowy inspektor nadzoru budowlanego we Wrocławiu wydał oficjalne pozwolenie na użytkowanie dziewięciu budynków w kompleksie Apartamenty Kościuszki w Zacharzycach.

15 kwietnia br. powiatowy inspektor nadzoru budowlanego w Opolu wydał oficjalne pozwolenie na użytkowanie Apartamentów Barona, czyli dwóch budynków w Opolu, w których znajdują się łącznie 104 mieszkania. 17 kwietnia br. powiatowy inspektor nadzoru budowlanego w powiecie gdańskim wydał oficjalne pozwolenie na użytkowanie dwóch budynków inwestycji Sikorskiego 36 w Pruszczu Gdańskim. Inwestycja to łącznie 128 lokali mieszkalnych.

W dniach 9-10 maja br. w stolicy odbyły się dni otwarte osiedla Warszawska Sky. Grupa HREIT przy tej okazji zapewniała: „To doskonała okazja, by zobaczyć naszą nowoczesną inwestycję i skorzystać z wyjątkowej promocji – darmowe miejsce postojowe przy zakupie wybranego lokalu!". Czyli biznes się kręci.

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl 7b6ac083fb

Zalew chińskich podróbek

Poczta Polska postanowiła wspierać firmę podejrzewaną o łamanie praw człowieka

Kornel Wawrzyniak

Poczta Polska 3 czerwca wydała komunikat, w którym poinformowała, że zacieśnia współpracę z chińską platformą sprzedażową Temu. Naprawdę jest czym się chwalić? Państwowy dostawca usług pocztowych i bankowo-ubezpieczeniowych zacieśnił właśnie współpracę z podmiotem oskarżanym w całej Unii Europejskiej o łamanie praw konsumenckich i wykorzystywanie dzieci przy produkcji towarów.

Ktoś tego nie przemyślał

Chińska platforma jest podmiotem, przeciw któremu w listopadzie 2024 r. Komisja Europejska wszczęła formalne postępowanie mające ocenić, czy firma mogła naruszyć akt o usługach cyfrowych w obszarach związanych ze sprzedażą nielegalnych produktów. Mówi się też o potencjalnie uzależniającej konstrukcji usługi oraz systemach użytych do podtykania klientom konkretnych produktów. Wreszcie Temu nielegalnie wykorzystuje dane wrażliwe, które udostępnia swoim specjalistom w celu optymalizowania mechanizmów sprzedażowych.

Bardzo kontrowersyjny wydaje się w tej sytuacji fakt, że polscy podatnicy mają się dokładać do rozwijania sieci sprzedaży podmiotu wpieranego przez chiński rząd ulgami podatkowymi dla firm, które sprzedają swoje produkty na Temu. Efektem takiej polityki jest zalewanie europejskiego rynku tanimi produktami niespełniającym unijnych wymogów w zakresie standardów jakości czy zrównoważonego rozwoju. W tym kontekście śmieszy również komunikat wydany przez kierownictwo Poczty Polskiej: „Bliższa współpraca [z platformą Temu] umożliwi płynną integrację logistyczną, a w konsekwencji zapewni szybsze dostawy klientom w całej Polsce realizowane za pośrednictwem Poczty Polskiej". Czy mówimy tutaj o tej samej firmie, która ma nieustające kłopoty z dostarczaniem na czas zaprenumerowanych egzemplarzy „Przeglądu" do naszych czytelników?

Na Pocztę Polską za tę współpracę natychmiast wylała się fala krytyki. Spółka argumentuje, że działa zgodnie z prawem. Co z tego, że osłabia przy tym lokalnych graczy? Chińskie produkty są średnio o 20% tańsze od innych, m.in. z powodu wspomnianych subsydiów czy ulg podatkowych. Żeby nadgonić, polscy e-sprzedawcy musieliby działać poza prawem, stosując ceny dumpingowe. „Jest to rozczarowujące działanie spółki skarbu państwa, które osłabi pozycję konkurencyjną polskich i europejskich firm. Chińskie firmy są nie tylko subsydiowane przed rząd Państwa Środka, ale – jak widać – do ich rozwoju przyczyni się Poczta Polska. Jestem zdziwiona i zaniepokojona takimi partnerstwami. Musiało się to odbyć poza wiedzą rządu. Nie wierzę, że nasi politycy by do tego dopuścili", powiedziała dziennikowi „Rzeczpospolita" Patrycja Sass-Staniszewska z Izby Gospodarki Elektronicznej.

Poczta Polska tłumaczy się i używa jeszcze jednego argumentu. Skoro inne, komercyjne firmy dostarczają paczki od Temu, to dlaczego ona nie może? Różnica jest jednak znaczna. Poczta Polska to spółka należąca do skarbu państwa, a więc niejako reprezentująca interesy wszystkich obywateli. Takim ruchem uderzyła w polskich przedsiębiorców i wymierzyła policzek każdemu przyzwoitemu obywatelowi tego kraju. Kto bowiem podpisałby umowę

eprasa.pl 7b6ac083fb

o współpracy z podmiotem, który jest podejrzewany o łamanie praw człowieka i wykorzystywanie do pracy małoletnich?

Pranie mózgu

W aplikacji Temu można rzekomo dostać wszystko. I to za bezcen. Podobnie jest z platformą Shein, która promuje m.in. fast fashion, czyli tanie modne ciuchy (często ich żywot nie jest dłuższy niż do drugiego prania). Dzięki ogólnej dostępności i krzykliwości chińskie aplikacje przyciągają na całym świecie miliony użytkowników. Według danych Gemius Mediapanel tylko w styczniu 2024 r. aplikację oraz portal Temu odwiedziło w Polsce prawie 15 mln realnych użytkowników. Aplikację Shein oraz jej webowy odpowiednik www.shein.com odwiedziło ponad 6 mln realnych użytkowników. Takie wyniki wskazują, że obydwie aplikacje plasują się w ścisłej czołówce sklepów, z których korzystają polscy konsumenci.

Obydwie platformy są jednak oskarżane o nieuczciwą konkurencję. Jak wynika z analiz Ministerstwa Rozwoju i Technologii oraz skarg, które wpływają do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, praktyki stosowane przez Temu i Shein mogą naruszać wiele krajowych i unijnych przepisów związanych z ochroną konsumentów. Jednym z głównych zarzutów jest nieprzestrzeganie przez platformy przepisów Dyrektywy Omnibus, która obliguje m.in. do informowania o cenie, jaka obowiązywała 30 dni przed wprowadzeniem zniżki, czy pokazywania najniższej dotychczasowej ceny za dany produkt. Jeśli chodzi o Temu, wśród najważniejszych zarzutów jest stosowanie komunikatów oraz pseudoliczników, które np. odliczają czas do końca promocji. Wszystkie te działania, wykrzykniki nakłaniają do pośpiechu, co może powodować dodatkową presję odczuwaną przez konsumentów. Shein z kolei jest oskarżane o oszukiwanie przy ocenach produktów. Tym, na co często narzekają konsumenci w obydwu przypadkach, jest problem skali. Wiele produktów na zdjęciach wygląda na większe niż w rzeczywistości. A wymiarów często nie ma w opisach produktów.

W Unii Europejskiej narasta zaniepokojenie działalnością obu platform. Organizacje konsumenckie, które już wcześniej składały na nie skargi, zarzucają im handel produktami podrabianymi, towarami bez odpowiednich certyfikatów oraz manipulowanie konsumentami.

Kiedy patrzy się na interfejs tych aplikacji, rzeczywiście widać, że obydwie krzyczą do użytkowników i stale ich popędzają. Zalew wyskakujących w kółko komunikatów jest tak duży, że można zapomnieć, czego tak naprawdę się szuka. Taki klimat sprzyja podejmowaniu nieracjonalnych decyzji podczas zakupów. Przy karcie produktu przeważnie znajduje się licznik, który odlicza czas do końca darmowej dostawy. To bardzo często są minuty – sekundy odliczane są błyskawicznie.

Zupełnie inną sprawą jest jakość towarów oferowanych przez wspomniane platformy. Produkty z Temu można porównać do bubli, które w latach 90. sprzedawano na wszelkiego rodzaju targowiskach. Można uznać, że Temu jest pewną ewolucją tego typu straganowo-kioskowej tandety z poprzedniego stulecia. Wszystko przy tym jest podane w cukierkowej formule z szybką wysyłką.

Jest to kolejny po TikToku przykład platform z Chin, które robią niemało zamieszania w Europie. W tym wypadku nie chodzi jedynie o walkę gospodarczą, ta forma kuszenia klientów ociera się o stosowanie soft power, techniki umiejętnego przekonywania do zasobów kulturowych i budowania pozytywnego wizerunku danego kraju oraz wzbudzania zainteresowania obcokrajowców. Aplikacje schlebiające nadmiernemu konsumpcjonizmowi, w tym dające dostęp do szybkiej mody (fast fashion), są idealnym narzędziem do przekonywania do siebie młodych Europejczyków. Szczególnie że wszystko w nich jest w przystępnych cenach. Jak wynika z wielu badań, młodzi ludzie lubią gadżety. Według Global Soft Power Index, tworzonego przez firmę Brand Finance, która bada atrakcyjność państw dla międzynarodowej publiczności, Chiny w ostatnim roku przeskoczyły, jeśli chodzi o atrakcyjność, z piątego na trzecie miejsce, plasując się tuż za Wielką Brytanią i Ameryką, która w tym zestawieniu ma niezmiennie pierwszą lokatę.

Pozostaje pytanie, czy klientom przeszkadzają nieprawidłowości, którymi martwi się UOKiK, MRiT czy Unia Europejska. Odpowiedzmy w ten sposób – w sklepie z aplikacjami Google program Temu ma ocenę 4,7 na 5 gwiazdek. Pod koniec 2024 r. platforma miała już nie 15 mln, ale 18,2 mln realnych użytkowników. Ukochane przez Polaków Allegro ma ich tymczasem 18,9 mln.

> W aplikacji Temu można rzekomo dostać wszystko. I to za bezcen. Podobnie jest z platformą Shein.

Francja staje okoniem

11 czerwca 2025 r. francuski Senat większością głosów zdecydował o poparciu nowej ustawy regulującej działalność tanich gigantów odzieżowych. Nikt nie kryje, że nowe prawo jest wymierzone głównie w chińskie platformy e-commerce, takie jak Shein i Temu. Projekt ustawy powstał przede wszystkim w celu zajęcia się wpływem fast fashion na środowisko, ale również na ekonomię. W końcu zalewanie Europy chińskimi wyrobami w niskich cenach to efekt ich masowej produkcji. Francuzi przewidzieli m.in. system ekopunktów, który będzie uwzględniał m.in. poziom emisji gazów cieplarnianych, wykorzystanie zasobów i możliwości recyklingu.

Nad markami o najniższych wynikach zawiśnie widmo dodatkowego opodatkowania do 5 euro za sztukę odzieży, począwszy od tego roku. Do 2030 r. maksymalna stawka wzrośnie do 10 euro. Podatek nie może jednak przekroczyć 50% ceny detalicznej

eprasa.pl 7b6ac083fb

produktu. Ale ważniejsze jest to, że we francuskim projekcie ustawy zawarto zakaz reklamowania marek fast fashion, a także przewidziano sankcje dla influencerów, którzy odważą się promować takie firmy w internecie. Mimo to francuscy ekolodzy nie są zadowoleni z ustawy. Uważają, że skupienie się na markach z Chin jest błędem i zmarnowaną szansą. Nowe prawo chroni bowiem graczy europejskich, takich jak Zara, H&M czy Kiabi. „Mamy akt prawny, który będzie nakierowany na dwie marki, pomija zatem to, co stanowi przynajmniej 90% produkcji odzieży sprzedawanej we Francji. Jest to więc stracona szansa. Moglibyśmy mieć prawdziwe ambicje środowiskowe. Jesteśmy bardzo rozczarowani, ponieważ ostatecznie widzimy, że to ochrona gospodarcza stała się siłą napędową tej ustawy. A na początku były ambicje, aby pchnąć sektor w kierunku bardziej zrównoważonych praktyk", stwierdził w rozmowie z Euronews Pierre Condamine, kierownik kampanii w Friends of the Earth France.

Korea bis?

Chińska ekspansja nie jest zjawiskiem ani nowym, ani zaskakującym. Jeszcze 20 lat temu Amerykanie śmiali się z „głupich Koreańczyków", którzy wysyłali za bezcen do USA całe kontenery telewizorów i telefonów komórkowych, a z powrotem przyjmowali jedynie puste kontenerowce. Ta szarża pozwoliła wybić się na amerykańskim rynku na pozycję lidera m.in. Samsungowi. Niektórzy fani elektroniki mówią nawet, że telefony Samsunga to iPhone'y w świecie systemu Android. Od 2011 aż do 2022 r. Samsung pozostawał światowym liderem sprzedaży smartfonów. Ma ok. 18% udziału w rynku, tak samo jak jego główny konkurent z Cupertino, plasujący się dziś na pierwszym miejscu – chociaż to przewaga na milimetry. Warto przy okazji zauważyć, że na kolejnych trzech miejscach znajdują się tylko chińskie firmy: Xiaomi, Transsion i OPPO, a ich łączny udział w rynku daje dziś ponad 30%.

Podobne tendencje widać na rynku samochodowym. Ostatnio często się słyszy, że pojawiła się u nas kolejna marka z Chin. Dziennikarze motoryzacyjni uważnie przyglądają się temu zjawisku i weryfikują na bieżąco jakość chińskich samochodów. Można w tej chwili jedynie powiedzieć, że pierwsze zachwyty (o ile jakieś były) minęły i mimo wnętrz rodem z mercedesa na przeglądzie u mechanika nie jest już tak wesoło.

Podobnie jak chińskie marki zaczynała nad Wisłą w połowie lat 90. koreańska Kia. Pojawiła się jako przystępna cenowo alternatywa dla droższych aut europejskich. Kia przez lata kojarzyła się z tandetą, lecz dziś na stałe zagościła na polskich drogach.

Unia Europejska nie chce chyba jednak powtórki z rozrywki. Pod koniec 2024 r. wdrożyła cła na chińskie auta elektryczne. To reakcja na dynamicznie rosnący udział chińskich producentów w europejskim rynku motoryzacyjnym. Pytanie, czy działania te, podobnie jak w wypadku chińskich aplikacji, które mimo licznych oszustw zostają z pięciogwiazdkową oceną konsumentów, przyniosą zamierzony efekt. Zwłaszcza że według statystyk Europa nadal jest głównym odbiorcą chińskich elektryków. Ma do nas trafiać 40% tamtejszej produkcji. Chińczycy zaś rozpracowali Europę już parę lat temu i wiedzą, jak grać na strunach konsumpcjonizmu. Umiejętnie podsycanym na też pochodzącym z Chin TikToku. Tę chińską falę trzeba było zatrzymać na poziomie administracyjnym wiele lat temu. Dziś nikt nie zrezygnuje z ułudy życia „na wypasie". W końcu klienci chińskich aplikacji „kupują jak milionerzy".

Organizacje konsumenckie zarzucają Temu i Shein handel produktami podrabianymi i bez certyfikatów.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

Austriackie ugory niepamięci

Niewielu chce pamiętać, że w Dolnej Austrii był kobiecy podobóz KZ Mauthausen. Niepamięć i miliony euro wygrywają z historią ponad 400 kobiet, w tym 95 z Polski

Beata Dżon-Ozimek

„Co to za numery, mamo?", John Bloomfield jako dziecko pytał, co oznaczają wytatuowane na jej przedramieniu cyfry: 82 148. Miał 12 lat, kiedy ojciec przyniósł do domu książkę o obozie koncentracyjnym w Auschwitz – to tam więźniom tatuowano numery, golono głowy, kazano nosić pasiaki. Umberta wtedy przyznała: „Ja też tak wyglądałam".

21-letnią Włoszkę Umbertę Cappellari aresztowano w Trieście w 1944 r., wywieziono do Auschwitz, potem do obozu koncentracyjnego Mauthausen, stamtąd do podobozu w Hirtenbergu w Dolnej Austrii. Prócz niej trafiło tam z KL Auschwitz ponad 400 kobiet. Struktura KZ Mauthausen liczyła ponad 40 podobozów satelickich. Ich ofiary upamiętnia się w Austrii dopiero od niedawna, stanęły ledwie trzy obeliski. Gospodarze owych miejsc twierdzą, że taka pamięć nie idzie w parze z handlem ziemią i dobrym dla biznesu wizerunkiem miejscowości.

2 kwietnia 1945 r., kiedy „niebo było już całkowicie czerwone od pobliskich walk", jak pisała jedna z kobiet we wspomnieniach, więźniarki podobozu Hirtenberg wyruszyły w marszu śmierci do Mauthausen. Wiele nie przeżyło 170-kilometrowego marszu, siedem zastrzelono. Uciec udało się 48 kobietom. 58-letnia Polka była najstarszą więźniarką tego podobozu. KZ Mauthausen wyzwoliły 5 maja 1945 r. wojska amerykańskie.

Ciężko chorej Umbercie lekarze nie dawali szans, a jednak poślubiła brytyjskiego pułkownika, mieszkała z rodziną w Anglii aż do śmierci w wieku 95 lat. „Nigdy nie mówiła o swoich doświadczeniach w Hirtenbergu", wspomina jej syn John. 80 lat później dzięki aktywistom i dziennikarzom jako pierwszy z rodzin ofiar tego podobozu odwiedził miejsce, w którym jego matka doświadczyła cierpienia i pracowała niewolniczo w pobliskiej fabryce amunicji.

Przeciw horrorowi i chciwości

Przed szkołą średnią w Hirtenbergu od kwietnia 2024 r. znajduje się stela pamiątkowa, taka jak przy dwóch innych byłych podobozach KZ Mauthausen. Stanęła dzięki uporowi lokalnych aktywistów na rzecz pamięci z Initiative KZ-Gedenkstätte Mauthausen-Außenlager Außenlager Hirtenberg, Ericha Strobla i Gerharda Kainedera. To ze 3 km od lokalizacji dawnego drugiego, największego w Austrii kobiecego podobozu KZ Mauthausen, ale tam steli postawić nie można. Aktualny właściciel nieużytków z obozową przeszłością zgodził się ledwie na położenie bukietu kwiatów w 80. rocznicę zakończenia wojny – ale mogły tam leżeć tylko do wieczora. Około 150 osób, w tym Willi Mernyi, przewodniczący Komitetu Mauthausen, John Bloomfield i Barbara Glück, dyrektorka Miejsca Pamięci Mauthausen, spotkało się po raz pierwszy na terenie tej byłej filii obozu kobiecego.

Syn dawnej więźniarki mówił: „Nigdy nie możemy zapomnieć o tych okrucieństwach. Musimy je upamiętnić w znaczący, wymowny i publicznie widoczny sposób, aby przyszłe pokolenia zrozumiały, czego nigdy nam nie wolno robić naszym bliźnim". Poruszony Bloomfield apelował o „miejsce, park dla społeczności, z którego każdy będzie mógł korzystać w celu cichej kontemplacji i refleksji, miejsce pełne szacunku, które wyprze wspomnienia horroru i chciwości".

Nie można by trafniej odnieść się do aktualnej sytuacji terenów po dawnym podobozie kobiecym. Dziś nieużytek, czasami nazywany łąką Winnetou, formalnie przeznaczony jest pod zabudowę, to teren gminy Leobersdorf. Realizacja kontrowersyjnych planów budowy obiektów komercyjnych na fundamentach obozu staje się realna dzięki aktywności jej burmistrza.

Dziś fabryka, w której pracowały więźniarki, ma niewielkie archiwum, do którego ponoć nikt nie zagląda. Nie upamiętniono niewolniczo pracujących kobiet, firma nie rozliczyła się z historią.

Burmistrz Leobersdorfu rządzi

Temu wielomilionowemu interesowi przyjrzały się najstarszy austriacki dziennik „Wiener Zeitung" i tygodnik „Falter" w wielomiesięcznym śledztwie dziennikarskim

Pod koniec 2024 r. firma zajmująca się nieruchomościami, własność Andreasa Ramhartera, burmistrza, sprzedała dawne poobozowe grunty, które były jej własnością, w formie

eprasa.pl 7b6ac083fb

Przed szkołą średnią w Hirtenbergu, dzięki uporowi lokalnych aktywistów, 5 kwietnia 2024 r. stanęła pamiątkowa stela, taka jak przy dwóch innych podobozach KZ Mauthausen.

pojedynczych działek. Wtedy lista Ramhartera miała absolutną większość w radzie gminy, dlatego mógł przeprowadzić zmianę klasyfikacji ziemi na terenie byłego obozu koncentracyjnego, a gmina doprowadziła mu kanalizację, oświetlenie i światłowód do granicy terenu. Grunt zyskał na atrakcyjności, czyli na cenie. Gminę kosztowało to ponad 1,4 mln euro.

Firma Ramhartera nabyła kilka lat temu duże tereny w gminie w korzystnej cenie 10,5 mln euro – teren obozu koncentracyjnego jest ich częścią. Wcześniej te 16,5 ha (wielkość 24 boisk piłkarskich) należało do Republiki Austrii, pod koniec lat 80. państwo sprywatyzowało 350 ha w Kotlinie Wiedeńskiej, w tym ziemię w Leobersdorfie. Kupił ją szwajcarski miliarder Martin Ebner jako spółka zajmującą się handlem nieruchomościami w Austrii. Choć już od początku lat 90. ostrzegano przed „spekulacyjnymi transakcjami" byłymi publicznymi gruntami, Szwajcar zarobił na lasach, łąkach i nieużytkach. W Leobersdorfie interes się nie udał – centrum handlowe Leoville położone naprzeciw terenów dawnego obozu koncentracyjnego zbankrutowało i musiał je sprzedać. Dane te opieram m.in. na rozmowach z aktywistą Erichem Stroblem.

Inwestycja burmistrzowi szybko się zwróciła, dwa miesiące później zaczął sprzedawać działki, co nie udało się przez 32 lata Szwajcarom. Sprzedano je w 11 transzach, ostatnią w czerwcu 2023 r., zostały dwie. Firma burmistrza otrzymała łącznie 29 mln euro, czyli zarobiła 19 mln euro przed opodatkowaniem, a dzięki dwóm niewielkim zmianom klasy ziemi – dodatkowe 1,3 mln. Same tereny poobozowe przyniosły ok. 10 mln euro.

Te cenne nieużytki położone są przy drodze B18, gdzie graniczą ze sobą dolnoaustriackie gminy Hirtenberg i Leobersdorf. Właśnie tam znajdował się Lager am Weinberg, jak inaczej nazywa się filię obozu w Hirtenbergu.

Plany zabudowy poobozowej ziemi wywołały sprzeciw. Izraelska wspólnota religijna domagała się śledztwa, debatują KZ-Gedenkstätte Mauthausen, Federalny Urząd Ochrony Zabytków, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, podniosły się głosy rodzin byłych więźniów obozów. Bo zatrzymanie inwestycji jest możliwe. Dzięki publikacjom dziennikarskim dostrzeżono, że coś jednak jest nie tak.

Burmistrza Leobersdorfu to nie dotyczy, etyki, moralności nie ma na sztandarach, jest bezwzględnym biznesmenem, „rekinem nieruchomości". Razem z Liste Zukunft Leobersdorf (Listą Przyszłość Leobersdorfu) rządzi od kilkunastu lat, w wyborach gminnych w 2020 r. uzyskał ponad 53% głosów, w styczniu br. mniej, bo 37% – sprawa poobozowej ziemi jednak mu zaszkodziła. Nadal jest burmistrzem, teraz w koalicji z partiami prawicowymi. Czuje się zaszczuty. Mieszkańcy zaś są podzieleni, jedni nieśmiało uznają, że trzeba jakoś tę mroczną historię upamiętnić, szanować pamięć ofiar, drudzy twierdzą: ile można o wojnie, winie i obozach – trzeba żyć i rozwijać gminę.

Ta ziemia boli

Nowy właściciel poobozowej ziemi, naznaczonej cierpieniem, niewolniczą pracą i śmiercią kobiet, musi sobie z tym obciążeniem poradzić. Odkąd „Wiener Zeitung" i „Falter" upubliczniły plany wobec tych gruntów, sprzeciw narasta. Do ludzi wreszcie dociera, że nie można ot tak postawić parku biznesowego na terenie dawnego obozu

FOT. NOE.ORF.AT

eprasa.pl 7b6ac083fb

koncentracyjnego. Wciąż istnieją pozostałości infrastruktury, kilka lat temu były nawet na zlecenie nocami rujnowane koparką, te działania są udokumentowane; wciąż widać resztki drutu kolczastego, głęboki otwór, jak zbiornik na wodę, podmurówki, spore resztki murów, pod ziemią znajdują się artefakty. Trudno się pogodzić z tym, że teraz ktoś świadomie chce zniszczyć te bardzo szczególne pozostałości. „Miejsca pamięci są ważne, aby zachować przynajmniej część godności tych, którzy byli tam torturowani i zabijani, by uczyć się z historii, a także wykorzystywać te miejsca do zachowania niezwykle ważnej pamięci o #nigdywięcej", podkreślają aktywiści z Hirtenbergu. Zwłaszcza kiedy świadków już praktycznie nie ma, ich rolę przejmuje teren, pozostałości materialne. To nie jest zwykły ugór, nieużytek.

Petycję przeciwko inwestycjom na terenach poobozowych podpisało w krótkim czasie ok. 14 tys. osób – inicjatorem był Daniel Landau, dobrze znany i szanowany działacz społeczny, edukator obywatelski, nauczyciel, pedagog, koordynator krajowy ds. uchodźczej młodzieży ukraińskiej; jego rodzina o żydowskich korzeniach również była prześladowana. Na nieużytkach pojawili się aktywiści.

Nieopisane, nieupamiętnione losy

Ramharter chyba nie widzi problemu w stawianiu budynków komercyjnych na miejscu zbrodni nazistowskiej w jego gminie. Filia KZ Mauthausen w Hirtenbergu była obozem dla niewolniczych pracownic przemysłu zbrojeniowego od jesieni 1944 r. Więźniarki codziennie musiały w drewnianych chodakach wspinać się 45 minut na wzgórze. Stanowiły większość pracujących, dziennie w Wilhelm-Gustloff-Stiftung, najważniejszej w III Rzeszy fabryce amunicji, produkowały 1 mln nabojów. Do obozu przywożono kobiety z Auschwitz, ale dyrektor fabryki, jak wskazuje badaczka dr Brigitte Halbmayr, miał specjalne życzenie, by mu tu Żydówek z Auschwitz nie przysyłać. Ocalała Ukrainka wspominała: „Wybrał mnie jako pierwszą, ponieważ byłam tak silna. I wskazałam na [...] Niusię. »Weź moją siostrę«, a on – nigdy tego nie zapomnę – »Ona wkrótce umrze!«". „Nawet obozowe więźniarki były rasistowsko dzielone i antysemityzm nawet tu obowiązywał", mówi badaczka.

Naukowczyni w wywiadzie dla „Wiener Zeitung" zwraca uwagę, że to „typowo austriackie", „głęboko austriackie", że opowiada się historię do 1938 r. i od 1945 r., jakby pomiędzy tymi datami nic się nie wydarzyło.

W dzisiejszych zakładach, w których od 2019 r. nie ma już przemysłu obronnego, znajduje się niewielkie archiwum, do którego ponoć nikt nie zagląda. Nie ma upamiętnienia niewolniczo pracujących więźniarek, rozliczenia firmy z historią. Obowiązuje raczej podejście: nadszedł czas, aby nasza historia stała się historią. Poza tym można usłyszeć, że przecież to była filia obozu, nic tam takiego się nie działo, nie żaden tam KZ. Halbmayr wylicza zaś: więźniarki obowiązywał zakaz mówienia w pracy, nikt też nie mógł z nimi rozmawiać. Przemywały spirytusem 1 mln nabojów dziennie, maszyny wybuchały. Za karę wylewano wtedy wodę na cement i kazano im kłaść się twarzą w dół na dwie godziny, nazywano je „ruskimi świniami".

W obozie było 25 esesmanów strażników, wewnątrz – strażniczki, także okoliczne kobiety. Trzy więźniarki chciały kiedyś uciec, miały się przebrać, ktoś miał im pomóc na zewnątrz. Ostatecznie któraś zdradziła, bezcenne ubrania wrzuciły do latryn. Wszystkie zostały ukarane wielogodzinnym klęczeniem na zimnie. Przed marszem śmierci jedna z więźniarek miała zaopatrzyć inne w ołówki, żeby pisały na ścianach, co im tu robiono, jak dręczono, katowano. Taka sobie filia obozu, Lager am Weinberg…

Zapomnienie – druga niesprawiedliwość

W fabryce amunicji pracowali także ludzie z Leobersdorfu i Hirtenbergu – trudno sobie wyobrazić, by nic nie wiedzieli. Czy 80 lat po wojnie Austria nie chce pamiętać? Bo poza stelą przy szkole nie ma nic, żadnego śladu, upamiętnienia. „To jest etycznie, moralnie nie w porządku", ze smutkiem mówi Brigitte Halbmayr. A syn więźniarki, John Bloomfield, zakończył swoje austriackie spotkanie słowami: „To, czego się dzisiaj dowiedziałem z badań nad moją matką i innymi kobietami więzionymi w obozie koncentracyjnym w Hirtenbergu, ma tak głębokie i uniwersalne znaczenie dla milionów ludzi, że nigdy nie możemy zapomnieć o tych okrucieństwach".

Willi Mernyi, przewodniczący Komitetu Mauthausen, uważa, że fraza „nigdy nie zapomnieć" to coś więcej niż spojrzenie wstecz: „Czy »nigdy więcej« nie zaczyna się od odkrycia miejsc w całej Austrii, gdzie prawicowi ekstremiści zbierają broń, cieszą się swastykami, a wielu mówi: »To tylko kolekcjonerzy«?". Sven Hergovich, szef Socjaldemokratycznej Partii Dolnej Austrii, ostrzega, że okrucieństwa ery nazistowskiej nie powinny zostać zapomniane, „ponieważ zapomnienie byłoby drugą niesprawiedliwością. Pamięć jest naszą misją. Naszym obowiązkiem jest dopilnowanie, by zbrodnie te nigdy nie były relatywizowane ani nawet negowane".

Tymczasem mieszkańcy Leobersdorfu niechętnie odnoszą się do tematu nieużytku po dawnym obozie koncentracyjnym. Wielu narzeka, że nie można tyle lat po wojnie wciąż być odpowiedzialnym, ciągle o tym rozmawiać czy nachodzić ludzi. To nie jest w porządku. Podobnie chyba uważa ktoś, kto na starym szlabanie przy nieużytku poobozowym wymalował wiele miesięcy temu swastykę. I ci, którzy jej nie zamazali.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Petycję przeciw inwestycjom na terenach poobozowych podpisało w krótkim czasie ok. 14 tys. osób, inicjatorem był Daniel Landau.

eprasa.pl 7b6ac083fb

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

ABW, czyli makkartyzm po polsku

Będzie prawdziwie, choć bez nazwisk. Na razie. Kilka miesięcy temu opisywałem elementy kuriozalnego (wznowionego) śledztwa w sprawie zabójstwa Jolanty Brzeskiej, do którego ABW wciągnęła, w roli świadka, mojego znajomego, ponieważ onegdaj wziął udział w demonstracji ruchu lokatorskiego. Policja sfotografowała uczestników legalnej i zarejestrowanej manifestacji, po czym wywiadowcze orły z ABW uznały, że jeśli demonstrował, to musi „coś" wiedzieć. O to „coś", bo nawet nie wiedzieli, o co, usiłowali go podczas przesłuchania dopytać. Założenie, że jak się nie wie, czego się chce dowiedzieć i dlaczego akurat od tej osoby, nie ma chyba szansy sprawdzić się w śledztwie, ale ja się nie znam na śledztwach. Raz w życiu zrobiłem śledztwo i wykryłem – po 50 latach – że w jednym swoim wierszu (konkretnie w „Liczbie Pi") Wisława Szymborska zrobiła piękny żart matematyczny, który w spokoju tomików poezji poleżał sobie owe 50 lat. Aż.

Tamto śledztwo prokuratura zamknęła, wypytywanie uczestników demonstracji (bo było ich więcej) nie pomogło w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, kto zabił Jolantę Brzeską.

W tamtym śledztwie przynajmniej była zbrodnia. Tylko efektów zabrakło. Dzisiaj opiszę element śledztwa, w którym nie wiadomo, o co chodzi, ale zupełnie jak w innych czasach sama ta czynność służy wyłącznie próbie zastraszenia i nękania kogoś, kogo ABW sobie wytypowała. Rzecz dotyczy bliskiej mi bardzo osoby, jej wiarygodność jest niepodważalna.

Owa osoba w nieodległym czasie pracowała w małym, niezależnym medium, pisała teksty, reportaże, komentarze. Taką pracę nazywamy dziennikarstwem, mamy nawet w Polsce ustawę, zwaną Prawem prasowym, która opisuje reguły funkcjonowania tego „niezależnego" zawodu. Znajdujemy w niej m.in. takie zapisy: „Nie wolno utrudniać prasie zbierania materiałów krytycznych ani w inny sposób tłumić krytyki" oraz: „Kto utrudnia lub tłumi krytykę prasową, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności". I dokładnie taki wymiar miało przesłuchanie osoby, o której piszę.

Pozornie pretekstem do wezwania było prowadzone przez prokuraturę od dwóch lat dochodzenie w sprawie źródeł finansowania medium, gdzie nasz bohater czy bohaterka pisali swoje teksty. Nie wiem, jak gigantyczną niewiedzą trzeba dysponować, by usiłować wyciągnąć od szeregowego dziennikarza małego, niezależnego medium informacje, skąd właściciel czy redaktor naczelny brał pieniądze na mizerne wypłaty. Chyba że chodzi nie tyle o zdobycie wiedzy i dowodów w sprawie, potwierdzenie podejrzeń, ile o postraszenie i nękanie dziennikarza. Jak inaczej można interpretować dociekliwość przesłuchującego oficera ABW (nazwisko i stopień znane), który pyta o znajomość języków obcych, o źródło poglądów politycznych autora, o to, czy pisał samodzielnie, czy raczej ktoś mu kazał tak myśleć i komentować. Skąd brał pomysły na teksty i tematy komentarzy. Były pytania o wyjazdy zagraniczne. I wielokrotnie przywoływane paragrafy o groźbie więzienia za składanie fałszywych zeznań. Jak można złożyć fałszywe zeznania na temat swoich poglądów politycznych (to o tyle istotne, że oficer akcentował, że on ma odmienne – „patriotyczne")? Poglądy znowu w Polsce są karane? Są wykroczeniem, przestępstwem, zbrodnią? Są elementem śledztwa? A pytanie o to, skąd ma się jakieś przekonanie czy ocenę zjawisk społecznych, politycznych, międzynarodowych – to próba ustalenia przez policję polityczną właściwie czego?

W trakcie przesłuchania oficer popisywał się też wiedzą o elementach życia prywatnego świadka, niemających jakiegokolwiek znaczenia w jakiejkolwiek sprawie. Żeby było widać: my nawet to wiemy.

Nie decydując się na razie na upublicznienie szczegółów (nie z tego powodu, że kolejne groźby wobec przesłuchiwanej osoby dotyczyły właśnie upublicznienia szczegółów przesłuchania), mogę powiedzieć tylko tyle, że samo przesłuchanie ewidentnie jest jakimś odpryskiem politycznego wzmożenia i histerii. Zresztą została zwerbalizowana owa podejrzana „lewicowość" osoby piszącej i podejrzliwość co do źródeł lewicowych poglądów – bo przecież ich posiadanie samo w sobie jest w Polsce podejrzane.

Przesłuchanie trwało kilka godzin, nic nie przyniosło, bo nie miało jak. Kiedy słuchałem szczegółowej relacji (jest na szczęście świadek, uczestniczący w przesłuchaniu prawnik z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka), byłem naprawdę wstrząśnięty, że w taki sposób wobec dziennikarza może się zachowywać oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Taki rozkaz, takie techniki. No i może potem takie rezultaty.

W latach 70. i 80. w środowiskach ówczesnej opozycji demokratycznej lekturą obowiązkową był niewielkich rozmiarów poradnik „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa" autorstwa, jak się później okazało, mec. Jana Olszewskiego, obrońcy politycznego w PRL, późniejszego premiera. Broszurka zrobiła robotę. Wygląda na to, nie od dziś zresztą, że jej zaktualizowana wersja powinna wrócić do obiegu. Wolność wolnością, ale jakimi językami obywatel włada i dlaczego mówi i pisze to, co mówi i pisze? Obywatelu, pamiętaj, władza tego nie lubi i ma aparat, żeby o to dopytać. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Z czym naprawdę walczy Francja?

Zmagania z terroryzmem czy instytucjonalny atak na islam?

„Trzeba zaatakować korzeń, podłoże, na którym rozwija się islamski terroryzm (...). Nauczyciele, urzędnicy, lekarze, wolontariusze stowarzyszeń są zjednoczeni wszędzie, w najbardziej wrażliwych miejscach Republiki, by zapobiegać, wykrywać i działać przeciwko radykalizacji", grzmiał prezydent Francji Emmanuel Macron podczas uroczystości upamiętnienia ofiar ataku terrorystycznego 3 października 2019 r.

Faktycznie, od mniej więcej 2016 r. społeczeństwo francuskie coraz bardziej się radykalizuje. Według danych w 2024 r. każdego miesiąca 2558 osób było śledzonych ze względu na podejrzenie o działalność terrorystyczną (o 6% więcej w porównaniu z 2023 r.). Ponadto, jak czytamy w odpowiedzi ministra spraw wewnętrznych na interpelację z 18 marca br., od 2023 r. ponad dwie trzecie zaangażowanych w działalność terrorystyczną stanowiły osoby poniżej 21. roku życia. Wobec narastającego problemu państwo zaostrza zarówno politykę wyznaniową, jak i sposób kształcenia młodych ludzi. Dziś temat walki z islamem zajmuje jedno z najważniejszych miejsc w debacie publicznej, rząd rozważa zaś wprowadzenie kolejnych ograniczeń, np. dotyczących noszenia hidżabu na uniwersytetach.

Pojawia się jednak pytanie, z czym tak naprawdę walczy Francja. Czy mówimy o zmaganiach z islamizmem w kontekście terroryzmu, czy o ataku na islam jako religię?

Zamiast analizować źródła frustracji i wykluczenia, uderza się w tych, którzy sami są ofiarami systemu. „Ustawa przeciw separatyzmowi" często pogłębia wykluczenie.

Konfliktogenny fundament Republiki

Francuzi bardzo często zwracają uwagę na to, że pierwsze pokolenie imigrantów z państw Maghrebu nie stanowiło zagrożenia. Zjawisko radykalizmu pojawia się później, zwłaszcza po 2000 r. Może być ono tłumaczone zbyt kategoryczną polityką asymilacji oraz laickością państwa, która często odbierana jest przez ludzi młodych, poszukujących swojej tożsamości, jako przemoc kulturowa. Aby zrozumieć złożoność tego problemu, warto krótko się odnieść do historii francuskiej laickości, uznawanej za fundament Republiki.

Najważniejszym aktem prawnym dotyczącym religii we Francji jest ustawa o rozdziale Kościoła od państwa z 1905 r., która obowiązuje do dzisiaj. Na jej podstawie państwo nie uznaje, nie finansuje ani nie wspiera żadnej religii, zachowując przy tym całkowitą neutralność instytucji publicznych. Uznaniem zasady świeckości było wpisanie do art. 1 konstytucji z 1958 r. zasady, że Francja jest republiką niepodzielną, świecką, demokratyczną i socjalną. Rodzicom pozostawiono możliwość świadomego wyboru pomiędzy świeckim a religijnym systemem wychowania dzieci, co zostało zagwarantowane poprzez dostęp do różnorodnych szkół prywatnych, zarówno niezależnych, jak i tych, które zawarły umowy z państwem na mocy tzw. ustawy Debrégo z 1959 r. Rozwiązanie to umożliwia edukację zgodną ze światopoglądem rodziców, przy poszanowaniu zasad laickości obowiązujących w sferze publicznej. Funkcjonowanie szkół półprywatnych jest szczególnie istotne w kontekście tzw. entryzmu islamskiego (zjawiska rozprzestrzeniania się islamu w sposób niekontrolowany – przyp. red.) oraz radykalizacji.

W 2004 r. zabroniono noszenia ostentacyjnych symboli religijnych w szkołach, co dodatkowo zaogniło stosunki pomiędzy państwem a mniejszością muzułmańską.

Warto podkreślić, że początkowo batalia prawna dotycząca świeckości państwa była motywowana zagrożeniem odgórnym, czyli ingerencją Kościoła katolickiego w sprawy

eprasa.pl 7b6ac083fb

Nauczyciel Samuel Paty w 2020 r. został brutalnie zamordowany przez swojego ucznia, po tym jak na lekcji o wolności słowa pokazał karykatury Mahometa.

publiczne, a następnie stopniowo, na przestrzeni ostatniego wieku, dopasowywała się do zagrożenia oddolnego, czyli radykalizacji obywateli wyznania muzułmańskiego.

Nierówne szanse i ich następstwa

Warto przyjrzeć się również problemom społecznym na poziomie ekonomicznym. Powołując się na krytykę socjologiczną Pierre'a Bourdieu, która koncentruje się na badaniu nierówności społecznych i mechanizmów, które je podtrzymują, należy podkreślić, że system edukacji może nie tylko odzwierciedlać istniejące nierówności społeczne, lecz także je pogłębiać, tworząc mechanizmy selekcji i klasyfikacji uczniów na podstawie ich pochodzenia społecznego, kapitału kulturowego rodziców czy dominujących wzorców obyczajowych charakterystycznych dla danej klasy społecznej. W rezultacie dochodzi do systemowego tworzenia sfer uprzywilejowań i wykluczeń, które szczególnie dotykają młodzież z klasy ludowej, zwłaszcza uczniów pochodzenia muzułmańskiego.

Skutkiem tego rodzaju dyskryminacji jest narastający resentyment oraz proces radykalizacji młodego pokolenia, poszukującego alternatywnej tożsamości wobec wykluczającej rzeczywistości szkolnej. Tacy uczniowie coraz częściej podważają treść nauczanych przedmiotów i fundamentalne wartości Republiki, co prowadzi do licznych napięć i konfliktów w relacji nauczyciel-uczeń. Dodatkowo uczniowie z tzw. stref edukacji priorytetowej (*zones d'éducation prioritaire*) często spotykają się z wyrażaną w różnych formach pogardą ze strony nauczycieli, co nasila systemową dyskryminację. W takiej sytuacji wiele młodych osób jest narażonych na wpływ różnorakich ideologii, które kształtują ich poglądy i przekształcają się w zagrożenie społeczne.

Grupą szczególnie narażoną na agresję są nauczyciele. Zradykalizowani uczniowie kontestują przede wszystkim treści przedmiotu edukacja moralna i obywatelska, w którym nacisk kładzie się na wartości republikańskie, w tym świeckość państwa. Uczniowie muzułmańscy często okazują oburzenie, kiedy nauczyciele omawiają rozdział poświęcony wolności słowa i wartościom demokratycznym – wychowawcy mogą bowiem pokazywać podopiecznym np. karykatury prasowe.

Był to przypadek Samuela Paty'ego, brutalnie zamordowanego w 2020 r. przez swojego ucznia, po tym jak na lekcji dotyczącej wolności słowa pokazał podopiecznym karykatury Mahometa. Trzy lata później podobny los spotkał Dominique'a Bernarda, zamordowanego przez byłego ucznia, który ślubował wierność Państwu Islamskiemu.

Republika zaostrza politykę

W odpowiedzi na narastające napięcia społeczne i zagrożenie ze strony ideologii sprzecznych z zasadami Republiki przyjęto w 2021 r. tzw. ustawę o wzmocnieniu zasad republikańskich (*loi confortant le respect des principes de la République*), potocznie określaną jako „ustawa przeciw separatyzmowi". Jej uchwalenie wywołało szeroką debatę publiczną oraz wiele kontrowersji. Celem ustawy było głównie wzmocnienie świeckiego charakteru państwa i przeciwdziałanie wpływom ugrupowań religijnych mogącym prowadzić do rozwoju postaw sprzecznych z zasadami demokracji, równości i wolności obywatelskich. Nowe przepisy koncentrują się zwłaszcza na umocnieniu neutralności instytucji publicznych, zwiększeniu nadzoru nad działalnością związków wyznaniowych i ograniczeniu ich ingerencji w sferę życia publicznego.

Ustawa wprowadziła również nowe obowiązki wobec stowarzyszeń, uzależniając możliwość otrzymywania wsparcia finansowego ze środków publicznych od podpisania i przestrzegania tzw. kontraktu zaangażowania republikańskiego (*contrat d'engagement républicain*), który zobowiązuje organizacje do poszanowania zasad republikańskich, w tym neutralności, równości i godności ludzkiej.

Dodatkowo rozszerzono podstawy prawne umożliwiające rozwiązanie stowarzyszeń, które działają w sposób sprzeczny z tymi wartościami, i zaostrzono nadzór nad ich finansowaniem – przede wszystkim w zakresie funduszy pochodzących z zagranicy, co ma na celu ograniczenie wpływu organizacji radykalnych, w tym ekstremistycznych ugrupowań religijnych. Nowe regulacje objęły także wspólnoty religijne: stowarzyszenia wyznaniowe są obecnie zobowiązane do rejestracji w prefekturze, prowadzenia transparentnej księgowości oraz zgłaszania darowizn zagranicznych przekraczających określony próg. Ustawa przewiduje też ściślejszy nadzór nad edukacją domową, znacznie utrudniając

FOT. SIPA/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

jej prowadzenie bez odpowiedniego uzasadnienia, i wzmacnia kontrolę nad szkołami funkcjonującymi poza systemem umów zawartych z państwem. Co więcej, przewidziano penalizację praktyk uznawanych za sprzeczne z fundamentalnymi zasadami Republiki, takich jak przymusowe małżeństwa, wielożeństwo czy wydawanie zaświadczeń o dziewictwie, które są postrzegane jako przejaw opresji wobec kobiet.

Walka z islamem

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że problem zostanie skutecznie rozwiązany poprzez przyjęcie odpowiednich przepisów. Nic bardziej mylnego. „Ustawa przeciw separatyzmowi" zawiera sformułowania na tyle ogólne i nieprecyzyjne, że pozostawiają one szerokie pole do arbitralnych decyzji ze strony organów państwowych. Tego rodzaju niejasności legislacyjne budzą poważne obawy co do poszanowania podstawowych wolności obywatelskich. W obliczu coraz silniejszych ograniczeń i presji, które odczuwa część społeczeństwa, reakcją może się okazać nie wyciszenie napięć, ale mobilizacja ideologiczna. W przypadku francuskich muzułmanów może to przybrać formę jeszcze silniejszego podkreślenia własnej tożsamości kulturowo-religijnej w kontrze do działań postrzeganych jako stygmatyzujące.

Związek zawodowy CGT ostrzega w wystąpieniach przed realnym zagrożeniem dla wolności sumienia i wyznania – wartości fundamentalnych w każdej demokratycznej republice. Laly, francuska aktywistka związana z ruchem La France insoumise (LFI), zwraca w tym kontekście uwagę na szczególnie niepokojący brak rozróżnienia pomiędzy islamem jako religią a islamizmem jako zjawiskiem polityczno-ideologicznym. Jej zdaniem państwo, zamiast próbować zrozumieć i zwalczać rzeczywiste przyczyny problemów społecznych, skupia się na ich powierzchownych przejawach. „Zamiast analizować źródła frustracji i wykluczenia, uderza się w tych, którzy sami nierzadko są ofiarami systemu", podkreśla Laly. W rezultacie walka z radykalnym islamizmem coraz częściej przybiera formę represyjnych działań wymierzonych nie w konkretne zagrożenia, lecz w społeczność muzułmańską. To już nie jest debata o bezpieczeństwie publicznym, lecz pytanie o granice demokratycznego państwa prawa i o to, kto naprawdę znajduje się dziś w jego centrum zainteresowania, a kto na peryferiach.

Debata publiczna zaostrza się w obliczu ostatnich doniesień o raporcie na temat Braci Muzułmanów, w którym można przeczytać, że nastąpiła „rygoryzacja praktyk religijnych", wraz z coraz częstszym powrotem do noszenia abai i hidżabu, w szczególności przez dziewczęta.

W 2024 r. każdego miesiąca 2558 osób było śledzonych ze względu na podejrzenie o działalność terrorystyczną.

Wobec narastającego problemu partia rządząca proponuje następujące rozwiązanie: „W przypadku nieletnich poniżej 15. roku życia zakazać należy noszenia chusty (hidżabu) w przestrzeni publicznej, zwłaszcza dlatego, że poważnie narusza to równość kobiet i mężczyzn oraz ochronę dzieci".

Jak komentują media, zakładałoby to popełnienie „przestępstwa komunitaryzmu, uzupełniającego przestępstwo separatyzmu", „karzącego wzywanie do odrzucenia praw Republiki lub dążenie do narzucenia na danym terytorium czy w ramach stowarzyszenia zasad sprzecznych z zasadami Republiki".

Według Laly wspomniany wyżej raport jest ilustracją walki z islamem, nie zaś z islamizmem, ponieważ pokazuje zjawiska i praktyki związane z wyznaniem, takie jak noszenie hidżabu, a nie działania terrorystyczne. W debacie publicznej doszło do daleko idącej instrumentalizacji tego raportu w celach czysto wyborczych. W wyniku jego rozpowszechniania nastąpiła brutalizacja debaty publicznej na temat islamu, co ma bezpośrednie przełożenie na życie wyznawców.

Warto w tym miejscu zatrzymać się na chwilę przy jednym z najczęściej przywoływanych argumentów, czyli równości płci. Choć z pozoru brzmi on jednoznacznie, w rzeczywistości podlega wielu interpretacjom, często sprzecznym. Coraz więcej jest głosów za tym, że zakaz noszenia hidżabu nie tylko nie służy emancypacji kobiet, ale wręcz staje się jej zaprzeczeniem – podnoszą tę kwestię zwłaszcza współczesne nurty feministyczne. Jeśli kobieta, kierując się osobistym wyborem, decyduje się na noszenie chusty, odebranie jej tego prawa jest ograniczeniem jej autonomii, a nie wyrazem troski o równość.

Coraz głośniej mówi się także o możliwości wprowadzenia kolejnej ustawy wymierzonej w tzw. separatyzm. Widać tu jeszcze wyraźniej niepokojący kierunek, w jakim zmierzają działania instytucji państwowych. Walka z radykalizacją stopniowo przeradza się w instytucjonalną konfrontację z islamem jako takim, przy jednoczesnym redefiniowaniu laickości w duchu coraz bardziej politycznym i wykluczającym.

Czy walka z islamizmem przyniesie zamierzone rezultaty? Wydaje się, że przy aktualnej polaryzacji ekonomicznej oraz ideologicznej państwo wybrało złą drogę. Wraz z zaostrzeniem prawa nieuniknione wydaje się zaostrzenie nastrojów antyinstytucjonalnych. Bardzo często osoby popadające w islamski radykalizm pochodzą z mniej zamożnych środowisk, co rzutuje na ich ścieżkę zawodową. Państwo powinno w pierwszej kolejności skupić się na zwalczaniu nierówności społecznych, przez które dochodzi do licznych patologii. Zamiast walki instytucjonalnej z islamem powinno prowadzić walkę edukacyjną z islamizmem. Jedynie przekazywanie wiedzy i umożliwianie rozwoju młodym ludziom może dać nadzieję na zwalczenie negatywnych zjawisk wynikających z rosnącego wpływu radykalnego islamu na życie społeczne.

Sarah Bomba

eprasa.pl 7b6ac083fb

Oko w oko

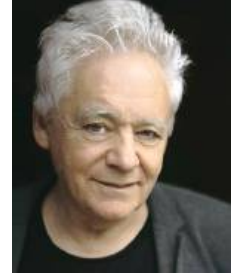

Tomasz Jastrun

Błędne koło

Pesymiści twierdzą, że dni brakowało Iranowi do stworzenia bomby atomowej, sceptycy marudzą, że aż trzech lat. Czy Izrael miał czekać? Iran nie ukrywa, że chce wymazać Izrael z mapy świata. Broń jądrowa świetnie do tego się nadaje. Iran to odrażający reżim, wspierający teraz czynnie Rosję, to państwo ortodoksyjnie religijne, nienawidzące cywilizacji zachodniej. Netanjahu jest politycznym bandytą, Izrael jest głęboko podzielony, jak Polska. Połowa Izraela, ta liberalna, nienawidzi go jak połowa Polski Kaczyńskiego i jego bandy. Netanjahu to typ dyktatora psychopaty, rządzi jednak w demokratycznym kraju, to jedyna demokracja na Bliskim Wschodzie (sądy są tam bardziej niezależne niż u nas, dlatego jak Bibi przestanie być premierem, idzie siedzieć). Paradoksalnie chyba tylko on, nacjonalista, mógł podjąć tak drastyczną decyzję jak uderzenie w 90-milionowy Iran przez liczące 10 mln państwo, oddalone na dodatek o tysiące kilometrów. To była decyzja straszna, ale racjonalna. Jak żyć w niewielkim kraju, leżącym jak na otwartej szczupłej dłoni, z bombą atomową trzymaną nad głową twoją i twoich dzieci przez psychopatę?

Iran stworzył dwie wielkie organizacje terrorystyczne, które popełniły wiele potwornych zbrodni, jest państwem zbójeckim, stosującym drakońskie kary i tortury, ciemiężącym obywateli, szczególnie kobiety. A był to kiedyś, nie tak bardzo dawno, względnie normalny, cywilizowany kraj, pełen sympatycznych ludzi – do chwili przejęcia władzy przez fanatyków religijnych. I trzeba pamiętać, że Irańczycy to Persowie, nie Arabowie. Wiele państw arabskich ich nienawidzi, bo to islamscy szyici. Mają mocarstwowe ambicje oraz złowrogie plany wobec sąsiadów.

Straszna jest spuścizna inwazji z 2003 r. na Irak, gdzie według szacunków mogło zginąć nawet 1 mln ludzi. Operacja wojskowa Izraela była „arcydziełem militarnym", tak mówią wojskowi. Ale co to gwarantuje na dalszą przyszłość Izraelowi? Niczego nie gwarantuje, doprowadzi do opóźnienia irańskiego programu nuklearnego, za to spowoduje, że nienawiść Iranu do Izraela przybierze formę psychozy. Czy było inne wyjście? Nic nie robić – to czekać na zagładę. Rokowania i inspekcje ich programu nuklearnego to była gra pozorów i seria oszustw.

Jak wiemy, to teraz niejedyna wojna Izraela. Czy ten kraj poczęty z Holokaustu mógł nie zaatakować Gazy po „małym Holokauście" zgotowanym Izraelowi przez Hamas? To była trauma, wsadzenie noża w otwartą ranę Zagłady. Terroryści w Gazie gardzili swoimi pobratymcami, ukrywali swoje siedziby pod szkołami i szpitalami. A połowa tej strasznej liczby 50 tys. ofiar, o czym się nie mówi, to terroryści Hamasu. Kiedy Izrael zaatakował Gazę, napisałem do znajomych w Aszkelonie, że świat teraz straci sympatię dla Izraela. Odpisali, że tak.

Na tym też polegał dramat tej decyzji, była nieunikniona, podjąłby ją nawet polityk o gołębim sercu, a Netanjahu ma żelazne, ale prowadziła do klęski humanitarnej i moralnej. Hamas był jak złośliwy rak. Okazało się, że nie można go wyciąć częściowo, bo odrośnie, a całkowite wycięcie musiało się łączyć ze zburzeniem Gazy, co z kolei prowadziło do śmierci tysięcy cywilów i głodu. I to jest zwycięstwo Hamasu, który jest bliźniakiem SS. To jakby ta formacja w finale moralnie wygrała. Kiedy pytam potępiających atak na Gazę, co oni by zrobili na miejscu Izraela – w ataku Hamasu zginęło 1,5 tys. ludzi, mordowano okrutnie wszystkich, też małe dzieci – milkną, nie znają odpowiedzi.

Świat nie zwariował, zawsze był szalony.

Ten region to nagromadzenie błędnych kół. Państwo palestyńskie powinno powstać, ale pod warunkiem, że uzna istnienie państwa Izrael, no bo jak inaczej? To zaś niemożliwe. Kolejne błędne koło. A przecież obywatelami Izraela, i to lojalnymi, jest 1 mln Palestyńczyków, mają swoich przedstawicieli w Knesecie. Odwiedzając sporo lat temu szpital Hadassa w Jerozolimie, widziałem leczone tam dzieci z Gazy, jedną trzecią pacjentów stanowili Arabowie. Jeśli cały Izrael ma być obwiniany za Netnajahu, wszyscy Palestyńczycy są winni, że wyhodowali w swoim brzuchu Hamas. W tym regionie nic nie jest proste.

A obok nas? Miało zginąć lub zostać rannych 1 mln rosyjskich żołnierzy, można zakładać, że ukraińskich nie mniej, wielu zginęło po atakach dronów dostarczanych Rosji przez Iran. A myśmy się oswoili z tą wojną i już o niej nie myślimy. Wojna na Bliskim Wschodzie zaszkodzi Ukrainie, mniej będzie uwagi, ale też broni. Potrafimy się pochylać ze współczuciem nad życiem jednego rannego, ale już nie wtedy, gdy słyszymy o milionach zabitych, bo to nie mieści się w głowie. Świat nie zwariował, zawsze był szalony. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

Tu handluje się dziećmi

Portugalia to centralny punkt transferowy międzynarodowych sieci

Tomasz Skowronek

Od ponad dekady władze Portugali informowały o szerzeniu się w ich państwie handlu dziećmi. W marcu 2025 r. w ciągu zaledwie 10 dni dwukrotnie udowodniono, że ten proceder trwa w najlepsze. Dwa incydenty, najpierw na lotnisku w Lizbonie, a następnie na lotnisku w Porto, unaoczniły policji sposób działania międzynarodowych sieci, które wykorzystują Portugalię jako punkt przerzutowy dla dzieci z Angoli, Gwinei, Konga lub Ghany do krajów europejskich, takich jak Francja, Belgia i Szwajcaria.

W sumie w 2024 r. na lotniskach w Portugalii zatrzymano 24 nieletnich. Nastolatki, głównie z krajów portugalskojęzycznych, przybywające w towarzystwie przemytnika i z fałszywymi dokumentami, były wysyłane do nielegalnej adopcji, fałszywych akademii piłkarskich lub zmuszane do żebractwa.

W 2024 r. na lotniskach w Portugalii zatrzymano 24 nieletnich w towarzystwie przemytników i z fałszywymi dokumentami.

Dzieci z Angoli na sprzedaż

Pierwszy przypadek: 11 marca 2025 r. Po przeszło siedmiogodzinnym locie z Luandy 40-letnia kobieta pochodzenia portugalsko-angolskiego i 15-letni Angolczyk przygotowują się do przekroczenia granicy na lotnisku Portela w Lizbonie. Nastolatek ma przy sobie portugalski jednolity dokument podróży (wydawany w trybie pilnym obywatelom Portugalii, którzy znajdą się za granicą bez dokumentów), który po wjeździe do kraju umożliwi mu uzyskanie portugalskich dokumentów i prawo do swobodnego przemieszczania się w obrębie strefy Schengen.

Tożsamość chłopca wzbudza wątpliwości funkcjonariuszy Policji Bezpieczeństwa Publicznego. Zostaje wezwana krajowa jednostka antyterrorystyczna policji sądowej – podróż Angolczyka, który miał wylądować we Francji, kończy się na lizbońskim lotnisku.

„Z tego, co rozumiemy, ta obywatelka umieszczała dziesiątki angolskich dzieci w Europie z fałszywymi dokumentami i korzystała z tej drogi co najmniej od 2020 r. Robiła to nawet w czasie pandemii. Zarabiała na tym. Otrzymywała 4 tys. dol. (3,7 tys. euro) za dziecko", podano w oficjalnym komunikacie policji sądowej.

Przemytniczka była tylko jednym z ogniw w łańcuchu – odpowiadała za transport ofiar, podobnie jak „muły", ludzie transportujący narkotyki z miejsca pochodzenia do miejsca przeznaczenia.

„Dzieci często trafiają do rodzin mających takie samo obywatelstwo jak one – te adoptują je lub przyjmują po to, by uzyskać pomoc państwa, która może sięgać 1,5 tys. euro

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

miesięcznie na osobę. Gdy liczba dzieci wzrasta z trójki do czwórki, pieniądze są znacznie większe. To dlatego ludzie kupują dzieci od handlarzy", czytamy w tym samym źródle.

Drugi przypadek: 22 marca 2025 r. 48-letni Angolczyk przybywa przez Stambuł na lotnisko Sá Carneiro w Porto z sześcioletnią dziewczynką z Luandy. Twierdzi, że to jego córka. Funkcjonariusze policji nabierają wątpliwości co do relacji między nimi, a także co do wieku dziewczynki i autentyczności jej paszportu.

Rumuńskie dzieci sprzedane za 100 euro

W latach 2016-2020 Policja Bezpieczeństwa Publicznego (PSP) zidentyfikowała około trzydzieściorga dzieci, które padły ofiarą przemytu z Rumunii do Portugalii. Jak donosi dziennik „Sábado", nieletnich wykorzystywano do żebrania w pobliżu szpitali i atrakcji turystycznych w największych miastach Portugalii – jednym z takich miejsc był most Ludwika I w Porto. Realizacja tego planu w ciągu zaledwie czterech lat przyniosła organizacjom przestępczym pół miliona euro, co przekłada się na prawie 500 euro za dziecko dziennie.

Komisarz PSP João Soeima powiedział gazecie „Sábado", że wielu z uprowadzonych nieletnich „wyemigrowało", ale niektórzy pozostali i związali się z komórkami przestępczymi. „Część dzieci, które teraz są już dorosłe, wyemigrowała i kontynuowała życie w innych krajach europejskich – tłumaczy João Soeima. – Inne wróciły do swoich rodzin, a jeszcze inne w jakiś sposób zostały powiązane z organizacjami, które nimi handlowały. Wiemy, że przynajmniej jedna z dziewcząt zaszła w ciążę i że tym, których zidentyfikowaliśmy i odnaleźliśmy, nie stała się żadna krzywda. Niektóre dzieci po prostu uciekły i nadal potrzebują ochrony". Soeima podaje, że w momencie odłączenia od rodziny dzieci miały zaledwie „od 13 do 15 lat" i były to „prawie same dziewczynki".

Organizacje przestępcze rekrutowały dzieci na różne sposoby: niektóre rodziny otrzymywały ok. 100 euro w zamian za swoich nieletnich członków. W innych przypadkach obiecywano im małżeństwa z jednym z członków gangu. Niektóre rodziny były po prostu zmuszane do oddania swoich dzieci.

W Portugalii namawiano młodzież do żebrania, np. jako rzekomi głuchoniemi. Nastolatkowie wymuszali pieniądze, wskazując zawieszoną na szyi kartkę z informacją, że zbierają na „certyfikat od Regionalnego Stowarzyszenia Głuchoniemych Niepełnosprawnych". Według Soeimy te sytuacje miały miejsce w Lizbonie, Porto i Coimbrze.

Nieletnich wykorzystywano do żebrania w pobliżu szpitali i atrakcji turystycznych w największych miastach Portugalii.

Zamiast kariery w futbolu – niewola

W ostatnim czasie w Portugalii odkryto jeszcze jeden sposób na handel dziećmi. Namnożyło się fałszywych rekruterów, oszukujących migrantów marzących o karierze w piłce nożnej. Młodzi mężczyźni z Afryki bądź z Ameryki Łacińskiej przyjeżdżają w nadziei na odniesienie sukcesu w piłce – tymczasem kończą w nędzy. W ciągu pięciu lat zidentyfikowano w całym kraju aż 256 ofiar tego oszustwa.

W 2023 r. władze imigracyjne, w ramach operacji nazwanej „El Dorado", uwolniły 47 młodych ludzi z Afryki, Azji i Ameryki Południowej, którzy zostali oszukani i byli przetrzymywani w akademii Bsports na północy kraju.

„Prawdziwy interes milionera" – tak dziennik „Correio da Manhã" opisał wówczas rozbity gang handlujący młodymi piłkarzami, dzięki któremu wzbogacił się Mário Costa, znana postać portugalskiej piłki nożnej. Według gazety „ok. 100 chłopców przyniosło 150 tys. euro miesięcznie firmie Bsports", fałszywej akademii założonej przez Costę. Wśród 47 uratowanych młodych ludzi aż 36 było niepełnoletnich.

Jak zauważają portugalskie media, odnalezienie wielu dzieci, które docierają do celu podróży, jest niemal niemożliwe. Często zmienia się im nawet obywatelstwo. ■

eprasa.pl 7b6ac083fb

Na mundialu młodość, u nas po staremu

Wojciech Kuczok

Początek tygodnia to „wybory" prezesa PZPN – cudzysłów niezbędny, bo z braku kontrkandydatów wiadomo było już od dawna, że podczas walnego zgromadzenia przedłużona zostanie kadencja obecnego szefa związku, Cezarego Kuleszy. Chyba że wydarzy się cudowny bunt delegatów. Pod hasłem „Czarek jest, jaki jest, ale to swój chłop" związkowa większość przyklepie bieżący układ na kolejne cztery lata, pozostaniemy zatem piłkarską prowincją zarządzaną przez ludzi, którym polski futbol, by tak rzec, powisa.

Jaskrawym tego dowodem niech będą mistrzostwa Europy U-21, podczas których rozegraliśmy trzy mecze, ale miejsca w loży przeznaczonej dla VIP-ów z PZPN podczas dwóch ziały pustką. Kulesza pofatygował się do Żyliny tylko na pierwsze spotkanie z Gruzją, przed którym w ciemno przedłużył kontrakt obecnego selekcjonera Stefana Majewskiego, a później poleciał na wycieczkę do USA pod pretekstem negocjacji w sprawie zatrudnienia Macieja Skorży. Na kolejne mecze młodzieżowej reprezentacji Polski na imprezie mistrzowskiej nie pofatygował się już nikt z PZPN-owskiego naczalstwa. A szkoda, bo zobaczyliby na własne oczy, jak drużyna narodowa kompromituje się pod wodzą faceta, któremu właśnie prolongowano umowę bez względu na rezultaty.

Oprócz przyjemności co niemiara jest pożytków ze śledzenia klubowego mundialu, nawet w leniwej fazie grupowej, np. wiemy już, jak wyglądałaby gra reprezentacji Polski, gdyby Maciej Skorża nie podał Cezaremu Kuleszy czarnej polewki. Zaiste, mielibyśmy z tej kadry czarną polewkę, czyli śmiech przez łzy ogarniałby nas dokładnie tak, jak z krótkimi wyjątkami przez ostatnie dekady; klub Urawa Red Diamonds, z którym przed dwoma laty Skorża zaliczył swój najbardziej prestiżowy sukces trenerski, wygrywając azjatycką Ligę Mistrzów, do złudzenia przypominał reprezentację Polski na dowolnych mistrzostwach. Trzy mecze, trzy porażki w stylu, który ani przez chwilę nie dawał złudzeń co do różnicy klas, w meczu z Interem 18% posiadania piłki niemal wyłącznie dzięki podaniom do siebie na własnej połowie – piłkarska bida z nędzą. Reprezentanci Korei Południowej z Ulsan też wyjechali z imprezy bez punktów, co każe spoglądać na klubowy poziom dalekowschodnich rozgrywek trzeźwym okiem – to w najlepszym razie odpowiednik naszej pierwszej ligi, a płace nieporównanie lepsze. Trudno się dziwić polskiemu szkoleniowcowi, że się do pracy w Polsce nie pali – z daleka widok jest piękny, na papierze sukcesy w Japonii wyglądają świetnie, ale konfrontacja z pierwszym światem piłkarskim okazała się brutalna i weryfikująca.

Już sobie wyobrażam, że we wrześniu w Rotterdamie przegralibyśmy z Holandią dokładnie tak jak Urawa z Interem Mediolan – zdobyty fuksem gol, a potem murowanie pola karnego, wybijanie piłki po autach, obrona Częstochowy i finał bez happy endu, po którym jednak w mediach poszłyby nagłówki „drużyna Skorży napędziła strachu Holendrom". Niechże zatem pan Maciej Skorża nadal sobie przytula jeny i udaje wielkiego trenera pod Tokio – polski futbol z tej przyczyny na pewno się nie załamie. Gorzej, że prezes Kulesza zdaje się nadal szukać selekcjonera na alibi – z Garethem Southgate'em, który zgłosił chęć prowadzenia naszej kadry narodowej, nawet nie raczył porozmawiać, a przypomnę, że to tak, jakby o obywatelstwo i możliwość gry w naszej reprezentacji poprosił np. Harry Kane – z czystej ciekawości warto byłoby chociaż zapytać go, czy aby na pewno nie zwariował i czego chce w zamian, ale prezes PZPN uznał, że nie jest zainteresowany jednym z topowych selekcjonerów Europy.

> Za kadencji Cezarego Kuleszy zbliżyliśmy się ambicjami do outsiderów Europy w rodzaju Malty czy San Marino – gramy o to, by się nie zbłaźnić.

Ktokolwiek obejmie naszą kadrę, będzie miał za zadanie „napędzić strachu Holendrom" i podjąć walkę o awans z Finlandią – tak oto za kadencji Cezarego Kuleszy zbliżyliśmy się ambicjami do outsiderów Europy w rodzaju Malty czy San Marino – gramy o to, by się nie zbłaźnić. Ambitny fachowiec z zagranicy mógłby zanadto zamieszać, dlatego wedle moich czwartkowych mniemań Kulesza niechybnie wybierze nieprzesadnie ambitnego swojaka – stworzy więc nowego selekcjonera na swój obraz i podobieństwo.

Nie tylko za sprawą klęski podopiecznych Skorży na klubowym mundialu rola Polaków w fazie grupowej okazała się marginalna. Najwięcej pograł sobie Miłosz Trojak, trzykrotnie wychodząc w podstawowym składzie koreańskiej ekipy Hyundaia, ale nie zdołał zapobiec trzem porażkom. Przygodę życia zaliczył, z perspektywy stopera Korony Kielce raczej nie zobaczyłby, jak wkręcają go osobiście w murawę tacy kozacy jak Karim Adeyemi, Serhou Guirassy czy Jobe Bellingham, a teraz mógł zaznać tego zaszczytu. Z naszego mediolańskiego duetu szansę na pierwszy skład dostał tylko

eprasa.pl 7b6ac083fb

Gareth Southgate w Dortmundzie podczas półfinałów UEFA Euro 2024, mecz Anglia-Holandia.

Nicola Zalewski, ale nie bardzo z niej skorzystał, bo zmieniony w przerwie meczu z Diamentami Skorży, następny już przesiedział na ławce.

Pojawił się na klubowych mistrzostwach świata także Szymon Marciniak i choć dostał do sędziowania mecz najłatwiejszy z możliwych – i tak podpadł. Zanim zgodnie z planem Inter Miami zremisował z Palmeiras, Marciniak w swoim stylu zignorował faul w polu karnym i nawet nie skorzystał z VAR, po czym został posądzony o sędziowanie przesadnie uprzejme dla gospodarzy.

Polskie wątki piłkarskie układają się zatem na przełomie wiosny i lata w nieprzerwaną historię nieszczęść. Szansę na jej przerwanie będą miały nasze piłkarki, w najbliższy piątek inaugurujące swój występ na mistrzostwach Europy. Z Kuleszą na trybunach czy bez niego, są skazywane na porażkę w meczach z Niemkami, Dunkami i Szwedkami, choć mają w ekipie gwiazdę światowej sławy Ewę Pajor, królową strzelczyń ligi hiszpańskiej i Ligi Mistrzyń, na co dzień trafiającą dla Barcelony.

Analogie z drużyną męską są ponure, ale za panie trzymać kciuki jak najbardziej należy, zwłaszcza że historyczny awans osiągnęły, dopiero kiedy szefostwo PZPN po raz pierwszy pozwoliło trenować kobiety… kobiecie. Żeby rozwiać wątpliwości: Ninę Patalon, która doprowadziła naszą reprezentację do finałów żeńskiego Euro, zatrudnił na stanowisku selekcjonerskim jeszcze poprzedni prezes, Zbigniew Boniek.

Owóż, futbol w tym roku wakacji nie ma, choć malkontenci twierdzą, że taką aktywną kanikułą jest wymyślony przez Gianniego Infantina klubowy mundial. Ja tam nie narzekam, nawet jeśli piłkarze podświadomie oszczędzają kości, jest na co popatrzeć, szczególnie że wielkie kluby dokonują letniego przeglądu nowych nabytków, z których część już zdążyła zachwycić. Tydzień temu zachwalałem tę imprezę jako szczególny rodzaj balu dinozaurów, dzisiaj słów parę należy się wschodzącym gwiazdom. Na przykład kolejnemu wybitnemu młokosowi z Francji. Rayan Cherki, ściągnięty właśnie przez Pepa Guardiolę z Lyonu, brylantową technikę doskonalił w rozgrywkach futsalowych, dzięki czemu potrafi wyczarować takie akcje jak ta w duecie z Haalandem, kiedy przepuścił piłkę między nogami do Norwega, ten odegrał mu klepkę, by Francuz plasowanym strzałem podwyższył prowadzenie Manchesteru City w meczu z emirackim Al-Ain. Błysnął także wracający do Interu Mediolan z wypożyczenia Francesco Pio Esposito, nastoletni dryblas, który już rządzi w ataku i świetnie uzupełnia się z Lautarem Martínezem. W Borussii Dortmund tropem starszego brata kroczy 20-letni Jobe Bellingham, ściągnięty z Championship parę tygodni temu, w Juventusie pierwsze skrzypce zaczął grać Kenan Yildiz (i czyni to wirtuozersko), dla Chelsea zaczął trafiać i asystować nadzwyczaj zdolny Liam Delap – to wszystko koleżkowie bardzo młodzi lub wręcz nastoletni, przyszłość międzynarodowej piłki.

Największą niespodzianką fazy grupowej był awans kompletu czterech drużyn brazylijskich, zwłaszcza Botafogo – zeszłoroczny triumfator Copa Libertadores zaimponował żelazną dyscypliną w defensywie i odesłał do domu największych przegranych sezonu, czyli madryckie Atlético. Wygrana Brazylijczyków z PSG to najbardziej sensacyjny wynik pierwszej fazy mistrzostw. Totalną klęską zakończyły się występy dwóch legendarnych klubów z Buenos Aires – zarówno Boca Juniors, jak i River Plate pożegnały się z mundialem po trzech meczach, a Boca zbłaźniło się w szczególny sposób, remisując z amatorami z Nowej Zelandii, którzy w pierwszych dwóch potyczkach stracili… 16 goli. Honoru gospodarzy w fazie pucharowej będzie bronił Inter Miami, klub wesołych emerytów z Messim i Suárezem na czele, ale obstawiam, że od fazy ćwierćfinałowej klubowy mundial będzie już wewnętrzną sprawą drużyn europejskich, czyli zaiste trochę bezsensowną powtórką z dopiero co zakończonej Ligi Mistrzów. ■

Ninę Patalon, która doprowadziła naszą reprezentację do finałów żeńskiego Euro, zatrudnił na stanowisku selekcjonerskim jeszcze poprzedni prezes, Zbigniew Boniek.

FOT. IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl 7b6ac083fb

My, z Ziem Odzyskanych

Powoli wykuwała się nowa tożsamość, która zastępowała starą, przywiezioną z Kresów lub centralnej Polski

Sławomir Sochaj

W relacjach wrocławian z lat 60. pojawiają się przykłady szybkiego porzucania zwyczajów przywiezionych z domu. Jak pisał 37-letni mieszkaniec miasta: „Przed kilkunastu laty tradycje na przykład oblewanego poniedziałku […] tak żywe na wsi polskiej, ówcześnie mieszkańcy naszego miasta usiłowali przeszczepić na grunt wrocławski. Pamiętam, bo obserwowałem to z okien mieszkania przy ul. Nowowiejskiej, jak potokami lała się woda z okien i balkonów. Ludziska podłączali węże do kranów i polewali nimi nieostrożnych przechodniów. Aż powoli zwyczaj ten zaczął zanikać, ludzie zaczęli się wstydzić sami siebie".

Inny zauważał: „Sam pamiętam majówki na skwerze koło PDT. Rozłożone koce, panowie w skarpetkach grają w karty, panie w halkach karmią piersią dzieci. […] Te rodzajowe scenki przeniosły się już dawno poza miasto nad Odrą".

Wymieszanie się ludności napływowej z różnych regionów, mimikra i traktowanie tradycji jako balastu w awansie społecznym sprawiły, że powoli wykuwała się nowa tożsamość, która z wolna zastępowała starą, przywiezioną z Kresów albo centralnej Polski. Nie mogła być nią tożsamość oparta na micie ciągłości z państwem Piastów, którą próbowała zaszczepić władza. Oficjalną „piastowską" propagandę mieszkańcy Ziem Odzyskanych traktowali z przymrużeniem oka, a w najlepszym wypadku z wyuczonym formalizmem. W próbach odpowiedzi na pytanie o to, czym była „wrocławskość" w epoce Gomułki, pojawiają się skojarzenia z gatunku tych luźnych, np. niebieskie tramwaje czy zieleń. Z rzadka ktoś poruszy temat otwartości i tolerancji. Kwestia „odwiecznej polskości" też jest poruszana, ale czuć, że styl usztywnia się w tych miejscach, fraza wjeżdża w koleiny wyrobione przez władze, a opis traci autentyczność.

Pokolenia osób urodzonych po wojnie nie chciały mieszkać na walizkach, tęsknić za Kresami i wyczekiwać III wojny światowej.

Przełom 1989 r. sprawił, że w przestrzeni publicznej pojawiły się inne, bardziej ambitne próby stworzenia lub odtworzenia tożsamości Ziem Odzyskanych. Tą, której do dziś poświęca się najwięcej miejsca, jest budowanie mostów między teraźniejszością a historią Schlesien, Pommern i Ostpreußen. W latach 90. można było nareszcie odkurzyć kolejne warstwy „piastowskiej" propagandy i na nowo odczytać skrywaną szwabachę. Warstwa była tak gruba, a odkrycie tak fascynujące, że z czarno-białych pocztówek, niemieckich nazw i dawno nieistniejących budowli zaczęto czerpać dumę. Kodeks depozytariusza, objawił się w nowej formie – jako świetne narzędzie budowania więzi między ludźmi a ich regionem. Okazało się, że depozytariusz może nie tylko dbać o poniemieckie zabytki, lecz także je pokochać i traktować jak swoje.

Skrajną formą poszukiwania ciągłości na przekór historycznemu rozwarstwieniu była purystyczna rekonstrukcja. Kolor elewacji Hali Stulecia postanowiono wiernie odtworzyć na podstawie zachowanych fragmentów oryginalnej powłoki z 1913 r. Wrocławski Dworzec Główny został przemalowany na szokujący wielu mieszkańców pomarańczowy ugier, oryginalny kolor budynku z 1860 r. Wszystko po to, by nacieszyć oczy retransmisją najpiękniejszych chwil miasta w formacie 3D. Z perspektywy konserwatora zabytków prace te są oczywiście godne pochwały, pozwalają też mieszkańcom lepiej poznać historię swojego miasta, ale trudno nie dostrzec w nich jednocześnie naiwnej wiary w arkadyjski mit i w możliwość cofnięcia wskazówek zegara. (…)

Część nestorów praktyki odkurzania poniemieckiej historii twierdzi, że ta fala utożsamiania się z przedwojennymi śladami minęła. Małgorzata Ruchniewicz, historyczka związana z Uniwersytetem Wrocławskim, nie kryje rozgoryczenia niewielkim społecznym oddźwiękiem takich rekonstrukcji pamięci: „Uważam, że między innymi moje wysiłki […] po kilku latach nie pozostawiły po sobie za wiele. […] Patrząc szerzej, w ramach tej tożsamości nie do końca znalazło dla siebie miejsce to, na czym historykom zależało. […] wybrane wątki, które były ważne w latach 90. XX w. czy na początku tego stulecia, teraz już tak nie rezonują, nie są tak ważne dla społeczności lokalnych, jak wówczas".

Spowolnienia nie widać na pewno w mediach społecznościowych. Na Instagramie coraz więcej jest

eprasa.pl 7b6ac083fb

Wystawa na temat Ziem Odzyskanych, Wrocław 1948 r.

historycznych profili, których autorzy dzielą się biografiami niemieckich mieszkańców znanych dotąd tylko z wykutych na nagrobkach nazwisk lub poniemieckimi śladami spotykanymi na ulicach. Znacznie mniej jest treści, które przypominałyby Wrocław czy Szczecin lat 50., 60. i 70.

Poniemieckość okazała się atrakcyjna również dla twórców. Reportaże z Dolnego Śląska czy Pomorza Zachodniego pełne są zamalowanych lub odkrytych napisów, egzotycznie brzmiących niemieckich toponimów czy architektonicznych warstw w historycznym przekładańcu – i to właśnie ta poniemiecka fascynuje najbardziej. Ciekawi też kontrast między nią a warstwami późniejszymi, w którym Ziemowit Szczerek dostrzegł różnicę między germańskim przywiązaniem do formy a słowiańską na ową formę odpornością.

Na tym poniemieckim horyzoncie centralne miejsce zajmuje rok 1945, niczym wschodzące (lub zachodzące) słońce nad Bałtykiem. To wtedy wszystko się dokonało. Wtedy procesy, które zazwyczaj zajmują całe wieki, urzeczywistniły się w ciągu roku. Jeśli mielibyśmy posłużyć się metaforą geologiczną, która często opisuje miasta palimpsesty, pomiędzy warstwą polską a poprzednią, niemiecką, znaleźlibyśmy cienką, ale wyraźną warstwę popiołu, kurzu i krwi. Ta cezura nie przestaje kusić, by przez jej pryzmat przyglądać się duszy Ziem Odzyskanych. Niesie też w sobie nadzieję, że przebijając się przez tę oddzielającą warstwy powłokę, rozpoznamy autentyczną tożsamość tych ziem, mocniej zakorzenioną, a przez to bardziej kompletną.

Oficjalną „piastowską" propagandę mieszkańcy Ziem Odzyskanych traktowali z przymrużeniem oka.

Wciśnięci pomiędzy horyzonty poniemieckiej historii i roku 1945 mieszkańcy Ziem Odzyskanych często bywają w tej literackiej strategii jedynie ucieleśnieniem historii. Zjawia się ona w ich poniemieckich domach z częstotliwością wyznaczoną przez kolejne wielkie cezury historyczne – rok 1956, dojście Willy'ego Brandta do władzy, 1989, 2004. Wszystko to momenty, które miały zmienić kondycję duchową mieszkańców tych obszarów. Szczególną rolę odegrał w tej narracji układ, jaki podpisały w 1970 r. PRL i RFN – na jego mocy zachodnie Niemcy uznały granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Moment ten miał przynieść ogromną falę ulgi, która przetoczyła się od Świnoujścia do Opola. Oto zlękniona, żyjąca w nieustannym strachu przed powrotem Niemców kasjerka ze Stargardu i fryzjer z Kostrzyna, który na wszelki wypadek trzymał pod łóżkiem spakowaną walizkę, mogli w końcu odetchnąć.

Tej wizji nie potwierdzają jednak relacje z lat 60. i 70., szczególnie opowieści osób urodzonych już po wojnie, nad którymi niespecjalnie ciążył topór tymczasowości i wyobcowania. W ich wspomnieniach znajdziemy więcej troski o pieniądze, oświetlenie ulic i płynność dostaw towarów do domów handlowych niż o uregulowanie granic. Ówcześni wrocławianie i szczecinianie w niczym nie przypominają ludzkich palimpsestów. Nie ma powodu, by na wielkiej planszy dziejów ustawiać ich – a także nas, ich dzieci i wnuki – na linii historycznych podziałów. Do historii czterech pokoleń Polaków zamieszkujących te obszary niezbyt

FOT. NAC

eprasa.pl 7b6ac083fb

pasują postromantyczna duchologia oraz rozmiłowanie w dramatycznych kontrastach i cezurach.

Z moich rozmów z ludźmi dorastającymi na zachodzie w latach 60., 70. i 80. wynika, że byli zainteresowani wszystkim poza konfrontacją albo brataniem się z poniemiecką historią. Poniemieckość wrosła w ich krajobraz; czasem fascynowała, czasem przyciągała odmiennością, ale została udomowiona w wielkim projekcie poszukiwania normalności. Pokolenia osób urodzonych po wojnie nie chciały więcej mieszkać na walizkach, tęsknić za Kresami i wyczekiwać III wojny światowej albo ostatecznego uregulowania granic. Chciały spacerować po nadmorskich promenadach, słuchać Filipinek, kształcić się na inżynierów albo zdobywać koronę Himalajów.

Dziadek Bolesław po zamieszkaniu na Ziemiach Odzyskanych szybko oswoił się z krajobrazem. W latach 50. i 60. intensywnie zwiedzał miejscowości i zabytki Dolnego Śląska i ziemi kłodzkiej, co jest dobrze udokumentowane na rodzinnych fotografiach. Szczególnie interesowały go wspaniałe barokowe klasztory. Jako właściciel młyna nieźle prosperował, co pozwoliło mu w 1959 na zakup škody, bardzo przydatnej w poznawaniu okolicy.

Spytany o to, dlaczego w analizach Ziem Odzyskanych po 1989 r. często pomijano dziedzictwo powojennych pokoleń Dolnoślązaków albo Zachodniopomorzan, Browarny wskazuje na zmianę paradygmatu polskiej kultury pod koniec lat 70. Słabnie wówczas światowy dyskurs lewicowy, umacniają się zaś liberalizm i konserwatyzm. Jednym z przełomowych momentów tego procesu jest upadek komunizmu w Europie Środkowej i Wschodniej. W Polsce, wychodząc ze starego paradygmatu, odrzucono dorobek PRL. A przecież ten okres to nie tylko represje polityczne i kryzys gospodarczy, lecz także odbudowa i scalenie kraju, awans urbanistyczny oraz kulturowa modernizacja społeczeństwa. To właśnie jest podstawowe historyczne doświadczenie mieszkańców Ziem Odzyskanych drugiej połowy XX w.

Poniemieckość okazała się atrakcyjna również dla twórców. Reportaże z Dolnego Śląska czy Pomorza Zachodniego pełne są zamalowanych lub odkrytych napisów.

Wojciech Browarny jest profesorem polonistyki, regionalistą, ekspertem od twórczości Tadeusza Różewicza i jednym z niewielu wrocławian deklarujących śląską tożsamość narodową. Współtworzył wrocławskie koło Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej. Urodził się w Oleśnicy, ale od siódmego roku życia mieszka we Wrocławiu. Sprawę traktuje w sposób inkluzywny – twierdzi, że Ślązakiem może być każdy, kto identyfikuje się z tym regionem. Jego dziadek Bolesław Stankiewicz pochodził z okolic Zbaraża, chodził tam do szkoły. Wojnę spędził na robotach przymusowych pod Grodkowem (wówczas Grottkau) na historycznym Dolnym Śląsku. Rodziców dziadka zamordowali w czasie wojny ukraińscy nacjonaliści. O tej tragedii rodzina dowiedziała się więcej, kiedy badaniem mordów na Kresach zajął się Instytut Pamięci Narodowej, a temat został lepiej zbadany i oficjalnie wprowadzony do zbiorowej pamięci. To pokazuje, jak ważne dla wiedzy o rodzinnych losach bywają ramy polityczno-naukowe. Jak mówi profesor, każda pamięć jest społeczna i skonstruowana.

Nieprzypadkowo archeologia pamięci odwołująca się do przeszłości sprzed nastania komunizmu – w tym przypadku tej poniemieckiej – rozpoczyna swoją karierę na przełomie lat 80. i 90. Zmienia się wtedy także imaginarium – figurę złego Niemca, wyeksploatowaną do granic możliwości przez nacjonalistyczny dyskurs PRL, zastępuje figura złego Ruska, który grabi i gwałci. Tak rzeczywiście było, lecz demonizacja obcego pozwala zarazem nie pamiętać o zbrodniach, których w XX w. dopuścili się Polacy. To zjawisko łączy się z powstaniem nowego mieszczaństwa, którego zalążki Browarny dostrzega już w latach 60., kiedy na scenie historii „robotnicę zastępuje Kalina Jędrusik". Mieszczaństwo umacnia się jeszcze u progu III Rzeczypospolitej, napędzane nową falą indywidualizmu i konsumpcyjną obietnicą „wolnego rynku", a w latach 90. zaczyna ponownie otwierać stare kredensy w poszukiwaniu sztućców i filiżanek.

Tak dokonuje się mieszczański zwrot w stronę przedmiotu – cennego, trwałego, prestiżowego. Nad Odrą i Bałtykiem przedmiot poniemiecki jawi się jako solidniejszy i ładniejszy, a przez to lepiej obsługuje wyobrażoną tożsamość. Tęskniąca za „burżuazyjną dystynkcją" nowa klasa średnia szuka w tym, co przedwojenne lub poniemieckie, symbolicznego zakorzenienia i estetyzacji własnej przeszłości. Literatura, wystawy muzealne i publikacje naukowe dostarczają treści dla tej nowej genealogii mieszkańców Ziem Odzyskanych, ułatwiają im uwłaszczenie się na regionalnej pamięci i dziedzictwie kulturowym. Dzięki internetowi i mediom społecznościowym w ostatniej dekadzie w tym procesie uczestniczy coraz więcej osób, także spoza środowiska intelektualistów i twórców tzw. kultury wysokiej. Szkopuł w tym, że do niedawna w tej narracji brakowało proporcjonalnego miejsca dla milionów anonimowych ludzi, którzy po 1945 r. wykonali tytaniczną, całkiem realną pracę na rzecz odbudowy i rozwoju Nadodrza. Pozytywną stroną tych zjawisk jest renesans lokalności. Dzięki nowym mediom upowszechnił się kod regionalnej kultury, który jest podstawą zadomowienia w heimacie. Do lat 90. myślenie o lokalności zdominowane było przez opozycję polskie-niemieckie, dziś jest to raczej opozycja: mój powiat, miasto lub region kontra reszta świata. Na tym tle zaczął się tworzyć nowy, inkluzywny wariant śląskiej tożsamości.

Fragmenty książki Sławomira Sochaja *Niedopolska. Nowe spojrzenie na Ziemie Odzyskane*, Filtry, Warszawa 2024

eprasa.pl 7b6ac083fb

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nieprzemijalna faza buntu

Wysłali Polaka w kosmos, ale niedługo wróci. Ja bym się ucieszył, gdyby tam wysłano te 10 mln, które głosowały na Nawrockiego, najlepiej na stałe, niech skolonizują jakiś księżyc albo asteroidę i niech zabiorą ze sobą cały kler, żeby im poświęcił grunt, nad którym będą się unosić w rozkosznej nieważkości. Broń Boże Wszechmogący, nie życzę im źle, ja im winszuję jak najlepiej, chciałbym, aby wszyscy zaznali wyczekiwanego Wniebowstąpienia i zostawili ten plugawy padół ziemski nam, obywatelom gorszego sortu, abyśmy w ziemskim przedpieklu ciułali dni do apokalipsy, biedni i umęczeni, ale na zawsze wolni od PiS, Konfederacji i elekta obywatelskiego.

Im więcej czasu mija od feralnej nocy wyborczej, która skazała Polskę na kolejne pięciolecie kaczystowskiego pomazańca w Pałacu Prezydenckim, tym bardziej gniew we mnie rośnie i niezgoda, krew mnie zalewa i nie dziwię się wcale rozpaczliwym nadziejom połowy narodu na odwrócenie wyników. Nasi chcą liczyć od nowa, bo Polska nie może przecież paść ofiarą epidemicznej dyskalkulii członków komisji wyborczych, co bardziej rozgorzali wietrzą wielkie fałszerstwo, bo przecież PiS umie w przekręty jak nikt inny, najbardziej zaś krewcy twierdzą, i ja z nimi zasadniczo się zgadzam, że jeśli Nawrocki ma być demokratycznie wybranym prezydentem, to mamy ostateczny dowód, że demokracja w Polsce się nie przyjęła. I zamachowi stanu, zakończonemu ostateczną delegalizacją partii prawicowych, wtrąceniem wszystkich kaczystów do lochu za podzielenie narodu oraz złapaniem krótko za mordę tych, którzy wyjdą na ulice, żeby walczyć za Jarosława, sprzeciwiam się rozumem, ale serce mi czyni piekielne podszepty. A to oznacza, że jestem o jeden psychologiczny etap umierania do tyłu w stosunku do większości wyborców Rafała Trzaskowskiego (chodzi o umieranie nadziei) – oni już przeszli do fazy targowania się i lada dzień wpadną w depresję, by po wielu miesiącach dotrzeć do mety oznaczającej pogodzenie się z wyrokiem – ja wciąż tkwię w fazie intensywnego buntu. Na uszanowanie wyników wciąż nie znajduję sposobu, albowiem to wynik absurdalny, abstrakcyjny, dojmująco smutny – Nawrocki to nawet nie Dyzma, lecz Incitatus, koń Kaliguli, dowód bezgranicznej i niestety słusznej wiary Kaczyńskiego w to, że siła resentymentu i zajadłości ludu pisowskiego wystarczy, by wybory wygrał ktokolwiek lub cokolwiek, byle prezes namaścił na wodza.

Nie wolno obrażać ludzi, którzy mają odmienne poglądy, pouczają mnie poprawni i słuszni z lewa, z prawa, ale jakże mam się powstrzymać, skoro oni mnie swoim knajackim wyborem obrazili? Duda straszy, że jeśli ktoś zakwestionuje wybór narodu, on stanie na czele rewolucji, Nawrocki pręży bicepsy i ględzi to samo, medialni harcownicy prawej strony ostrzegają, że w razie „ukradzenia wyborów" od słów zbrojnych trzeba będzie przejść do czynów. A ja sobie myślę okrutnie, że może inaczej nie da się tego rozwiązać – niechże wreszcie sobie skoczą do gardeł obywatele, niech w zwarciu poczują się nawzajem, niech i dadzą sobie po ryjach, powymachują szabelkami, postrzelają z proc i może wtedy się to wszystko rozładuje, jak po pijackiej bójce Polaka z Polakiem, kiedy posiniaczeni wrogowie przytulają się i zrzucają na kolejną flaszkę. Złe emocje mnie zżerają, przez półtora roku miałem spokój, niemal nie zająknąłem się w felietonach na tematy polityczne, ale kruche miał fundamenty ten błogostan.

Nawrocki to nawet nie Dyzma, lecz koń Kaliguli, dowód bezgranicznej wiary Kaczyńskiego w to, że siła zajadłości ludu pisowskiego wystarczy, by wybory wygrał ktokolwiek.

Trzeba mi od tego uciec, a jako że fizycznie z Polski uciec nie chcę, dopóki dziecko moje tu się wychowuje, uciekam lekturowo. Co i państwu polecam, zwłaszcza z początkiem kanikuły. Chociażby do kolejnego fantastycznego tomu w błogosławionej serii opowiadań amerykańskich, którą stworzyło Czarne. Mistrza Cheevera przebić się nie da, ale wśród jego następców Tobias Wolff jest zawodnikiem wagi superciężkiej – jego short stories zebrane w tomie „Oto początek naszej historii" w przekładzie Krzysztofa Umińskiego to proza wyśmienita, a co najmniej trzy opowiadania – kultowa „Kula w mózg", „Myśliwi na śniegu" i „Usterka na pustyni, 1968" – nie tylko w moim przekonaniu sięgają poziomu arcydzieł. A jeśli kto już wkroczył w fazę depresji powyborczej, niechże się zmierzy z kolejną świetną książką Georgiego Gospodinowa, niechybnie przyszłego noblisty, który w „Ogrodniku i śmierci" opisał umieranie własnego ojca. Niby to nie wakacyjna lektura, ale rzecz o cudzej rozpaczy zawsze pomaga uśmierzyć własną, a przynajmniej znaleźć wspólnika w przygnębieniu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

W pojedynkę, chociaż razem

Po 39. Toruńskich Spotkaniach Jednego Aktora

Tomasz Miłkowski

Teatr jest sztuką zespołową, ale teatr jednego aktora to wyjątek od tej reguły. Chociaż tylko do pewnego stopnia. Poza klasykami gatunku, Danutą Michałowską, Wojciechem Siemionem, Tadeuszem Malakiem czy Ireną Jun, mało kto ważył się bez wsparcia innych twórców, tzw. trzeciego oka (reżysera, autora scenariusza czy scenografa), samodzielnie konfrontować z publicznością. Ale choć uprawiających autorski teatr jednego aktora jest niewielu, i tak cała odpowiedzialność za spektakl spoczywa na barkach osoby, która spotyka się z widownią sam na sam. Panuje przekonanie, że artyści mierzący się z tym gatunkiem teatru skazani są na samotność.

Agnieszka Przepiórska, należąca do twórczyń wytyczających ścieżki monodramu, nie podziela tej opinii. Na scenie nie czuje się samotna. Przeciwnie, nawiązuje silną więź z publicznością. Dopiero po spektaklu – tak się zdarza – zagląda jej w oczy samotność. Tak podczas premiery książki „Bioteatr Agnieszki Przepiórskiej" mówiła jej autorka, Katarzyna Flader-Rzeszowska. Książka ukazała się w serii „Czarna książeczka z Hamletem", poświęconej sztuce monodramu, zainicjowanej niemal 20 lat temu przez Wiesława Gerasa. Ta już 19. pozycja powiększającej się wciąż biblioteki łączy walory eseju, pracy badawczej i zajmującego opowiadania. Udało się tu przedstawić drogę aktorki przez teatr jednoosobowy, jej odkrycia i samodzielną w nim rolę jako twórczyni skupionej na przywracaniu pamięci o bohaterkach przeszłości. Niektóre postacie mają imiona i nazwiska, jak poetki Zuzanna Ginczanka, Barbara Sadowska i Jadwiga Stańczakowa czy biolożka Simona Kossak, inne jedynie imiona jako reprezentantki wspólnego losu.

Tak jak pani Irena, bohaterka „Ocalonych", przejmującej opowieści o ofiarach przemocy, gwałtów i mordów popełnianych pod koniec powstania warszawskiego przez zwyrodnialców z rosyjskiej formacji RONA, pozostającej na usługach hitlerowców. To oni stłoczyli na Zieleniaku przy ulicy Grójeckiej na Ochocie tysiące kobiet, które poddali bestialskim torturom i przemocy seksualnej, doprowadzając do śmierci. Trudno nawet powiedzieć, ile naprawdę było ofiar i gdzie zagrzebano ich ciała, bo pamięć o tym okrucieństwie latami starannie wymazywano, a gwałty wybielano. O tym opowiada w monodramie Przepiórska, walcząc o pamięć, szacunek i prawdę o kobietach ofiarach, którym należy się cześć równa innym walczącym z opresją okupantów i ich popleczników. Aktorka użycza swojego głosu wymazanym z historii, a jednocześnie przemawia własnym głosem.

Maryla – ku przestrodze

Jej emocje towarzyszą bohaterkom sprzed lat. Dramaturg Piotr Rowicki, od dawna współpracujący z Przepiórską, wzmacnia jej żywiołowy protest przeciw przemocy cytatami z „Orestei" Ajschylosa, monologiem zemsty wykrzyczanym przez obraną na sojuszniczkę Klitajmestrę.

Tym monodramem zainaugurowany został tegoroczny przegląd w Toruniu. Temperatura emocjonalna „Ocalonych", która sprawia, że publiczność prawie nie oddycha, towarzysząc aktorce ze ściśniętym gardłem, wyznaczyła główny tor spotkań. Dobór monodramów świadczył o staraniach organizatorów, aby był to przegląd działający na wyobraźnię i wrażliwość widowni. Przede wszystkim młodej, która obcowała ze zmaganiami z minionym i światem współczesnym. Autorzy i wykonawcy wracali

eprasa.pl 7b6ac083fb

Lekarz na telefon

do trudnych kart historii, tak jak Anna Rozmianiec („Maryla – ku przestrodze"), przywołująca zapomnianą postać sportsmenki Marii Kwaśniewskiej, brązowej medalistki z igrzysk w Berlinie w 1936 r. Albo Michał Piela, który w monodramatycznej wersji dramatu Tadeusza Słobodzianka „Niedźwiedź Wojtek" (reż. Aldona Figura) opowiadał o żołnierzach Andersa spod Monte Cassino i ich powojennych losach. Medium tej opowieści jest syryjski niedźwiedź, pupil żołnierzy, który po wojnie kończy żywot w zoo. Monodram Pieli to gorzka metafora polskiego losu. Jego emocjonalną nośność docenili nagrodą akredytowani na festiwalu dziennikarze.

Świat współczesny, jego zagrożenia, pułapki, bunt młodych znalazły wyraz w „Masarze" Julity Koper czy w „Skowycie" Marcina Tomkiela, inspirowanym poematem Allena Ginsberga. W inne strefy współczesności prowadziły dwa monodramy otwierające światy intymnych przeżyć, oparte na świetnej literaturze. To „Dziewictwo, osobna kategoria istot zamkniętych" Zuzanny Wiatr, którym aktorka wywalczyła wcześniej główną nagrodę w konkursie na monodram gombrowiczowski, i „20 DEN", spektakl Julii Fidelus oparty na brawurowej powieści Miry Marcinów „Bezmatek", odsłaniający silną więź łączącą córkę i matkę. Te dwa spektakle, jeden o wchodzeniu w życie, drugi o odchodzeniu, sytuowały się najbliżej idei jednoosobowego teatru autorskiego – aktorki same opracowały tekst i reżyserowały swoje przedstawienia, zdobywając uznanie jury Nagrody im. Antoniego Słocińskiego (Julia Fidelus nagrodzona za wierność autorce) i jury Nagrody ZASP (Zuzanna Wiatr za kreację aktorską).

Nieco z boku głównego nurtu, co nie znaczy, że nie na miejscu, znalazły się dwa „męskie" monodramy przygotowane z myślą o dostarczeniu widzowi rozrywki. To „Lekarz na telefon" Arkadiusza Walesiaka, aktora Teatru im. Wilama Horzycy oraz „Ballady morderców" Nicka Cave'a w nowych aranżacjach, w interpretacji Adama Mortasa. Pierwszy spektakl jest sprawnie warsztatowo pokazaną farsą, w której kluczową rolę zagrały telefony. Drugi to nieśmiertelne utwory Cave'a, niegdyś drapieżne i przerażające, dziś – w obliczu zalewającej nas przemocy – tchnące zastanawiającą łagodnością. W obu wypadkach dobra, kulturalna robota, dająca nieco wytchnienia po innych mrocznych, bolesnych i atakujących wyobraźnię spektaklach.

Toruńskie spotkania mieniły się różnorodnością. Co ciekawe, niemal połowa wykonawców ma doświadczenia pracy w teatrze formy, wykształcenie lalkarskie i umiejętność gry z przedmiotami – zapewne lalkarze lgną do teatru jednoosobowego, dającego im szansę solistycznego zaistnienia. Widać też silny związek słowa z muzyką. W „Balladach morderców" to oczywiste, towarzyszący aktorowi Marcin ZORAK Szymański i Rafał Rybak tworzą świetnie rozumiejący się zespół muzyczny, ale w „Niedźwiedziu Wojtku" udział Mateusza Wachowiaka (harmonia i syrena) nie tylko zapewnia tło, lecz także podnosi muzycznie ten spektakl. Podobnie jest w „Skowycie", w którym gitary Jakuba Olszewskiego stanowią spoiwo spektaklu, czy w „Dziewictwie" – tu kompozycje Ryszarda Lubienieckiego dodają tajemnicze akcenty do procesu dojrzewania zmysłowego.

Festiwal w Toruniu, najstarszy z istniejących, może być sejsmografem nowych kierunków.

Festiwal w Toruniu wyraźnie ewoluuje w stronę niegdysiejszego konkursowego przeglądu nowych monodramów, okraszanego pokazami mistrzowskimi. Chyba to dobry kierunek. W Polsce jest już kilkanaście festiwali i przeglądów monodramu. Ten w Toruniu, dziś najstarszy z istniejących (po zamknięciu historii WROSTJA), może być sejsmografem nowych kierunków. Krokiem w tę stronę stały się spotkania po spektaklach z udziałem aktorek i aktorów – nowość, którą od razu polubiła publiczność.

Dla mnie rangę festiwalu potwierdziły inauguracyjne „Ocalone" Agnieszki Przepiórskiej w reżyserii Mai Kleczewskiej. Poświadczyły, jak wielki bywa ten skromny, mały teatr.

39. Toruńskie Spotkania Teatrów Jednego Aktora, Teatr Baj Pomorski w Toruniu, 12-15 czerwca 2025, dyrektor festiwalu Zbigniew Lisowski, kurator Wiesław Geras, kierownik realizacji Szymon Spichalski, rzecznik prasowy Bartosz Adamski.

FOT. RAFAŁ PYSZKA/FUNDACJA 1025 (2)

eprasa.pl 7b6ac083fb

WYDARZENIE

31. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE
A Story of Polish Jazz

W sercu Starego Miasta na otwarcie tegorocznej edycji festiwalu usłyszymy wyjątkowy program, prezentujący skróconą i trochę subiektywną historię rodzimego jazzu. Koncert składać się będzie z dwóch części. Pierwsza poświęcona jest Janowi Ptaszynowi Wróblewskiemu, zmarłemu w zeszłym roku saksofoniście, kompozytorowi, aranżerowi i dyrygentowi, a także publicyście i dziennikarzowi radiowemu, słowem jednej z najważniejszych dla polskiego jazzu postaci. Część druga przypomina wybitnego gitarzystę, kompozytora i pedagoga Jarosława Śmietanę. Jego projekt „A Story of Polish Jazz" ma już swoją historię, płyta z tym nagraniem ukazała się 20 lat temu.

Jazz na Starówce zawsze przyciąga też zagranicznych topowych wykonawców. Jeszcze w lipcu posłuchamy kwartetu Petera Bernsteina oraz Christiana McBride'a z Bennym Greenem i Gregorym Hutchinsonem, a w sierpniu wystąpią Francesca Tandoi i Nduduzo Makhathini. Wstęp wolny i gorąco polecany.

Aleksandra Pańko

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, od 5 lipca do 30 sierpnia, godz. 19

MIĘDZY OKŁADKAMI

Ewa Tondys-Kohmann
Łupiny
Wydałem, Warszawa 2025

Czy 199 zł za wspólne obieranie ziemniaków to dużo? Zależy, czy w pakiecie jest też babcia z PRL-owskim kredensem i wsparciem emocjonalnym. W „Łupinach" uczucia są towarem, a bohaterowie – klientami wiecznie zamkniętych w sobie serc. Kupują przytulasy, milczenie i iluzję więzi. Tylko że zamiast happy endu dostają rachunek. I pustkę gratis. To książka o świecie, w którym zamieniliśmy przyjaciół na subskrypcje, a emocje – na regulamin świadczenia usług. Ale bez paniki – autorka nie moralizuje. Raczej przytula literacko, szepcze: „Nie jesteś sam. Nawet jeśli musisz zapłacić za to, żeby ktoś z tobą pomilczał". „Łupiny" to sześć opowiadań o nas: znerwicowanych, wygłodzonych bliskości, próbujących złagodzić samotność winem i Netfliksem. Dystopia? Może. Ale taka, w której czułość wciąż się zdarza – choćby na Grouponie.

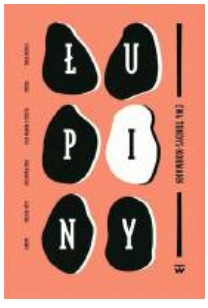

Rafał Pikuła

NA EKRANACH

W ukryciu,
reż. Lionel Baier, prod. Szwajcaria/Luksemburg/Francja, już w kinach

Film, który premierę miał w konkursie głównym tegorocznego festiwalu w Berlinie, bazuje na nieznanej, choć w pewnych kręgach kultowej, powieści Christophe'a Boltanskiego „La Cache". Baierowska opowieść śledzi losy artystycznej rodziny w Paryżu. W tym pociesznym dramacie całość zostaje przedstawiona z perspektywy inteligentnego dziewięciolatka. Gdy rodzice wyjeżdżają protestować w trakcie przełomowych wydarzeń z maja 1968 r., zostawiają chłopca z resztą oryginalnej rodzinki. Są tu wszyscy: wujostwo, babcia, dziadek, kuzyni. Codzienność głównego bohatera zmienia się diametralnie. Kiedy na zewnątrz panuje chaos, a on sam tęskni za rodzicami i nie odnajduje się w nowej rzeczywistości, właśnie ciepło wielopokoleniowego ogniska domowego pozwala mu odnaleźć spokój. Bajkowa otoczka przypomina serię książek o Mikołajku, ale z politycznym sznytem. Mariaż przedziwny, lecz wart doświadczenia na dużym ekranie.

Jan Tracz

ZAJRZYJ TU

Życie romantyczne. Chopin, Scheffer, Delacroix, Sand

Fryderyk Chopin na emigracji we Francji znalazł się w gronie przyjaciół, muzyków, malarzy, pisarzy. Z tego czasu pozostało sporo pamiątek, które zgromadzono w paryskim Muzeum Życia Romantycznego. Dziś 59 eksponatów z tych czasów przywieziono do Muzeum Chopina w Warszawie. Są tu nie tylko obrazy, portrety, nuty, listy, ale nawet pukle włosów Chopina, odcisk jego dłoni, szkatułka z farbami malarza, w którego salonie odbywały się spotkania, czy wykonany dla żartu wachlarz z karykaturami.

Bronisław Tumiłowicz

Muzeum Chopina w Zamku Ostrogskich w Warszawie, do 31 października

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl 7b6ac083fb

FAŁSZYWE ŚWIADECTWO

Mit Żyda, niewiernego i niewdzięcznego wobec ojców Kościoła, był wałkowany na wszelkie sposoby

Rozmawiają Artur Nowak i Stanisław Obirek

Artur Nowak: Jednym z fundamentów antyżydowskiego mitu są mordy rytualne. Nie da się ominąć tego tematu, jeżeli chcemy wyjaśnić historię prześladowań Żydów w różnych okresach historii. Zakładam, że nasi czytelnicy mają jakąś wiedzę na ten temat, ale nigdy dość dekonstrukcji tego mitu, a w zasadzie oszczerstwa. Zanim jednak zaczniemy rozmawiać o szeroko opisanych, zwłaszcza w literaturze amerykańskiej, mordach rytualnych, powiedzmy o innych pomówieniach mających zohydzić Żydów. Byli oni przedstawiani jako ci, którzy szerzą zarazy dziesiątkujące średniowieczne społeczeństwa.

Stanisław Obirek: Literatura na temat różnych sposobów oczerniania Żydów jest nie do ogarnięcia. Właściwie każdy szanujący się autor, który zajmuje się stosunkami żydowsko-chrześcijańskimi, wcześniej czy później pisze na ten temat książkę. Ich lektura jest dość przygnębiająca i w pewnym sensie monotonna, bo pojawiają się ciągle te same motywy, o których również w naszych rozmowach ciągle wspominamy.

Jednym z najlepszych znawców problematyki chrześcijańskiego antysemityzmu był zmarły w 2010 r. amerykański historyk Robert Michael, który napisał na ten temat wiele książek. Ale dwie zasługują na szczególną uwagę. „Holy Hatred: Christianity, Antisemitism, and the Holocaust" z 2006 r. („Święta nienawiść. Chrześcijaństwo, antysemityzm i Holocaust"), w której wykazuje, że bez długiej historii chrześcijańskiego antysemityzmu nie byłoby Holokaustu. Czy, ujmując rzecz jeszcze mocniej, to chrześcijaństwo utorowało drogę do Zagłady europejskich Żydów. Drugą książką jest „A History of Catholic Antisemitism: The Dark Side of the Church" z 2008 r. („Historia antysemityzmu. Ciemna strona Kościoła"). Obie powstały z potrzeby dania świadectwa prawdzie, bez której nie można sobie wyobrazić poprawnych stosunków między tymi dwiema grupami religijnymi.

Miedzioryt przedstawia scenę mordu rytualnego na dziecku chrześcijańskim, dokonywanego przez grupę Żydów. XVI-XVII w.

Pierwsza składa się z pięciu rozdziałów, z których każdy jest małą monografią na tytułowy temat. Najpierw czytelnik otrzymuje szeroką panoramę chrześcijaństwa jako religii z gruntu antysemickiej, która doprowadziła do Holokaustu. Kolejno mamy omówione antyżydowskie traktaty ojców Kościoła, przemoc w okresie średniowiecza. Dwa ostatnie rozdziały poświęcone są ze względów oczywistych Niemcom, ze szczególnym uwzględnieniem kontynuacji wątków antysemickich od Lutra do Hitlera. Ostatni rozdział koncentruje się na wpływie Hitlera na tożsamość narodu niemieckiego. Druga ze wspomnianych książek, choć objętościowo skromniejsza, obejmuje znacznie szersze obszary tematyczne i koncentruje się w dużym stopniu na papiestwie. Mamy tu porównanie świata pogańskiego z katolikami, które nie wypada korzystnie dla tych drugich.

Robert Michael pokazuje też, jak w teologii chrześcijańskiej na długo przed Fryderykiem Nietzschem odwrócono wartości i jak bardzo zmasowany był wysiłek oczerniania Żydów. No i obrazuje, jak prawo

FOT. BIORY ŻIH, CENTRALNA BIBLIOTEKA JUDAISTYCZNA

eprasa.pl 7b6ac083fb

rzymskie zostało użyte do dyskryminowania Żydów.

– Pojawiają się wątki znane z poprzedniej książki, jak średniowieczna przemoc i pogłębianie się procesu zniesławiania Żydów w okresie wypraw krzyżowych. Autor zatrzymuje się dłużej nad antyżydowską polityką papiestwa, a w ostatnich rozdziałach przygląda się antysemityzmowi trzech krajów: Austro-Węgier, Francji i Polski. Kończy rozważania analizą współczesnej polityki papiestwa i refleksją nad charakterem katolickiego rasizmu.

Jak wspomniałem, to tylko jedna z wielu propozycji książkowych, by poznać ciemną stronę historii chrześcijaństwa, w której mentalność antysemicka do dzisiaj jest mocno obecna. Przyprawianie Żydom rozmaitych gąb trwają od wieków.

Dominikanin Giordano da Rivalto, czyli Jordan z Pizy, który żył w latach 1260-1311, pisał, że Żydzi kontynuowali mordowanie Chrystusa, kradnąc hostię, i powtarzali ukrzyżowanie, atakując ją, jakby była ciałem. Brzmi to makabrycznie.

– Dobrze, że go wspominasz, bo Robert Michael poświęca mu sporo uwagi w swoich obu książkach. Jest on o tyle ciekawym przykładem antysemity, że był jednym z najlepiej wykształconych ludzi swego czasu, a wioska Rialto, z której pochodził, do dzisiaj szczyci się nim jako poprzednikiem Dantego ze względu na piękno dialektu toskańskiego, jakim się posługiwał. I to właśnie ten znakomicie wykształcony teolog jest autorem w samej rzeczy makabrycznych koncepcji.

Przywołajmy fragment jego rozważań z „Holy Hatred", by zdać sobie sprawę z tego, o czym mówimy: „[Żydzi] są źli w sercu i nienawidzą Chrystusa ze złą nienawiścią (...) gdyby mogli, ukrzyżowaliby Go na nowo każdego dnia (…). Są znienawidzeni na całym świecie, ponieważ są źli wobec Chrystusa, którego przeklinają". Te słowa nie pozostały bez konsekwencji. Jak pisze dalej Michael: „Giordano twierdził, że był obecny, gdy chłopiec Jezus w cudowny sposób pojawił się na hostii sprofanowanej przez Żydów. Z dumą twierdził, że ten cud pobudził chrześcijan do zamordowania 24 tys. Żydów w ramach kary za ich zły czyn". Nawet jeśli te dane są przesadzone, dają nam pojęcie o straszliwym spustoszeniu, do jakiego dochodziło we wspólnotach żydowskich w głębokim średniowieczu. Nie muszę dodawać, że katolicka historiografia starannie takie ciemne strony ciągle przemilcza.

Katolicka historiografia starannie przemilcza ciemne strony traktowania Żydów.

Zanim opowiemy o oszczerstwie krwi, powiedzmy o innych działaniach przeciwko Żydom, inspirowanym przez chrześcijan.

– Papież Klemens IV 27 lipca 1267 r. w Turbato corde dał zakonowi dominikanów, „inkwizytorom heretyckiej niegodziwości, posłanym w autorytecie Stolicy Apostolskiej", glejt, by każdy z nich na wyznaczonym mu obszarze znalazł i osądził wszystkich takich odstępców na podstawie informacji pozyskiwanych zarówno od chrześcijan, jak i od Żydów. Ukarani zostać powinni także ci, którzy wiarołomców do tego nakłonili.

Hiszpańska inkwizycja zasłynęła z największych okrucieństw.

– Tak. Ona dobrze się miała w Hiszpanii niemal do XIX w. To specyficzny twór. Została założona krótko przed wypędzeniem wszystkich Żydów z Hiszpanii przez króla Ferdynanda II i królową Izabelę. Nawet Żydzi, którzy pod naciskiem przemocy przyjęli chrześcijaństwo – ta przemoc oznaczała pogromy – nie mieli spokoju od „starych chrześcijan". Opinia publiczna wymusiła bowiem powołanie specjalnej służby do sprawdzania, czy chrześcijaństwo „nowych" nie jest pozorne.

W procesie inkwizycyjnym dopuszczono przemoc. Mam na myśli tortury.

– Pisał na ten temat też kard. Ryś, który zajmował się tym aspektem działalności inkwizycji: strappado to podwieszanie na linie za związane z tyłu ręce, toca – podduszanie strumieniem wody zakneblowanej osoby, wreszcie potro.

To była jakaś obsesyjna nienawiść, z której zrodziło się myślenie, że Żydzi chcą zawładnąć światem. Przemożny wpływ na królową Izabelę miał jeden z duchownych, który karmił ją lękami przed obcymi, przed herezją. Mam na myśli dominikanina Tomása de Torquemadę, którego namaścił na wielkiego inkwizytora Hiszpanii za namową Ferdynanda Sykstusa IV.

– To rzeczywiście jakiś obsesjonat. Stworzył podręcznik dla członków inkwizycji, w którym tłumaczył, jak ujawnić fałszywego chrześcijanina. Starczyło, że ktoś gotował w piątek albo tego dnia sprzątał, dbał o koszer i już był podejrzany. To był czas terroru, ludzie denuncjowali się nawzajem. Wtedy właśnie nastąpiło skłócenie Żydów z Hiszpanami, a Żydzi po raz pierwszy zostali naznaczeni. W 1486 r. w Toledo całe rodziny zmuszono do założenia specjalnych szat, zwanych sanbenito, i przepędzono ulicami.

Po raz pierwszy odnotowano oskarżenie o mord rytualny w Anglii w Norwich w 1144 r. i ta tendencja rozlała się później po całej Europie.

Tragicznym finałem tej katolickiej nienawiści, która pochłonęła tyle ofiar, była pierwsza w historii próba rozwiązania kwestii żydowskiej. No, ale potrzeba było pretekstu. Dominikanin sięgnął po sprawdzoną broń, czyli kolejne oszczerstwo: Żydzi porywają i mordują dzieci.

– Tak. Wspomnę tylko dwa fakty. Jeden mniej znany, z Majorki. W 1435 r. po torturach wykonano kilka wyroków śmierci za rzekome

eprasa.pl 7b6ac083fb

mordy rytualne. Zanim powstała inkwizycja w Hiszpanii, gorliwcy z Balearów postarali się u papieża o powołanie trybunału papieskiej inkwizycji dla Królestwa Majorki. Proces z 1435 r. prowadził inkwizytor Majorki Antonio Murta i wykorzystał go jako pretekst do zmuszenia absolutnie wszystkich żyjących na wyspie Żydów do chrztu. Bardziej znana jest sprawa Krzysztofa, który zginął w 1490 r. w La Guardia. Chłopak miał cztery lata. O jego śmierć pomówiono Żydów. Wszystkich, w tym konwertytów, skazano na śmierć. Krzysztof z miejsca został obwołany świętym: Świętym Dzieckiem La Guardii. Atmosfera histerii wymierzonej przeciwko Żydom kwitła. Torquemada dostał to, co chciał. Para królewska nie miała wyjścia i postanowiono wydalić wszystkich Żydów z Hiszpanii.

Na nic się zdały prośby Abrahama Seniora, żydowskiego arystokraty, który zeswatał Ferdynanda i Izabelę. Chciał zapłacić złotem, by Żydzi mogli zostać. I wtedy ten zwariowany dominikanin miał wpaść do królewskich komnat z garścią monet, które rzucił pod nogi królowi: „Judasz sprzedał Jezusa za 30 srebrników. Jeśli jeszcze raz chcecie go sprzedać, proszę, oto pieniądze". Pewnie władca przeląkł się i wydał odpowiednie rozporządzenie: „Rozkazujemy Żydom wszelkiej płci i wieku, by opuścili nasze ziemie wraz ze swoimi synami, córkami i poddaną im służbą. W przeciwnym razie czeka ich śmierć bez procesu czy udowodnienia winy".

Katolicy przejęli majątki Żydów. Mówię o tym, bo to była okazja do szybkiego wzbogacenia się, i uważam, że ten aspekt trzeba absolutnie przypominać. Mówimy o majątkach setek tysięcy rodzin, które krótko przed wypędzeniem wyprzedawały swoje dobra za bezcen.

– Warto dodać, że wypędzenie Żydów z Hiszpanii w 1492 r. to wydarzenie najbardziej znane i szeroko komentowane, ale do podobnych aktów dochodziło niemal w całej Europie i z dużą częstotliwością. Często motywy były właśnie ekonomiczne, a nie tylko religijne.

Wyjaśnijmy więc, co to są mordy rytualne, gdzie ten mit się narodził i jakie znaczenie przypisywano temu procederowi. Mówi się, że biblijna historia Abrahama, który był gotów poświęcić własnego syna Izaaka Bogu, to rdzeń tradycji składania ofiar z ludzi.

– Taka najpowszechniejsza wykładnia mordów rytualnych wiąże ich początek z chrześcijańskim średniowieczem. Po raz pierwszy odnotowano oskarżenie o mord rytualny w Anglii w Norwich w 1144 r. i ta tendencja rozlała się później po całej Europie. Sprawa mordów rytualnych łączy się ze szczególnym kultem eucharystii, czyli wiary chrześcijan w obecność fizyczną ciała i krwi Chrystusa w używanych w trakcie mszy świętej chlebie i winie. Najbardziej oczywistymi kandydatami do niewiary w tę obecność oprócz heretyków, czyli różnych niewierzących wewnątrz chrześcijaństwa, byli Żydzi. Jak już wspomnieliśmy, mit Żyda bogobójcy, niewiernego, ślepego, no i niewdzięcznego wobec ojców Kościoła, był na wszelkie sposoby wałkowany. Na tej podstawie kierowano do znienawidzonych Żydów oskarżenia, jakoby kradli hostię i sprawdzali, nakłuwając ją, czy nie pojawią się krople krwi, co miałoby być dowodem na to, że nie mamy jednak do czynienia z żywym ciałem.

Istnieje wiele podań na ten temat. Mam na myśli choćby cud krwawiącej hostii w Orvieto. Tam, zdaje się, zachowała się relikwia, kawałek tkaniny, na której miała się znaleźć ta hostia krwawiąca. Ale bohaterem był ksiądz, który odprawiał mszę i zwątpił nagle w tę cudowną przemianę, a Chrystus sam mu pokazał, że jest naprawdę tym ciałem, które trzyma w dłoniach. Literatura dotycząca motywów zbierania przez Żydów do mis krwi dzieci jest dość bogata. Czasem to są makabryczne wyjaśnienia: przypisywano chrześcijańskiej krwi właściwości lecznicze, magiczne, ta krew miała przedłużać Żydom życie, neutralizować odór „właściwy Żydom", mieć zastosowanie przy porodach, leczyć niemowlęta ze ślepoty, pomagać w gojeniu się ran przy obrzezaniu. No, ale mamy tu też mit wiodący.

– Jeden motyw zdominował narrację związaną z mordami rytualnymi i myślę, że warto na nim się skoncentrować. Krótko mówiąc, twierdzono, że Żydzi potrzebują krwi chrześcijańskiej – najlepiej dzieci – do produkcji macy. I w moim przekonaniu za mało się mówi o tym, że takie oskarżenia – że Żydzi potrzebują krwi obcych – pojawiły się już w okresie przedchrześcijańskim, a dokładnie w Aleksandrii, gdzie wspólnota Żydów zhellenizowanych, piszących i czytających po grecku, była bardzo silna. (…)

A jak było w Polsce?

– Prof. Magda Teter, znawczyni tematu, pokazuje to na podstawie konkretnych danych. W Polsce wieści o mordach rytualnych pojawiają się w XVI w. Teter podaje, że do połowy XV w. w Europie takich historii było od 23 do 25. Za sprawą wynalezienia druku, a więc od połowy XV w. do końca XVIII, oskarżeń było już ponad 80, w Polsce – ponad 50. Mniej więcej w 17 przypadkach rzekomi żydowscy sprawcy zostali potępieni, wyniku dwóch spraw nie znamy, a w 31 przypadkach Żydów uniewinniono.

Wypędzenie Żydów z Hiszpanii w 1492 r. to wydarzenie najbardziej znane, ale do podobnych aktów dochodziło niemal w całej Europie.

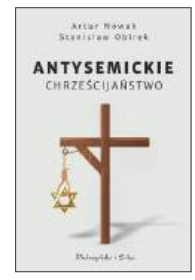

Fragmenty książki Artura Nowaka i Stanisława Obirka *Antysemickie chrześcijaństwo*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

eprasa.pl 7b6ac083fb

Empis tesselata, czyli wujek okazały.

PREZENTY ŚLUBNE OWADÓW

Najczęściej są to inne drobne owady: mszyce, jętki czy ochotki, owinięte w wydzielinę specjalnych gruczołów

Stefan Niesiołowski

Z ok. 3 mln gatunków zwierząt na Ziemi 2 mln stanowią owady. To bardzo szacunkowe dane, ponieważ cały czas opisywane są nowe gatunki owadów, a także innych zwierząt, i najpewniej liczba nieopisanych, a więc w tym sensie nieznanych gatunków (w dużym stopniu owadów) może być jeszcze większa niż liczba gatunków znanych. Zmienia się też taksonomia owadów: to, co było gatunkiem, okazuje się często synonimem lub podgatunkiem, odmianą, nad czym również ustawicznie dyskutują i spierają się specjaliści. To powoduje, że ustalenie liczby gatunków na Ziemi jest praktycznie niemożliwe.

Biologia larw i poczwarek gatunków, nawet stosunkowo dużych i łatwych do identyfikacji muchówek, których stadia imaginalne, czyli postacie uskrzydlone, są całkiem dobrze poznane i opisane, jest znana bardzo słabo lub wcale. A to dlatego, że bardzo trudno do nich dotrzeć, odszukać je i połączyć ze stadiami uskrzydlonymi. Wymaga to dużego wysiłku, a niemodne są dziś badania nad biologią i systematyką owadów, co z kolei powoduje ograniczenia funduszy.

Niezwykle skomplikowane i pod pewnymi względami zaskakujące są zachowania muchówek (*Diptera*) z rodziny wujkowatych (*Empididae*) należących do rodzajów *Empis*, *Rhamphomyia* i *Hilara*. Ponieważ nie mają one polskich nazw, używam powszechnie funkcjonujących nazw łacińskich, stosowanych jeszcze przez wielkiego przyrodnika i twórcę nowoczesnej systematyki, szwedzkiego badacza Karola Linneusza. Postacie uskrzydlone muchówek z wyżej wymienionych rodzajów, przede wszystkim *Hilara*, tworzą roje o różnej liczebności. Te czasami są olbrzymie i mogą obejmować setki tysięcy owadów – z reguły jednak znacznie mniej – unoszących się nad jeziorami, rzekami, stawami, a nawet drobnymi śródleśnymi kałużami. Czasami zmylone odbitym światłem latają nad wilgotną powierzchnią asfaltowych dróg.

Nad wodami lata bardzo wiele owadów z bardzo różnych rzędów – w bardzo różnych celach: polują, składają jaja, odbywają loty godowe i łączą się w pary. Gatunki z rodzajów *Empis*, *Rhamphomyia* i *Hilara* odbywają nad wodami skomplikowane loty godowe, poprzedzające kopulację. Samce krążą wokół samic zgrupowanych w centralnej części roju, a często tuż przed kopulacją przekazują im tzw. prezent ślubny, *wedding present*, nazywany też w literaturze fachowej *nuptial gift*. Najczęściej są to owinięte w wydzielinę specjalnych gruczołów znajdujących się w pierwszych członach stóp samców drobne owady, m.in. mszyce, jętki, bezskrzydłe, ochotki, kuczmany, będące uzupełnieniem diety samic w wysokokaloryczne białko, potrzebne do wytworzenia jaj. Nieraz także szczątki roślin i ziarnka pyłku, a jak wykazały ostatnie badania, również unoszone z powierzchni wody i formowane w owinięte wydzieliną „pakiety" okrzemki, czyli żyjące w wodzie glony. Dotyczy to zwłaszcza tych gatunków wyżej wymienionych muchówek, których samice odżywiają się nektarem kwiatowym. Dlatego pierwsze człony nóg u wielu samców są grube, czasami mocno owłosione – porośnięte gęstymi szczecinami; przypominają nogi pszczół przystosowane do zbierania i przenoszenia pyłku kwiatowego.

Muchówki, obok chrząszczy najliczniejszy rząd owadów, opanowały prawie wszystkie środowiska na Ziemi z wyjątkiem oceanów.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

Nie istnieją żadne związki filogenetyczne wujkowatych (*Diptera*) i pszczół (*Hymenoptera*), natomiast istnieje duże podobieństwo w budowie i owłosieniu kończyn. Takie zjawisko nazywane jest w biologii konwergencją, czyli upodobnieniem się niespokrewnionych gatunków pod wpływem takich samych warunków życia, np. podobieństwo fok, ryb i delfinów lub leniwców i małp.

Czasami samce próbują „oszukać" samice i wręczają „prezenty" bezwartościowe z punktu widzenia pokarmowego. Prawdopodobnie chodzi o efekt powiększenia rozmiaru samca, co stanowi czynnik stymulujący samicę i pozwala zwyciężyć w rywalizacji z innymi samcami tego samego gatunku. Zachowania godowe, a także rodzaj prezentu ślubnego, sposób jego przekazywania, miejsce i czas trwania lotu godowego, różnią się u poszczególnych gatunków i są poznane w niewielkim stopniu. U niektórych gatunków prezent ślubny nie stanowi w ogóle uzupełnienia diety samic, gdyż zawiera wyłącznie wydzielinę specjalnych gruczołów przędnych samców i tym samym nie odgrywa roli jako źródło pokarmu, ale jego wytwarzanie i sposób przekazywania mają znaczenie jako czynnik selekcji i doboru naturalnego.

Generalnie rola wujkowatych jako owadów zapylających kwiaty jest większa niż jako drapieżników, a ich rozwój ewolucyjny i zróżnicowanie są związane z rozwojem roślin okrytozalążkowych, czyli olbrzymiej większości żyjących obecnie na Ziemi. Zachowania godowe wykształciły się w toku ewolucji w ciągu milionów lat (owady istnieją ok. 200 mln lat), a cały proces doprowadził do wytworzenia się skutecznych mechanizmów izolacji gatunków sympatrycznych, czyli takich, które są bardzo podobne pod względem anatomicznym, ale nie krzyżują się. Ten mechanizm został pogłębiony przez budowę *hypopygium*, czyli aparatu kopulacyjnego samców, będącego często podstawą taksonomii i systematyki w entomologii.

Larwy i poczwarki wyżej wymienionych rodzajów żyją w ziemi, rzadziej w butwiejących liściach i szczątkach roślinnych, i są słabo poznane. Natomiast z wodą związane są także należące do wujkowatych, ale do innych podrodzin (*Hemerodromiinae* i *Clinocerinae*) gatunki, których larwy żyją w wodzie i jako łatwiejsze do znalezienia są stosunkowo dobrze poznane. Żyją w różnego rodzaju zbiornikach, częściej w wodach bieżących, czasami na znacznych wysokościach, w porastających skały mchach i na wilgotnych powierzchniach kamieni w potokach i wodospadach, z reguły w wodach czystych, zimnych i bogatych w tlen. Ulubionym środowiskiem życia stadiów przedimaginalnych są dna żwirowatych potoków oraz płaty podwodnej roślinności.

W przeciwieństwie do latających nad powierzchnią wody i tworzących roje muchówek *Empis*, *Rhamphomyia* i *Hilara* postacie uskrzydlone *Hemerodromiinae* i *Clinocerinae* latają niechętnie i nie tworzą skupisk nadwodnych, zasiedlają nadbrzeżne rośliny w miejscach wilgotnych częściej nasłonecznionych, gdzie polują na drobne owady, nieprzekraczające 5 mm długości. Wyglądem przypominają nieco małe modliszki, z którymi nie są spokrewnione, ale upodobniły się poprzez zbliżony sposób polowania.

Przy okazji warto odnotować coraz częstsze pojawianie się w Polsce modliszki (*Mantis religiosa*), czyli charakterystycznych, dużych, zielonych owadów. Jeszcze stosunkowo niedawno były one bardzo rzadkie i występowały głównie na południu Polski, a obecnie są często spotykane w Polsce centralnej.

W przypadku większych ofiar mamy do czynienia z atakowaniem ich przez kilka osobników, które wspólnie pożerają zdobycz. Istnieją informacje o obronie określonego terytorium przez samce z rodzaju *Chelifera* – osobniki broniące swojego terytorium chwytają i wyrzucają z danego obszaru inne owady tego samego gatunku stanowiące konkurencję. Terytorializm, polegający na zajmowaniu i obronie określonego terytorium, wielokrotnie opisywany w przypadku wielu kręgowców, ma miejsce również w przypadku owadów. Nadal w odniesieniu do wielu gatunków wujkowatych zarówno lądowych, jak i wodnych stadia przedimaginalne są nieznane i praktycznie nie wiemy nawet, w jakim środowisku się rozwijają.

Generalnie wujkowate (*Empididae*) tak jak bardzo wiele rodzin muchówek odgrywają ważną rolę w zapylaniu kwiatów, na ogół niedocenianą, a także w funkcjonowaniu ekosystemów wodnych i glebowych. Muchówki raczej kojarzą się z muchami siadającymi na gnijących i rozkładających się szczątkach zwierzęcych i przenoszącymi choroby. Są negatywnym znakiem i symbolem braku higieny, brudu, chorób, co jest w jakimś stopniu i w odniesieniu do niektórych gatunków prawdą, ale wysoce jednostronną i niepełną.

Odgrywają istotną rolę w obiegu materii i energii oraz w bilansie energetycznym planety jako pokarm wielu organizmów i czynnik rozkładający materię organiczną.

Należy też pamiętać, że muchówki to nie tylko muchy. Muchy (*Muscidae*) są jedną z rodzin muchówek, z najbardziej znanym gatunkiem towarzyszącym od dawna człowiekowi – muchą domową (*Musca domestica*), jednym z setek tysięcy gatunków muchówek żyjących na Ziemi. Mówiąc żartobliwie, mucha ta przyczynia się do fatalnego PR much, przedstawianych jako przeciwieństwo pożytecznych i pracowitych pszczół.

Muchówki, będące obok chrząszczy (*Coleoptera*) najliczniejszym i najbardziej rozpowszechnionym rzędem owadów, opanowały prawie wszystkie środowiska na Ziemi z wyjątkiem oceanów. Dlatego odgrywają istotną rolę w obiegu materii i energii oraz generalnie w bilansie energetycznym planety, z jednej strony jako pokarm bardzo wielu organizmów, z drugiej – czynnik rozkładający materię organiczną i włączający ją do obiegu, co pozwala utrzymywać i podtrzymywać życie na Ziemi. ■

eprasa.pl 7b6ac083fb

ASTMA WYMAGA KONTROLI

O przestrzeganiu zaleceń lekarskich i szansach na normalne życie

Panie profesorze, gdzie jest granica między astmą a astmą ciężką?

– Można to wytłumaczyć dość jasno. Astma jako choroba bywa stosunkowo łatwa do opanowania – jeśli leczenie przebiega prawidłowo, mówimy wtedy o tzw. kontroli choroby. Dla pacjenta oznacza to, że może normalnie funkcjonować: uprawiać sport, spotykać się ze znajomymi, prowadzić życie bez większych ograniczeń. Warunkiem jest systematyczne i regularne stosowanie się do zaleceń lekarskich oraz przyjmowanie odpowiednich leków.

Jeśli jednak pacjent tego nie robi albo choroba zostaje zaostrzona przez inne czynniki, takie jak infekcje, alergeny czy zanieczyszczenia, dochodzi do pogorszenia stanu zdrowia i rozwoju astmy ciężkiej.

Czy są grupy osób szczególnie narażone na wystąpienie astmy ciężkiej? Kto najczęściej na nią zapada?

– Są to głównie niewłaściwie leczone osoby. Dzieje się tak zazwyczaj dlatego, że nie stosują leków systematycznie. Początkowe objawy mają często charakter napadowy, a ich ustąpienie bywa mylnie interpretowane jako wyzdrowienie. Po pewnym czasie dolegliwości wracają, stają się coraz częstsze i dopiero wtedy pacjent trafia do specjalisty. Do pogorszenia przebiegu astmy przyczyniają się także przebyte infekcje.

Jakie inne czynniki mogą powodować, że astma przekształca się w postać ciężką?

– Należą do nich np. czynniki środowiskowe, palenie papierosów czynne bądź bierne, warunki zawodowe, czyli narażenie na substancje drażniące w miejscu pracy. To może znacząco przyczyniać się do pogorszenia stanu chorobowego.

Prof. dr hab. n. med. RADOSŁAW GAWLIK
– kierownik Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Alergologii i Immunologii Klinicznej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach oraz prezydent Polskiego Towarzystwa Alergologicznego

Jak wygląda dostępność do leczenia w Polsce – teoretycznie i praktycznie?

– Dostępność jest w różnych regionach kraju zróżnicowana, ale generalnie można powiedzieć, że jest dobra. Większym problemem bywa natomiast realizacja zaleceń terapeutycznych. I to dotyczy zarówno lekarzy, jak i pacjentów. Wiele osób postrzega astmę jako chorobę napadową, incydentalną i przerywa leczenie po ustąpieniu objawów. Statystyki są niepokojące: tylko ok. 10% pacjentów przyjmuje zalecone leki wziewne rok po wizycie u specjalisty.

Tymczasem astma to choroba zapalna, która rozwija się przez lata. W Europie, czyli także w Polsce, czas od pierwszych objawów do diagnozy wynosi średnio aż siedem lat. W tym czasie toczy się nieleczony proces zapalny, który powoduje postępujące uszkodzenia. Nadużywanie popularnych w leczeniu objawowym leków rozkurczowych może dodatkowo pogarszać stan pacjenta. Te leki dają chwilową ulgę, ale nie leczą przyczyny. To tak, jakby przy złamaniu nogi wziąć tylko środek przeciwbólowy i liczyć na poprawę.

Czy astmę ciężką da się leczyć w domu?

– Tak, jest taka możliwość. Program leczenia astmy ciężkiej ewoluuje, stale wprowadzane są nowe opcje, także te dotyczące leczenia domowego. Od zeszłego roku pacjenci mogą otrzymywać lek do domu i samodzielnie go podawać. To rozwiązanie nie wpływa negatywnie na finansowanie leczenia. Niestety, pozostają jeszcze pewne ograniczenia formalne – przede wszystkim związane z wyceną takiej formy terapii i wszechobecną biurokracją.

Niektórzy pacjenci wolą przyjechać do ośrodka i otrzymać lek od pielęgniarki, ale są też osoby, które mogłyby z powodzeniem kontynuować terapię w domu. Leczenie to absolutnie nie różni się skutecznością – zmienia się jedynie miejsce podania leku. Wymaga to jednak zmian systemowych.

Leczenie biologiczne astmy, dla kogo?

– Do programów lekowych astmy ciężkiej kwalifikowani są chorzy, u których mimo stosowania standardowego leczenia objawy nadal się utrzymują. Kluczowa jest wtedy precyzyjna diagnostyka: czy mamy do czynienia z astmą alergiczną, eozynofilową, czy z zapaleniem typu 2.

eprasa.pl 7b6ac083fb

Na tej podstawie dobieramy odpowiednią terapię biologiczną.

Jest jeszcze grupa pacjentów, dla których nie mamy obecnie skutecznych leków biologicznych, ale badania trwają.

Wielu pacjentów objętych terapią notuje ogromne postępy. Znam przypadki osób z bardzo ciężką astmą, które po wdrożeniu leczenia biologicznego biegają półmaratony albo regularnie ćwiczą na siłowni. Aktywność fizyczna, jeśli prowadzona systematycznie, działa jak kolejny lek i pozwala często ograniczyć stosowanie innych preparatów – ale decyzja o redukcji leków zawsze musi być podejmowana indywidualnie przez leczącego.

A jeśli pacjent nie przestrzega zaleceń, pali papierosy, naraża się na działanie szkodliwych czynników – jak wygląda wtedy jego życie?

– To trudna sytuacja. Nie jesteśmy w stanie kontrolować każdego pacjenta. Niektóre systemy ochrony zdrowia wykluczają z refundacji leków osoby palące. Leki biologiczne nie są cudownym środkiem i nie zadziałają u każdego. Dlatego w programach lekowych wprowadzono tzw. punkty kontrolne. Monitorujemy efekty leczenia, jakość życia, zużycie leków. Zdarza się, że pacjent deklaruje rzucenie palenia, a chwilę później wychodzi przed klinikę na papierosa. To bardzo utrudnia leczenie.

Mamy raporty: „Życie z astmą ciężką" z punktu widzenia pacjenta oraz „Co przeszkadza dobrze leczyć astmę ciężką" z perspektywy lekarza. Jakie wnioski z nich płyną?

– W wielu miejscach te raporty są zbieżne. Na przykład jeśli chodzi o liczbę ośrodków prowadzących terapię biologiczną. Dla wielu pacjentów są one zbyt odległe. Czasem wymagane są wizyty co dwa tygodnie, co oznacza rezygnację z pracy i zaangażowanie bliskich w transport.

Kolejny problem to dokumentacja – pacjent musi mieć potwierdzone zaostrzenia, często w formie pobytów w szpitalu. Nie każdy o tym wie lub ma odpowiednie zaświadczenia. Konieczność prowadzenia podwójnej dokumentacji – ta biurokracja ogranicza możliwość zakwalifikowania większej liczby chorych do programów lekowych.

Nowoczesnych ośrodków z dnia na dzień nie zbudujemy, ale „papierologię" można by uprościć. Czy lekarze i pacjenci na to liczą?

Zdecydowanie tak. Liczba pacjentów w programach lekowych rośnie – z kilkunastu kilka lat temu, do ok. 3,7 tys. dzisiaj. To ogromne osiągnięcie. Mamy dostęp do nowoczesnych terapii, ale nadal nie osiągamy pełnego sukcesu. Duże znaczenie ma tu relacja lekarz-pacjent. Potrzeba czasu, zaufania i wspólnie ustalonej strategii leczenia. Wtedy liczba pacjentów stosujących się do zaleceń na pewno wzrośnie.

Początkowe objawy astmy mają często charakter napadowy, a ich ustąpienie bywa mylnie interpretowane jako wyzdrowienie.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia w związku z warsztatami z cyklu Quo vadis medicina? pt. „Optymalna terapia astmy szansą na dobre życie z chorobą". Wiosna 2025.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

Rowerem ku lepszej przyszłości

Ciche, nie smrodzą, nie wymagają betonowych parkingów, tonują ruch w miastach. Zastąpią auto osobowe, komunikację publiczną i samochód dostawczy

Zuzanna Muszyńska

Rowerem można dojechać tam, gdzie za daleko na piechotę, ale zbyt blisko, by jeździł pociąg czy autobus. Do najbliższej stacji, przystanku albo z hubu przeładunkowego prosto pod nasze drzwi, z przesyłką kurierską.

Polityki rowerowej mobilności to przede wszystkim edukacja i pieniądze. We Francji od kilku lat można otrzymać dopłatę do roweru transportowego w wysokości do 3 tys. euro. Paryż z okazji letnich igrzysk olimpijskich chwalił się dofinansowaniem w latach 2018-2024 1,5 tys. cargo bike'ów dla przedsiębiorców. Na ulice Kopenhagi, europejskiego lidera transportu rowerowego, wyjeżdża co dzień ok. 50 tys. rowerów cargo. W europejskiej czołówce obok Paryża i Kopenhagi utrzymują się Amsterdam, Berlin i Barcelona. W USA elektryczne rowery cargo walczą o tytuł mistrza dostaw tzw. ostatniej mili z pojazdami autonomicznymi i dronami. Rowerowa Polska również przyśpiesza, będzie gonić czołówkę dzięki dopłatom z funduszy krajowych i unijnych.

Kurier na rowerze

Dwa lata temu Uniwersytet Westminsterski zbadał usługi transportowe świadczone przez rowery w Londynie. Wyniki pokazały, że elektryczny rower cargo dowozi przesyłki na terenie metropolii 1,6 razy szybciej niż furgonetka, co w ciągu roku daje oszczędność ponad 14,5 tys. kg dwutlenku węgla. To znaczy, że rower zmniejsza emisję dwutlenku węgla o 90% w porównaniu z furgonetką z silnikiem Diesla i o 33% w porównaniu z furgonetką elektryczną. Według brytyjskich naukowców nawet połowa wszystkich realizowanych dotychczas przez pojazdy spalinowe miejskich dostaw w Europie mogłaby być realizowana za pomocą elektrycznych rowerów cargo.

Powoli zapominamy, jak wyglądał świat bez zakupów online i dostaw do domu. Na tętniących życiem ulicach miast pojawienie się kurierów rowerowych zrewolucjonizowało sposób, w jaki przesyłki docierają do miejsc przeznaczenia. Rower pozwala na zwinne przemykanie przez zatłoczone śródmieście, zapewniając terminowe dostawy, z którymi tradycyjne pojazdy mają trudności. Daje radę tam, gdzie furgonetka nie może – w strefach dla pieszych, na wąskich uliczkach i w obszarach czystego transportu. Nie zajmuje tyle miejsca; zamiast budować kolejny parking, miasto może np. zaplanować zieloną przestrzeń.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b6ac083fb

Skandynawowie mówią, że nie ma złej pogody, są tylko źle ubrani ludzie. Dziecko w rowerze cargo może wygodnie siedzieć, także pod daszkiem, i obserwować świat.

W Nowym Jorku policzono, że dostarczenie paczek z centralnego magazynu do domu klienta na tzw. ostatniej mili stanowi aż 50% całkowitej emisji dwutlenku węgla z dostaw kurierskich. W godzinach szczytu na Manhattanie kurierzy rowerowi są w stanie dostarczyć paczki dwa razy szybciej niż samochody. Każdego dnia w mieście trafia do rąk klientów ok. 2,4 mln przesyłek. Nowojorski wydział transportu wypuścił w ubiegłym roku swój własny model elektrycznego roweru – Cargi B. Dla tamtejszego przedsiębiorcy wymiana pojazdu ciężarowego na elektryczny rower towarowy to oszczędność nawet 13 tys. dol. rocznie.

Warunki pogodowe, bezpieczeństwo i wysiłek fizyczny to największe wyzwania dla transportu rowerowego. Miasta i firmy wdrażają dobre praktyki, aby wesprzeć kurierów. W Tokio otrzymują oni premie za terminowe wykonanie usługi podczas ekstremalnej pogody. Firma kurierska z Amsterdamu opracowała model szkoleniowy, który uczy, jak bezpiecznie poruszać się po mieście i radzić sobie w nieoczekiwanych sytuacjach. Nowojorska spółdzielnia dostawcza współpracuje z lokalnymi sklepami rowerowymi, które regularnie serwisują pojazdy. Powstają specjalne pasy ruchu i strefy parkingowe dla rowerów, czego dobrym przykładem jest system Zielonych Korytarzy w Amsterdamie.

W Polsce liczba paczek wysłanych w ciągu roku na terenie kraju przekroczyła dwa lata temu miliard, w ubiegłym roku wzrosła o kolejne 200 mln. Największą flotę rowerów cargo ma DPD Polska. Firma zaczynała trzy lata temu od pilotażowego projektu we Wrocławiu, w którym jeździło pięć pojazdów; półtora roku temu dostarczyła rowerem milionową przesyłkę klientowi w Poznaniu. Dziś flota DPD Polska liczy ponad 100 rowerów w 25 miastach. Są to elektryki cargo polskiej marki Maxpro. Jeżdżą na ostatniej mili, dostarczając ok. 1% wszystkich przesyłek DPD. Kurier dowozi dziennie do 150 paczek, pokonując dystans 8-12 km. Dla porównania, amerykański FedEx wprowadził na brytyjski rynek e-rower transportowy o jednorazowej ładowności 170 kg i zasięgu ponad 70 km.

Miasto 15-minutowe

Poznań jest jednym z pięciu europejskich miast, które sprawdzą, w jaki sposób jazda na rowerze może się przyczynić do realizacji koncepcji miasta 15-minutowego. W kwietniu br. na ulice wyjechały elektryczne rowery cargo – w ramach projektu SPECIFIC (Specifying Practices Enabled by Cycling In FIfteen-minute Cities – Określanie praktyk umożliwianych przez jazdę na rowerze w piętnastominutowych miastach). Projekt finansuje Narodowe Centrum Badań i Rozwoju w ramach programu DUT (Driving Urban Transitions).

Rower elektryczny zmniejsza emisję dwutlenku węgla o 90% w porównaniu z furgonetką z silnikiem Diesla i o 33% w porównaniu z furgonetką elektryczną.

– Koncepcja miasta 15-minutowego zakłada, że mieszkańcy powinni mieć możliwość zaspokajania wszystkich podstawowych potrzeb w odległości nie większej niż 15 minut pieszo lub rowerem od swojego domu – wyjaśnia dr Marcin Krassowski z Instytutu Antropologii i Etnologii UAM, p.o. kierownik projektu SPECIFIC.

Rowery są centralnym punktem koncepcji miasta 15-minutowego. W ciągu kwadransa przejechać można dystans czterokrotnie dłuższy (jakieś 5-6 km), niż da się pokonać na piechotę (1-1,5 km). Są jednak sytuacje, kiedy zwykły rower nie wystarcza i użycie samochodu wydaje się nieuniknione. Tymczasem w ideę miasta 15-minutowego świetnie wpisują się rowery cargo, które w ramach projektu SPECIFIC mogą wypożyczyć poznańscy przedsiębiorcy i organizacje pozarządowe. – Poznański eksperyment jest ciekawym uzupełnieniem koncepcji miasta 15-minutowego. Możemy dojechać rowerem do biura i super, ale co, jeśli np. prowadzimy restaurację czy zajmujemy się drobnymi naprawami i potem w ramach pracy i tak musimy się poruszać samochodem? Sprawdzimy więc, w jakich branżach możliwe jest zastąpienie lub uzupełnienie samochodu rowerem cargo. Wierzymy, że nasze badania przyczynią się do lepszego zrozumienia, jak możemy budować bardziej dostępne, przyjazne i zrównoważone miasta, w których rower, w tym rower cargo, odgrywa znaczącą rolę w codziennej mobilności, nie tylko w centrach, ale także na obrzeżach miast – podsumowuje Krassowski.

Uwierzyć w dwa kółka

Jeśli wyobrażasz sobie, że coś nie zadziała lub wręcz zaszkodzi, to – w granicach rozsądku – często tak się stanie. Jeżeli wierzysz, że kolarstwo jest domeną nastolatków na tanich rowerach górskich lub sportowców odzianych w lycrę, a nie jest dobre dla ciebie, ostatecznie okaże się, że nie jest dla ciebie dobre. Tak opisuje tzw. efekt nocebo w kontekście rewolucji rowerowej Natalia Barbour, naukowczyni związana z uniwersytetami w Amsterdamie i w Orlando na Florydzie. Barbour podkreśla, że zarówno badania, jak i działania rzecznicze muszą stawiać rowery, w tym rowery transportowe, na pierwszym planie, aby pokazać, co jest możliwe, i zmienić wyobrażenie ludzi na ich temat.

W podobnym duchu wypowiada się Marcin Ciesielski z firmy Hazay – poznańskiego producenta cargo bike'ów, który jest zaangażowany w projekt SPECIFIC. – „Nie pojadę w deszczu, pod górkę, z zakupami, z dzieckiem ani z psem, poza tym rowery cargo są drogie!" – oto najważniejsze argumenty przeciw rowerom. Co do deszczu, argument trafny, nie będę zakłamywać rzeczywistości,

eprasa.pl 7b6ac083fb

zmokniemy. Chodząc jednak pieszo, często też zapominamy parasola, a nierzadko w drodze z parkingu do miejsca docelowego mamy kilkaset metrów. Skandynawowie powiadają, że nie ma złej pogody, są tylko źle ubrani ludzie. W Danii czy Holandii znanej z rowerów klimat wcale nie jest łagodniejszy. Pocieszyć mogę jednak, że o ile zmoknie kierujący, o tyle dziecko wygodnie siedzi pod daszkiem i obserwuje świat – zachęca Ciesielski.

Rowery Hazaya wyposażone są w silniki elektryczne o mocy zbliżonej do popularnego malucha. Na kwestię ceny (ok. 20-25 tys. zł) należałoby zdaniem Marcina Ciesielskiego spojrzeć przez pryzmat uniwersalności roweru cargo, jego zdolności towarowych oraz funkcjonalności przypominającej skuter czy nawet samochód. Jeśli tak postawimy sprawę, cena cargo bike'ów rzeczywiście przestaje się wydawać tak wysoka.

Rowery są centralnym punktem koncepcji miasta 15-minutowego. W tym czasie przejechać można dystans czterokrotnie dłuższy (5-6 km), niż da się pokonać na piechotę (1-1,5 km).

Wspomniana wyżej firma Maxpro z Wałbrzycha poza polskimi miastami ma rowery w całej Europie – jej riksze można zobaczyć np. na ulicach Barcelony. Zaczynała dwie dekady temu w Londynie, gdzie powstała koncepcja pierwszej rikszy trójkołowej. Jej prototyp, wykonany ręcznie w Wałbrzychu, testowany był nad Tamizą. Maxpro produkuje również rowery chłodnie i rowery śmieciarki. Tomasz Abratański, dyrektor handlowy Maxpro CNC, uważa, że każdy zakład komunalny w Polsce powinien mieć przynajmniej jeden rower śmieciarkę. W Londynie jeździ flota wałbrzyskich rowerów City Cleaner, które obsługują ścisłe centrum.

Rower sprząta i chłodzi, ale także leczy. Jak wykazali naukowcy z Uniwersytetu w Glasgow, ryzyko zgonu z powodu choroby nowotworowej spada u cyklistów o 45%, a z powodu choroby serca – o 46%. Jazda na rowerze przyczynia się do zmniejszenia poziomu stresu i poprawia samopoczucie, pomaga w lepszym przyswajaniu wiedzy i poprawia koncentrację. Brytyjczycy przepisują jazdę rowerem na receptę. W 2022 r. brytyjski rząd uruchomił pilotażowy program umożliwiający lekarzom rodzinnym wystawianie recept na naukę jazdy na rowerze, rowerowe grupy wsparcia lub wypożyczenie roweru. Wydane na ten program zdrowotny 12,7 mln funtów miało przyczynić się do zmniejszenia liczby wizyt u lekarzy i ograniczenia konieczności stosowania leków u zdrowszych fizycznie i psychicznie pacjentów.

Mój rower elektryczny

Metrorower, trzeci w Europie pod względem wielkości system rowerów miejskich, działa w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii (GZM). W marcu br. siedmiotysięczna flota GZM powiększyła się o 250 rowerów elektrycznych. Ze względu na ogromne zainteresowanie trzeba było losować kolejność wypożyczeń długoterminowych. W Gdańsku pięciotysięczna flota Mevo powiększyła się w tym roku o 600 elektryków. W 16 pomorskich gminach od końca 2023 r. do dzisiaj ponad 300 tys. użytkowników systemu Mevo przejechało 11 mln km.

Za chwilę rusza program dopłat do rowerów elektrycznych „Mój rower elektryczny". Osoba fizyczna otrzyma z niego od 2,5 tys. do nawet 4,5 tys. zł dopłaty (w zależności od wybranego rodzaju pojazdu). Budżet programu w wysokości 50 mln zł pochodzi ze środków krajowego Funduszu Niskoemisyjnego Transportu, obsługiwanego przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, i ma zapewnić dopłaty do zakupu co najmniej 17,3 tys. e-rowerów.

Jak podają autorzy raportu „Rowerem ku lepszej przyszłości dzięki europejskim środkom społeczno-klimatycznym" (Zespół Doradców Gospodarczych TOR), odkładając co miesiąc (mało realistycznie) pensję minimalną na nowy samochód, można go kupić po prawie dwóch i pół roku oszczędzania. Na używany 15-letni samochód wystarczy niecałe pół roku. Dla porównania, rower elektryczny wymaga 38 dni odkładania, a rower tradycyjny zaledwie ośmiu dni. Ten sam raport powołuje się na wyliczenia Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN z 2023 r., zgodnie z którymi co czwarte sołectwo w kraju nie ma dostępu do transportu publicznego (wykluczenie transportowe), oraz dane UNICEF, które wskazują, że co piąty uczeń wybrałby inną szkołę średnią, gdyby miał do niej połączenie autobusowe. Dla wielu z tych osób „gamechangerem" będzie dobry rower – konwencjonalny bądź elektryczny – którym można dojechać do najbliższego przystanku autobusowego lub do stacji PKP, zostawić pojazd na bezpiecznym parkingu i dostać się stamtąd do ośrodka miejskiego.

Na inwestycje obejmujące transport niskoemisyjny popłyną w najbliższych latach duże pieniądze z UE. W grze jest 65 mld euro na lata 2026-2032 ze Społecznego Funduszu Klimatycznego. SFK jest związany z unijnym programem Fit for 55 określającym cele redukcji emisji gazów cieplarnianych na 55% do 2030 r. w porównaniu z wartościami bazowymi z 1999 r. Polska będzie największym beneficjentem funduszu i otrzyma 12 mld euro.

Tymczasem nie milkną głosy internetowych „krytyków", przeciwnych „15-minutowym gettom" i ograniczaniu w centrach miast liczby miejsc do parkowania samochodów, czyli naruszaniu przynależnych kierowcom „praw człowieka". W pełni uzasadnione konflikty społeczne narastają wokół ścieżek rowerowych, które, budowane wzdłuż dróg, stają się przyczyną masowych wycinek drzew. Przyda się specustawa rowerowa, by pieniądze wydane na rowerową rewolucję mogły jak najlepiej służyć człowiekowi i naturze.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7b6ac083fb

Luksus w krótkich seriach

Jak Telimena ubierała Polki

Katarzyna Jasiołek

Zaczęło się z rozmachem. 20 lutego 1957 r. w „Dzienniku Łódzkim" ukazał się artykuł „Będziemy szyli luksusową odzież", w którego pierwszym akapicie mowa jest o kostiumach kąpielowych z elastycznej tkaniny drukowanej we wzory, wcześniej u nas niedostępnej. Ale mieliśmy przecież elastyczną tkaninę jednobarwną, więc… Organizujące się Łódzkie Zakłady Odzieży Luksusowej planowały zatem szycie m.in. takich właśnie kostiumów. Tylko skąd wziąć materiały? Ot, po prostu zaproponują przemysłowi, aby produkował na ich potrzeby rozmaite tkaniny – zarówno te na modne stroje plażowe, jak i inne. Autorka (lub autor) artykułu wypytywała o szczegóły dyrektora technicznego, obywatela Frankowskiego, a ten co nieco nawet zdradził:

„Zadaniem zakładów będzie szycie luksusowej odzieży damskiej sposobem półprzemysłowym. Chodzi o to, aby produkować tzw. krótkie serie, żeby sukienek jednego fasonu nie wypuszczano więcej jak 50. I aby były one jak najbardziej wierne modelowi. (….) Od pokazania modelu odbiorcom do jego wyprodukowania nie może minąć nawet miesiąc. Aby to osiągnąć, zakłady ubiegają się o pozwolenie przeprowadzenia wyceny swych artykułów. Udawanie się bowiem do Warszawy po ceny poszczególnych modeli nie miałoby sensu".

Kostiumy wiosenne z kolekcji Telimeny, „Moda", wiosna 1966 r.

Aby tak szybko dostarczać klientom gotową odzież, zakłady deklarowały chęć dysponowania trzymiesięcznym zapasem tkanin. Przedsięwzięcie miało ruszyć już w pierwszych dniach kwietnia. W chwili publikacji artykułu trwały jeszcze prace budowlane w gmachu, w którym miały się mieścić, czyli przy Jaracza 52 w Łodzi. (…)

Początkowo zamierzano zatrudnić 50 osób, a następnie zwiększyć zatrudnienie o kolejne 50 każdego miesiąca. W sierpniu zakład miałby działać już na dwie zmiany, a ekipa – liczyć 400 osób. Na razie działała komórka wzorcująca pod kierownictwem Krystyny Depczyńskiej, zatrudniająca sześciu plastyków, sześciu modelarzy i 15 wysokiej klasy krawców. W pierwszej połowie marca ok. 30 modeli miało zostać przedstawionych detalistom, a na kwiecień planowano wiosenno-letnią rewię dla publiczności.

„Chcemy – mówi p. Depczyńska – wyjść z kolorem w odzieży, gdyż dotychczas nasza konfekcja jest wciąż szara. Dlatego też mamy zamiar zamawiać w przemyśle również tkaniny tylko do naszego użytku, i to zarówno w wełnie, jak i bawełnie oraz lnie. […] Przygotowujemy komplety plażowe, sukienki letnie przedpołudniowe, popołudniowe i coctailowe, płaszcze i sukienki z tej samej tkaniny. Opieramy się na najmodniejszych liniach lansowanych przez Paryż (…)". Autor zakończył artykuł refleksją, że dobrze byłoby, gdyby zakłady miały własny sklep wzorcowy w Łodzi – umożliwiłoby to bowiem wprowadzanie projektowanych modeli bezpośrednio do sprzedaży.

Zatrzymajmy się tu na chwilę, by pochylić się nad sprawami mniej widowiskowymi niż wzorzyste kostiumy kąpielowe. Choć nie ma już kto opowiedzieć, jak zaczęła się historia zjawiska, któremu patronowała Mickiewiczowska Telimena, zachowało się oficjalne pismo poprzedzające artykuł z „Dziennika Łódzkiego", datowane na 9 stycznia 1957 r.

Czytamy w nim: „Zgodnie z Zarządzeniem nr 1/57 Ministra Przemysłu Lekkiego z dnia 1 stycznia 1957 roku oraz na podstawie art. 14 i 23 Dekretu z dnia 26 października 1950 roku o Przedsiębiorstwach /Dz U.R.P. Nr. 49, poz. 439/ oraz § 2 Zarządzenia Ministra Przemysłu Lekkiego z dnia 24 grudnia 1950 roku nr KA. 1 C 00/17 w sprawie obsadzenia stanowisk w przedsiębiorstwach i instytucjach podległych Przedsiębiorstwu Przemysłu Lekkiego. Powołuje Obywatela OSSOWSKIEGO Bolesława z dniem 1 stycznia 1957 roku na stanowisko Dyrektora Łódzkich Zakładów Odzieży Luksusowej w Łodzi (…)".

Z początkiem 1957 r. Bolesław Ossowski otrzymał misję zorganizowania tego, co będzie się kryło przez

eprasa.pl 7b6ac083fb

jakiś czas pod nazwą Łódzkie Zakłady Odzieży Luksusowej w Łodzi. Trzeba było jednak wymyślić jakąś wpadającą w ucho nazwę, która wyróżniałaby tę zabawkę przemysłu lekkiego na tle innych zakładów produkujących tkaniny i konfekcję. Podobno wśród propozycji patronów pojawiły się Rewolucja Październikowa i 1 Maja. Ostatecznie padło na doskonale ubraną bohaterkę „Pana Tadeusza" – Telimenę.

Wyrobom Telimeny z pierwszej dekady towarzyszyły papierowe metki, na których widniała elegancka kobieca postać w długiej sukience o rozkloszowanej spódnicy, z obowiązkowym dla każdej damy kapeluszem i z długim szalem trzymanym w dłoniach. W dolnej części metki widniał napis „Telimena" wykonany dość tradycyjną czcionką oraz dopisek „Dom Mody Przem. Odzieżowego". Kto wymyślił nazwę Telimena? To największa tajemnica łódzkiego domu mody. W rodzinie Ossowskich zachowała się wersja, zgodnie z którą to żona pierwszego dyrektora firmy, siedząc na swojej ulubionej kanapie, wpadła na ten pomysł, a reszta rodziny go zaakceptowała. Syn Bolesława Ossowskiego wspomina dziś, że jego ojciec był człowiekiem, który potrafił wszystko sobie w życiu wywalczyć. (…)

Sukienka z gładkiej wełenki z Centralnego Laboratorium Przemysłu Odzieżowego w Łodzi, projekt Zofii Zagalskiej, „Moda", wiosna 1957 r.

ojciec dostał starą, technologicznie zapuszczoną fabrykę z parkiem maszynowym z 1947 r., z której miał zrobić nowoczesne przedsiębiorstwo. Chciał zbudować firmę kapitalistyczną, nie komunistyczną, czyli produkować coś, co ludzie faktycznie będą chcieli kupować, a nie robić coś i próbować to sprzedać. Stanowił ewenement, będąc przez wiele lat bezpartyjnym dyrektorem dużego zakładu – mówi Marek Ossowski

Za projektami stały plastyczki, absolwentki Wydziału Odzieży Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi.

Przyszłą żonę Barbarę poznał w Łodzi w bursie. – Jej panieńskie nazwisko brzmiało Kołacz i było niefortunnie zbieżne z nazwiskiem dyrektora Józefa Kołacza z Centralnego Zarządu Przemysłu Odzieżowego. Ślub odbył się jednak na długo przed Telimeną, bo w 1951 r. Myślę, że to Kołacz wymyślił dom mody, bo chciał czegoś nowego dla Łodzi. To był taki starszy przyzwoity facet, przedwojenny dyrektor, który docenił mojego tatę, dał mu dużo swobody. W ten przewrotny sposób, że

i dalej: – Telimena była jego dzieckiem. Mama mu coś tam podpowiadała, ale jej było nie po drodze z plastyką. Była za to Krystyna Depczyńska, nie wiem, czy narzucili mu pracę z nią, czy sam ją gdzieś wynalazł. Była elegancką damą z nienagannymi manierami, ale bardzo trudną we współpracy, wszystkie okresy pracy z nią były dla taty stresujące. Pracowała tam od początku, potem się na trochę z nią rozstał, a później z nią przeprosił i wróciła. Stres był też przed każdą prezentacją, w domu

to napięcie było bardzo odczuwalne, a potem, gdy pojawiały się dobre recenzje, wszyscy się cieszyliśmy. Pamiętam taki pokaz, na którym modelki chodziły po wybiegu z dużymi psami. W ogóle wszyscy się starali, żeby pokazy były eleganckie, więc czasem, gdy się zbliżały, zespół siedział po nocach i pracował. (…)

W latach 60. Telimena sponsorowała siatkarki, które trenowały w hali na Zakątnej. Ossowski nie wie jednak, na czym owo bycie sponsorem polegało – czy na ich ubieraniu, czy na wsparciu finansowym. Pamięta także lekarza i gabinet zabiegowy dla załogi, których siedziba nie znajdowała się w samej Telimenie, lecz niedaleko – na Jaracza i Szterlinga. Pamięta, że Telimena zatrudniała chałupników do robienia pasków i innych dodatków – Moda Polska kupowała zaś takie rzeczy za granicą. Pamięta także łódzkie sklepy, przed którymi ustawiały się długie kolejki, gdy tylko pojawiało się coś z nowej kolekcji. Ponoć wiadomości rozchodziły się pocztą pantoflową. Tata często oprowadzał go po zakładzie, który rozrastał się dzięki dokupywaniu kolejnych hal przemysłowych. Budynek liczył trzy piętra, szwalnia mieściła się w głównym gmachu.

– Tata imponował mi radością życia. Nie wyobrażam go sobie wyrzucającego kogoś z pracy, raczej przyjmował tych, którym się nie powiodło. Nie wymieniał personelu, poza tymczasowym rozstaniem z panią Depczyńską. Gdy spotykam czasem ludzi z tamtych czasów, to dobrze mówią o Telimenie, a często są to zupełnie obce mi osoby. Dlaczego tata zostawił pracę, którą tak kochał? Po prostu nowy dyrektor Zjednoczenia Jerzy Porowski i mój tata nie lubili się. Ale tata dbał o swoich ludzi i dlatego, gdy zmuszony do odejścia, zmieniał pracę, personel stanął za nim murem. Musiał przekonać swój zespół, że odejście z Telimeny i nowa

eprasa.pl 7b6ac083fb

praca to jest kop w górę, chociaż sam w to wówczas nie wierzył. Potem dzięki pracy w Oteksie zwiedził cały świat, łącznie z tak egzotycznymi miejscami jak Chiny czy Iran. (…)

„Tego naprawdę w Łodzi jeszcze nie było, aby jakiekolwiek przedsiębiorstwo odzieżowe po 4 miesiącach istnienia zorganizowało rewię mody na aktualny sezon. Dokonały tego po raz pierwszy Zakłady Odzieży Luksusowej »Telimena«", czytamy w „Dzienniku Łódzkim" i niemal słyszymy okrzyk rozentuzjazmowanej autorki artykułu. (…)"

A co lansowała u swoich początków Telimena? Wśród wskazanych kolorów znalazły się beż, krem, biel, a na popołudnie – ciemna szarość i czerń. Najmodniejsze kostiumy wyróżniały się krótkimi, dopasowanymi żakietami i spódniczkami typu baryłka, z rozszerzanymi fałdkami na biodrach. Inny typ kostiumu miał nieco dłuższy żakiet bez wcięcia. Bluzki szyto z tkanin, którymi zostały podbite żakiety. W centrum uwagi znajdowały się komplety – nie tylko plażowe, składające się najczęściej ze spodni trzy czwarte, tak zwanych korsarek, spódnicy, opalacza i wdzianka, lecz także typu suknia z płaszczem, płaszcz z kostiumem, suknia z żakietem.

Za nowość należało uznać zestawienia nie tylko identycznych tkanin, lecz także kontrastujących ze sobą kolorów lub odcieni w różnych tonacjach tego samego koloru. Inną propozycję stanowiły sportowe suknie inspirowane tunikami, przewiązywane paskiem, często skórzanym, noszonym powyżej talii, a nie – jak dotychczas – na jej środku. Telimena promowała również, wzorując się na paryskich trendach, letnie suknie z szarfami, draperiami i krynolinami, obowiązkowo noszone na halkach, które wówczas wkładano niemal pod każdą letnią sukienkę.

Na wspomnianej imponującej rewii zaprezentowano 60 modeli. Prawie każdy fason nagradzany był długimi brawami publiczności, szczególnie jej żeńskiej części. Konferansjerzy zapewniali zebranych, że już w najbliższym czasie wiele z pokazanych modeli znajdzie się w sprzedaży chociażby w słynnym łódzkim Galluksie. (…) Za projektami stały plastyczki, absolwentki Wydziału Odzieży Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi: Szymańska, Sprudin, Janowska, Krzyżanowska, Skibniewska oraz kierowniczka artystyczna Krystyna Depczyńska.

Sportowy płaszcz, raglanowy kostium oraz kostium w barwną kratkę, „Moda", jesień 1958 r.

Obietnica szybkiego wprowadzenia prezentowanych modeli na rynek mogła zostać spełniona, ponieważ Telimena – jako pierwszy zakład w kraju – uzyskała od Państwowej Komisji Cen prawo samodzielnego zatwierdzania cen. Ponadto od początku samodzielnie nawiązywała kontakty z odbiorcami i dostarczała konfekcję bezpośrednio do sklepów. Dzięki temu wyeliminowano marżę hurtową, a sklepy otrzymywały odzież w nienaruszonym stanie, bez zagnieceń. Przywileje te przełożyły się na imponujące wyniki już w pierwszych miesiącach działalności (…).

Pierwsze futra nylonowe i dynelowe miały pojawić się w sklepach w tym samym roku, a ich cenę dyrekcja Telimeny szacowała na 5-6 tys. zł. Futra można było myć specjalnym środkiem chemicznym i wytrzymywały mróz do -40 st. C, jednak na wszelki wypadek szyto je z odpowiednią warstwą watoliny. Planowane kolory sztucznych futer obejmowały: biały, jasno- i ciemnopopielaty, brązowy, beżowy, marengo, morski, butelkowozielony i łososiowy. Dyrekcja zastrzegła, że na początku futra mogą być trudne do znalezienia w sklepach, jednak Telimena zapowiedziała zwiększenie ich produkcji do końca roku.

Telimena zatrudniała chałupników do robienia pasków i innych dodatków – Moda Polska kupowała zaś takie rzeczy za granicą.

„Rozszerzając produkcję, Telimena zwiększa jednocześnie swój stan zatrudnienia. Od przyszłego poniedziałku na jednej z sal produkcyjnych zostanie wprowadzona druga, 150-osobowa zmiana. W przyszłym miesiącu również i w drugiej sali produkcyjnej zostanie wprowadzona popołudniowa zmiana. Do końca br. będzie w zakładzie zatrudnionych przy produkcji 550 osób, a jeśli dyrekcji Telimeny uda się uzyskać parter budynku przy ul. Jaracza 52, to pracę w zakładzie znajdzie dalszych 200 osób". (…)

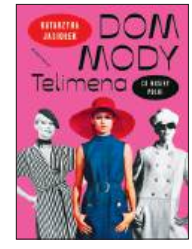

Fragmenty książki Katarzyny Jasiołek *Dom mody Telimena. Co nosiły Polki*, Marginesy, Warszawa 2025

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7b6ac083fb

1

2

Skalne miasta

4

FOT. SHUTTESTOCK

5

eprasa.pl 7b6ac083fb

Oto miasta i klasztory wybudowane w niezwykłych miejscach – pięknych, lecz trudno dostępnych, z natury obronnych. Dziś są atrakcjami turystycznymi.

1. Klasztor Taktsang Goemba (Gniazdo Tygrysa) – położony w zachodnim Bhutanie, najbardziej znany klasztor buddyjski. Wzniesiony został na klifie o wysokości 900 m w dolinie rzeki Paro. Składa się z czterech świątyń.
2. Meteory – masyw skalny w środkowej Grecji w okolicy miasta Kalambaka. Na szczytach skał znajduje się kompleks 24 prawosławnych monastyrów.
3. Al-Hadżara – miejscowość w górach Haraz w zachodnim Jemenie. Istnieje od XII w. Zbudowana ze skał, cegieł i błota na wysokości 2452 m n.p.m. Zgodnie z jemeńską tradycją budynki mają po kilka pięter.
4. Setenil de las Bodegas – białe miasteczko w prowincji Kadyks na południu Hiszpanii, w kanionie rzeki Trejo. Jest częścią słynnego szlaku białych andaluzyjskich wiosek. Większość domów została wykuta w jamach skalnych.
5. Mont-Saint-Michel – skalista wyspa na kanale La Manche. Oprócz opactwa św. Michała Archanioła są na niej liczne restauracje, sklepy i muzea. Spacerując wąskimi uliczkami, można poczuć klimat średniowiecznego miasteczka.
6. Sanktuarium Madonna della Corona – leży na wysokości ok. 774 m n.p.m. i zarazem ponad 700 m nad taflą jeziora Garda w północnych Włoszech.

eprasa.pl 7b6ac083fb

JOLKA

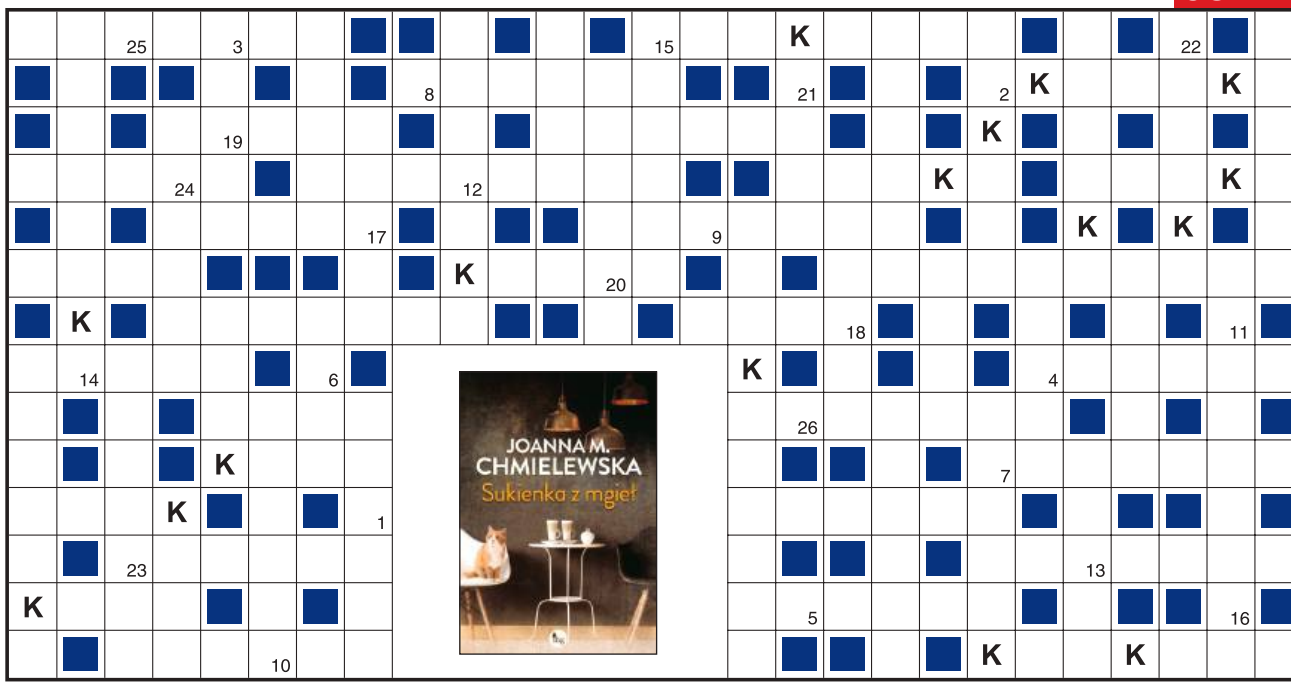

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- bzdura, niedorzeczność
- Fredro lub Bardini
- imię poprzedniczki Olafa Scholza
- procenty przed laty dodawane do herbaty
- udaje coś prawdziwego
- zaleta, pomocny argument
- Andrzej, grał w „Długu" i „Komorniku"
- zacność, czystość, niewinność
- subwencja, subsydium
- wydawca
- dawna nazwa bursztynu
- silne uczucia, mocne wrażenia
- symfonia Beethovena i film Munka
- tradycyjny taniec hawajski
- posłanka bogów rozpinająca łuk tęczy
- …Middleton, czyli księżna Walii
- tam na seans niespirytystyczny
- klaszcze za pieniądze
- czasem kopci w świecy
- niewielki statek rybacki
- kryształ górski jego odmianą
- francuski uczony z przełomu XVIII i XIX w.
- bohaterka i adresatka sonetów Petrarki
- kluczy, by wyjść na swoje
- założyciel Towarzystwa Jezusowego
- firma zbrojeniowa ze Skarżyska-Kamiennej
- do syfonu lub karabinowe
- wręczana pieniężna lub rzeczowa
- cios eliminujący boksera
- cmok… – o całowaniu w rękę
- cena w dół
- resztka surowca
- przyszywany tata
- brawa
- długie drzewce z grotem
- …Redding, wokalista soulowy
- niemężatka
- chwast o długich, podziemnych rozłogach
- końcowo-początkowy przystanek autobusowy
- Fronczewski lub Adamczyk
- na sierści dalmatyńczyka
- płynie przez Kalisz
- stary, poczciwy Burek
- słuchowiska w nim nadawane
- rękaw bez szwu na ramieniu
- tapety lub papieru toaletowego
- garnek z długą rączką
- wolny albo karny na boisku
- zimowy lub letni na studiach
- koloryt skóry zmarzniętego, rozgniewanego
- grał na nim Ravi Shankar
- rodzaj pieczywa lub psie rysunkowe
- pętelki do przewlekania paska
- rzucanie papierków, niedopałków
- do wyklejania ścian mieszkania
- siostra Olgi w „Eugeniuszu Onieginie"
- płaski występ na zboczu doliny rzecznej
- ...węgla – czad
- interesu lub śmietany na masło
- manewr, wolta, uskok
- Kurt, kompozytor „Opery za trzy grosze"
- zadanie dla patrolu

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1228". Do rozlosowania książki „Sukienka z mgieł" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 lipca 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1225" z nr. 24: *Prawda w żartach mniej przykra.*
Nagrody otrzymują: Jerzy Copek z Żywca, Marek Osmański z Poznania, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

eprasa.pl 7b6ac083fb

Nasza liga

Skończyła się nasza prezydencja w Unii Europejskiej, bez fanfar, w cieniu innych wydarzeń. To dość dobrze pokazuje, w jakiej lidze gra Polska. Lub, precyzyjniej, na grę w jakiej lidze Polskę stać.

Gdy wybuchła 12-dniowa wojna Izraela z Iranem, otrzymaliśmy informację, że polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski odbył rozmowę telefoniczną ze swoim irańskim odpowiednikiem Abbasem Aragczim. Skoro Polska sprawowała prezydencję w Unii, można było się spodziewać, że tematem rozmowy będą propozycje mediacji, rozwiązania konfliktu, działań i dla Iranu, i dla Europy użytecznych. Nic takiego nie miało miejsca – rozmowa dotyczyła bezpieczeństwa polskiej ambasady i ewakuacji polskich obywateli.

Innymi słowy, minister nie podjął się inicjatywy ogólnoeuropejskiej. Wszystko zresztą wskazuje na to, że Europa najzwyczajniej w świecie jej nie oczekiwała. Ministrowie spraw zagranicznych Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii spotkali się z Aragczim w Genewie bezpośrednio. Kłopot w tym, że najważniejsze, co mieli mu do przekazania, to wezwanie, by zaczął rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi. Też więc nie błysnęli sprawczością.

Dodajmy do tego jeszcze jeden kawałek układanki – Aragczi potem poleciał do Moskwy. Sporo sobie po tej wizycie obiecywał, ale skończyło się tak, że po jego powrocie do Teheranu Iran ogłosił zawieszenie broni.

Wracając zaś do Sikorskiego, widzimy, że ambicje polskiej polityki zagranicznej coraz częściej sięgają nie dalej niż dobra organizacja ewakuacji Polaków. O to najczęściej pytają media, no i tym chwalą się zawsze w Sejmie kandydaci na ambasadorów i konsulów – że zorganizowali.

Jest i drugi cel, który rząd postawił przed naszą służbą zagraniczną – powroty Polaków do kraju. To przebiega dość słabo. Repatriacja z Kazachstanu i z Rosji to 533 przypadki w roku 2024. Z innych krajów przyjazdy są pojedyncze.

Narodził się zatem pomysł, by potomków emigrantów ściągać z Ameryki Południowej, głównie z Brazylii, gdzie żyje ich ponad 2 mln. Kłopot w tym, że specjalnie do tego się nie palą. I nawet wydawanie Kart Polaka idzie tam opornie. W Brazylii wydano ich 700… Nie dziwmy się – ludzie od pokoleń mieszkają w swoich miejscowościach, tam jest ich mała ojczyzna.

Wobec tego MSZ ma nowy plan – powroty Polaków z Europy Zachodniej, co jest częścią przyjętej w październiku 2024 r. strategii migracyjnej. To migranci świeżej daty, jeszcze korzeni tam nie zapuścili, są jedną nogą tam, drugą tu i – jak powtarzają nasi oficjele – zdążyli już zderzyć się ze szklanym sufitem, przekonać, że pracują tam poniżej kwalifikacji i często poniżej warunków, które otrzymaliby nad Wisłą. A Polska jest dziś dużo bardziej atrakcyjna niż 20-30 lat temu. No i powrót do kraju nie byłby dla nich jakimś wyzwaniem. MSZ proponuje im więc powroty, a ich dzieciom miejsca w szkołach i na uczelniach.

To jest plan, którym macha MSZ i który przypominany jest konsulom. Pokazuje on nie tyle ministerialne ambicje, ile możliwości. Tę ligę, w której gramy.

Attaché

Pechowy malec – Kyaw Pearl z obozu dla słoni Wingabaw w Mjanmie doznał urazu rdzenia kręgowego po przypadkowym uderzeniu przez matkę. Pomóc może mu operacja, ale na razie na nią za wcześnie. 24 czerwca 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7b6ac083fb

PENETRACJE

zwierciadło

AGATA DUDA-GRACZ,
REŻYSERKA

Kraków jest uzależniający. Miałam kilka propozycji wyjazdu stąd na stałe. Ale nigdy się nie zdecydowałam. I to nie jest kwestia atmosfery, zabytków czy dzieł sztuki, które składają się na to miasto. To są ludzie – cudowni i mniej cudowni, ale już moi, oswojeni. Tu istnieje niepowtarzalny mikrokosmos. Miasto pełne ekscentryków, wariatów, księży, studentów i artystów. Żyjące aferą, skandalem. Plotka jest tu tak wszechobecna jak gołębie gówno. Kiedyś paraliżował mnie słynny krakowski jad. Teraz traktuję go bardziej jako przyprawę do zdarzeń. Ale jakikolwiek by ten Kraków był, jestem tu bardziej u siebie niż gdziekolwiek indziej.

KRAKÓW

VINCENT V. SEWERSKI (WŁODZIMIERZ SOKOŁOWSKI),
PISARZ, BYŁY OFICER WYWIADU

Oczywiście kontrwywiad, wiedza, walka w cyberprzestrzeni – to wszystko jest ważne. I to trzeba robić. Ale edukacja jest ważniejsza. Tyle że to bardzo kosztowna działalność państwa i boję się, że w tej chwili jest już trochę za późno. A wystarczyło pogadać z Finami. To przecież jest kraj, który nie ma problemu z odpowiedzialnością obywatelską i patriotyzmem, choć ma 1300 km granicy z Rosją. I ma za sobą z nią trzy ciężkie wojny. Nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak były ciężkie. Jak to rozwiązali? Ano w szkole. Stworzyli silne, świadome, wykształcone społeczeństwo, w którym dzisiaj jest największa na świecie liczba tytułów prasowych. Dziś, w czasach internetu, na stulecie swojej niepodległości, wybudowali piękną, nowoczesną bibliotekę – a my ławeczki patriotyczne… Trzeba więc nadrabiać te stracone lata. Tak szybko, jak to możliwe, bo wciąż mamy 30% płaskoziemców, reptilianów i wiarę w chipy wstrzeliwane do głowy…

TYGODNIK ANGORA

ARTUR DZIAMBOR,
BYŁY POSEŁ KONFEDERACJI

Mentzen jest dzisiaj tak naprawdę „właścicielem" Konfederacji. On tę partię zdominował swoją osobą. Gdy nie będą chcieli go słuchać, to on w każdej chwili może wstać i powiedzieć: „To wy bawcie się w tę swoją Konfederację, a ja jestem Sławomir Mentzen i zakładam partię Mentzen". I kto wtedy wygra? Oni od zawsze bali się, że Sławomir Mentzen, wielka gwiazda internetu, zdecyduje się pójść na swoje. Nie robi tego, bo dla każdego, kto siedzi w polityce, jest oczywiste, że to się nie opłaca. To jest środowisko ludzi młodych, którzy nigdy niczym nie zarządzali. To mit, że w Konfederacji są sami przedsiębiorcy. Oczywiście, że jest ich więcej niż w innych partiach, ale bez przesady. Gdy Konfederacja w końcu to współrządzenie dostanie, to jej politycy będą musieli w szybkim tempie zweryfikować te swoje wszystkie populistyczne przekazy. Jestem ciekaw, jak to będzie wyglądało, gdy będą musieli połykać własne języki i gęsto się tłumaczyć przed ludźmi, że realny świat nie wygląda tak, jak cały czas to przedstawiali.

Twój STYL

ARTUR BARCIŚ,
AKTOR

Do szkoły aktorskiej dostałem się za pierwszym razem, choć wyglądałem marnie. Byłem mało przystojnym kurdupelkiem, koledzy patrzyli na mnie sceptycznie, słyszałem te szepty: „Zobacz, ten też zdaje". I ja ich rozumiałem. Było 400 kandydatów na 20 miejsc! Na szczęście dla mnie profesorowie łódzkiej szkoły filmowej postanowili postąpić niesztampowo. Zdecydowali, że nie będą zwracali uwagi na urodę, wzrost i wygląd, tylko na talent. Pewnie dlatego na moim roku było sporo różnych dziwaków.

FOT. AMEM, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 7b6ac083fb

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter | Wyrazy z **siedmiu** liter | Wyrazy z **ośmiu** liter

1. BON + LAK =
2. WAG + LEN =
3. DIOR + ZEW =
4. OBCY + WAR =
5. KLIF + OKNA =
6. OWCA + TRYB =

ROZWIĄZANIA: BALKON, LEGWAN, ZDROWIE, WYBORCA, FLAKONIK, RYBACTWO

Aby język giętki…

MAREK KONDRAT O „DNIU ŚWIRA"

Spotkanie z bohaterem Koterskiego jest bolesne, bo odkrywamy w tym własne uczucia. Odkrywamy, że zachowujemy się podobnie, że w duszy mamy podobne myśli.

MICHAŁ LISTKIEWICZ O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Czy maczał palce w zwolnieniu Jerzego Brzęczka po awansie do finałów Euro? Na pewno Boniek nie podjął takiej decyzji, dlatego że się nie wyspał.

DARIUSZ DZIEKANOWSKI O PREZESIE PZPN

Kulesza nie jest w stanie podjąć żadnej sensownej decyzji. Nowego trenera czeka zderzenie z niekompetencją, brakiem szczerości i niemocą decyzyjną.

KRZYSZTOF URBAŃSKI O MUZYCE CZAJKOWSKIEGO

Skoro Ukraińcy nie mają problemu z Czajkowskim, który podkreślał, że jest w stu procentach Rosjaninem, byłoby bezsensowne zakazywać grania jego muzyki w Polsce.

JOANNA MUCHA O PLATFORMIE

Do Platformy nic kompletnie nie dociera. Nie wygrali żadnych wyborów od 2011 r.

JAN ENGLERT O IRONII

Uwielbiam abstrakcję, kalambury, które mało kto rozumie.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O OPALANIU SIĘ

Bardzo lubię opalać się topless. Nie dlatego, by emanować seksem, ale jestem przecież częścią natury. Moje ciało też.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 7b6ac083fb

Kolekcja Wojciecha Fibaka

NOWE POKOLENIE

Ewa Juszkiewicz, Portret podwójny

Aleksandra Waliszewska, Blondie

Agata Kus, Suicide Blonde

To jeden z najcenniejszych i najstarszych prywatnych zbiorów sztuki współczesnej w Polsce, niemal 80 prac 30 twórczyń i twórców, którzy edukację w szkołach artystycznych zakończyli po 1989 r. Zarówno osób uznanych w kraju i na świecie, jak i młodych, wybijających się, będących nadzieją polskiej sztuki. Prezentowane prace prowadzą widza przez bogactwo tematów poruszanych przez młode pokolenie – od eksploracji tożsamości, płci, przez refleksję nad kondycją społeczeństwa czy rolą technologii, po pytania o przyszłość.

Agata Bogacka, Kobieta na rowerze

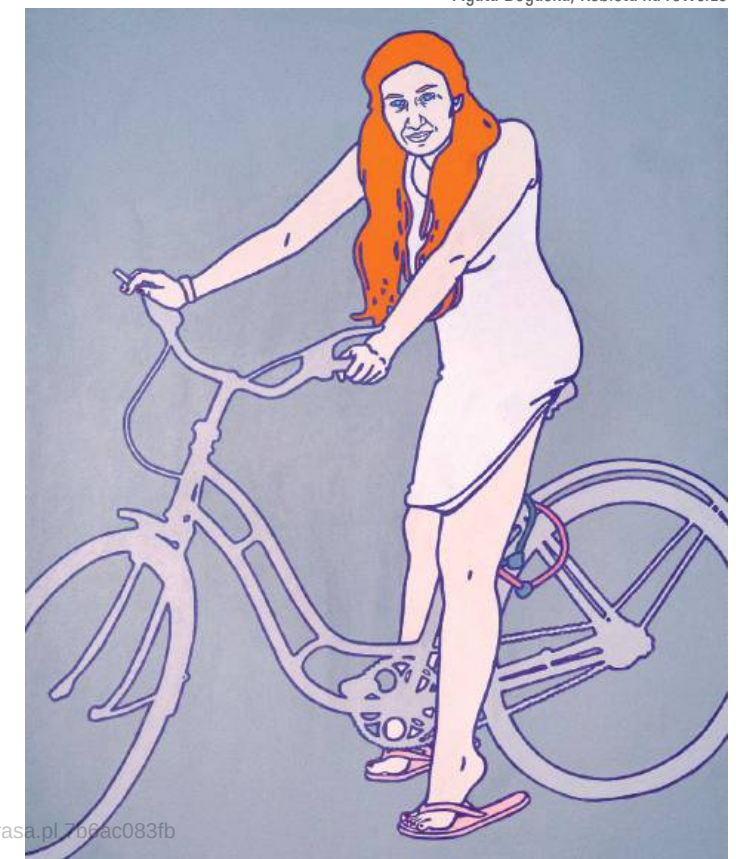

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia
Radom, ul. Kopernika 1
do 31 sierpnia

eprasa.pl 7b6ac083fb

PONAD 2,5 MILIONA WIDZÓW WE WŁOSZECH!
NOWA KOMEDIA REŻYSERA
DOBRZE SIĘ KŁAMIE
W MIŁYM TOWARZYSTWIE
ORAZ
PIERWSZY DZIEŃ
MOJEGO ŻYCIA
Co skrywamy
w naszych myślach?
FolleMente.
W tym szaleństwie jest metoda
REŻYSERIA
PAOLO GENOVESE
W KINACH OD 4 LIPCA
Direzione Generale CINEMA e AUDIOVISIVO MiC
With the support of the Film Distribution Fund of the Italian Ministry of Culture (MiC) in collaboration with Cinecittà
Kreatywna Europa MEDIA
AURORA

eprasa.pl 7b6ac083fb

LIONEL RICHIE

SAY HELLO TO THE HITS TOUR

PLUS GUEST
VARIUS MANX & KASIA STANKIEWICZ

SOBOTA, 5 LIPCA
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

Marshall Arts Ltd. LIVE NATION

eprasa.pl 7b6ac083fb